

PROF. KOŁODKO I PROF. KIMLA
O TRUMPIE I USA

PAWEŁ SIERGIEJCZYK
JAK ZDRADZONO OKRĄGŁY STÓŁ

ANDRZEJ SIKORSKI
ŚCIGANY PRZEMYSŁAW RADZIK

KRZYSZTOF VARGA
POLSKIE KINO TRACI CHARAKTER

75 LAT ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH WARTO BYŁO



O RUCHU STUDENCKIM MÓWIĄ:

Aleksander
Kwaśniewski,
Antoni Dragan,
Bogdan Jachacz,
Grzegorz W. Kołodko,
Jerzy Koźmiński,
Zbigniew Kowal,
Robert Kwiatkowski,
Eugeniusz Mielcarek,
Sergiusz Najar,
Krzysztof
Pietraszkiewicz,
Jacek Raciborski,
Tadeusz Sawic,
Henryk Skarżyński,
Tadeusz Skoczek,
Józef Węgrzyn

DKMS

POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

dkms.pl/1-5procent



Ludwik, 6 lat

Niech jak najszybciej wróci na plac zabaw

Co 40 minut w Polsce ktoś słyszy słowa: „To nowotwór krwi”. W Fundacji DKMS wiemy, że ta diagnoza to nie koniec. To etap, przez który trzeba przejść i jak najszybciej wrócić do normalności. W tym celu wyposażamy szpitale, pomagamy znaleźć Dawcę szpiku, zapewniamy opiekę psychoonkologa. Robimy wszystko, by Pacjenci chorzy na nowotwory krwi mogli odzyskać swoje dawne życie.

Rozlicz online

**>> Przekaż 1,5% Fundacji DKMS
KRS 0000 318 602**





Umizgi i donosy

Kończy się mit tej Ameryki, która była marzeniem kilku pokoleń Polaków. Nie jest już celem wyjazdów zarobkowych. A ci, którzy jadą do Stanów jako turyści i zapuszczają się na amerykańską prowincję, mają dość smutne obserwacje. Bardzo niski poziom edukacji wypycha miliony Amerykanów w ręce politycznych szalbierzy – oddają swoje głosy w zamian za bezwartościowe obietniczki. Poparli Trumpa, bo jego rywale pożałowali nawet obietnic.

W ostatnich miesiącach przez Polskę przetacza się fala dwóch szoków. Pierwszy to Ukraina. Przez trzy lata prawie wszystkie media głośniły wraz z chórem polityków, że już za chwilę Ukraina pokona Rosję. A my w tym bardzo pomogliśmy. Wszyscy, poza Polską, mówili i pisali, że od długiego czasu w Ukrainie mnożą się problemy i nic tam nie idzie

Święta to czas wytchnienia i przyływu cieplejszych uczuć. Korzystam więc z tej sposobności, by zaapelować o wsparcie naszego tygodnika. Mimo rosnących kosztów jako jedyni nie podnieśliśmy w tym roku ceny.

Dopóki będzie to możliwe, nie będziemy sięgać do Waszych kieszeni. Sporo naszych Czytelników ma kłopoty. Proszę więc tych, którzy mają lepiej, by dołożyli, ile mogą. Wspierając nas, pomagacie nam utrzymać obecną cenę tygodnika.

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU”



w stronę sukcesu. Za oszukiwanie opinii publicznej politycy płacą utratą wiarygodności. Zyskują zaś ci, którzy przynajmniej nie kłamali. Kto w polityce przestaje być realistą, szybciej, niż myśli, zalicza kontakt z podłogą.

Jeszcze większy szok przeżywają Polacy w relacjach z USA. Ameryka jaka dziś jest – każdy widzi. Tylko mało kto rozumie, co się tam naprawdę dzieje. Czy w tym, co robi Trump, jest jakiś głębszy zamysł, którego nie potrafimy jeszcze zdefiniować? Czy też zwyczajna głupota i szaleństwo? Stosunek Polaków do Ameryki będzie się zmieniał. Zawiedziona miłość może skutkować czymś więcej niż rozczarowaniem. Polscy politycy znaleźli się w paskudnym położeniu. Widzą przecież, jak nas traktuje administracja amerykańska. Zachowanie kolejnych ambasadorów i urzędników ambasady USA w Polsce nie świadczy o tym, że jesteśmy państwem w pełni suwerennym. Tak nas traktują, jak na to pozwalamy. Skoro nasi politycy biorą udział w wyścigu do ucha co ważniejszych Amerykanów i walczą o to, kto w Polsce jest największym przyjacielem USA, skoro umizgi i wzajemne donoszenie trwają w najlepsze – to jak nas mają traktować?

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 ZSP – 75 lat, czyli warto było**
Organizacja studencka nauczyła życia
- 14 Rzeźnik Ziobry już niegroźny**
Przemysław Radzik się dograł
- 17 Amerykański sen**
Polska to eldorado dla firm z USA
- 20 Grypa antyszczepionkowców**
Najgorszy od dekad sezon zachorowań
- 24 Do Kalwarii Zebrzydowskiej po meble i odpust**
Droga krzyżowa i stolarze co się zowie
- 28 Moralność pani Arent**
Najbitniejsza postanka Kaczyńskiego

OPINIE

- 32 Grzegorz W. Kołodko**
Fatalny przyjaciel
- 38 Paweł Siegiejczyk**
Okrągły Stół był wielkim eksperymentem

ZAGRANICA

- 36 Ukraina zagrożeniem dla Rosji?**
– rozmowa z Johnem Mearsheimerem
- 42 Każdy kryzys można zamienić w szansę**
Zaczyna się EXPO w Osace

KULTURA

- 46 Polskie kino traci charakter**
– rozmowa z Krzysztofem Vargą
- 50 Olga Boznańska nad dachami Paryża**
Malowanie z „perspektywy ptasiej”
- 53 Culturalia**
- 66 Co czyni ją wyjątkową?**
Obrazy Natalii Józwiak

SPORT

- 54 Torpedy i finezyjki**
Sztuka rzutów wolnych

OBSERWACJE

- 56 Sezon na Evereście**
Nie zadzierać z Sierpami
- 60 Słownictwo jak odcisk palca**
Śledztwa językowe

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Umizgi i donosy
- 23 Andrzej Romanowski**
Pierwsze państwo protestanckie
- 31 Roman Kurkiewicz**
Chaos w nas, nie w Musku
- 35 Tomasz Jastrun**
Siekiera i skalpel
- 45 Wojciech Kuczek**
Wujek Samo Cło i inne demony

20
KRAJ



GRYPA ANTYSZCZEPIONKOWCÓW

Najgorszy od dekad sezon zachorowań



42
ZAGRANICA

KĄDZY KRYZYS MOŻNA ZAMIEŃĆ W SZANSĘ

Zaczyna się EXPO w Osace



56
OBSERWACJE

SEZON NA EVEREŚCIE

Nie zadzierać z Sierpami

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WYSTAWA PLAKATÓW STUDENCKICH 1959–1990 MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI
W WARSZAWIE. AUTOR PIOTR KUNCE

eprasa.pl 7e0827dd8e



f Ginęli tysiącami. Państwo o nich zapomniało

Państwo zapomniało, ale nie pokolenie, którego rodzice przeżyli czas wojny. U nas w domu często wspominało się o żołnierzach, którzy wyzwolili Polskę. Żołnierzach Armii Krajowej i Armii Czerwonej. O Kołobrzegu także mówiono. A na Cmentarz Poległych w Łężyczach w gminie Wejherowo od dziecka jeździłam z tatą na rowerze. Ja zbierałam kwiatki i kładłam na groby, a tatko, który walczył w armii Andersa, odmawiał dziesiątkę różańca za poległych pochowanych na tym cmentarzu i za swoich kolegów, którzy też zginęli na wojnie. Tak było jeszcze kilka lat temu. Teraz o tym cmentarzu władze zapomniały. Przynajmniej ja nie wiem o tym, żeby tam były jakieś choćby skromne uroczystości.

Waleria Lubner

Znaczenie walk o Wał Pomorski zmniejszano, a czyni tzw. żołnierzy wyklętych przedstawiano z przemilczeniem pewnych wydarzeń.

Jan Brożyński

f Turbiny wiatrowe — problem nierozwiązany

Dlaczego ze zwykłej sprawy robimy problemy? Jeżeli ktoś chce, niech sobie stawia, byle nie przeszkadzały mieszkańcom. Ile było krzyków i wypowiedzi „ekspertów” na temat instalacji przekazników sieci komórkowej! Widziano raka, szumy w głowie i napromieniowanie. Jedni pójdą w fotowoltaikę, drudzy w wiatraki mniejsze i większe i nic się nie stanie. Byle wiatraki nie zaszpecały krajobrazu i nie przeszkadzały innym.



Krzysztof Szyd

f Wszyscy chcą być populistami

Bieja? Litości. Chętna się, że raz wzrosło jej poparcie do — aż! — 5%. To ma być dzisiejsza Lewica pod władzą Czarastego? Przypomnę, że podczas kampanii w 2000 r. Aleksander Kwaśniewski osiągnął w sondażach poparcie w wysokości 70%. Dziś wiosenno-czarzasta Lewica to ledwie cień dawnego SLD i niestety nie ma już nikogo, kto by wyrwał obywateli z tego duopolu pisowsko-peowskiego. To nie kampania Bieja i błędy popełniane podczas jej prowadzenia dały taki wynik. To efekty kilkuletnich zaniedbań, grania przez wierchuszkę o własne interesy i olewania ludzi tworzących struktury partii, wykonujących czarną robotę w terenie. Niestety, cała Lewica to obecnie pośmiewisko i niewyczerpalne źródło memów robionych z wypowiedzi kierownictwa tej partii.

Michał Czarnowski



Trochę nie rozumiem stwierdzenia, że Zandberg chce podnosić ludziom podatki. O ile dobrze się orientuję, to mniej więcej głosi podniesienie podatków najbogatszym, zupełnie tak jak Gary Stevenson. Wszystkie badania pokazują, że bogactwo jest akumulowane (szczególnie po pandemii COVID-19) w rękach coraz mniej licznej grupy ludzi, rozwarstwienie społeczne rośnie, a wszystkie pomysły deregulacyjne jeszcze to potęgują. A zaczęło się od erozji systemów podatkowych na Zachodzie w latach 70. Pora to zastopować, bo inaczej zostaniemy z samymi Muskami, Zuckerbergami itp.

Sławomir Szlinke

ZDJĘCIE TYGODNIA



Wielkanocna akcja pomocowa w Senacie. Senatorowie wraz z dziećmi ozdabiali pisanki przeznaczone na cel charytatywny. 9 kwietnia 2025 r.

Minęła 15. rocznica katastrofy pod Smoleńskiem.



Żołnierze 82. Dywizji Powietrznodesantowej USA opuścili bazę i lotnisko w Jasionce pod Rzeszowem. Zastąpią ich Polacy i żołnierze NATO. Wojska amerykańskie mają zostać w Polsce.

Armia w Finlandii (5,6 mln mieszkańców) liczy w czasach pokoju kilkanaście tysięcy żołnierzy zawodowych i z poboru powszechnego. Jednak w ciągu miesiąca państwo może ją zwiększyć do 280 tys., a w razie przedłużającego się konfliktu do 800 tys.

W 2024 r. wyeksportowaliśmy żywność za rekordowe 53,5 mld euro. W 74% odbiorcą polskiej żywności jest Unia Europejska, głównie Niemcy, Francja i Włochy, a do tego Wielka Brytania.

Ponad 202 tys. nowych kredytów mieszkaniowych o wartości ok. 85,2 mld zł udzieliły banki w 2024 r.

Średnie oprocentowanie kredytu hipotecznego w Polsce w grudniu 2024 r. wyniosło 7,45% i było najwyższe w Unii Europejskiej (Europejski Bank Centralny).

Rzecznik generalny TSUE Dean Spielmann wydał opinię w sprawie orzeczeń Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Uznał, że

polski sąd jest zobowiązany pominąć lub uznać za nieistniejący wyrok, który nie spełnia wymogu legalnego sądu.

Na 146 tys. małżeństw, które zawarto w Polsce w 2023 r., tylko 77,2 tys. aktów podpisano w kościele.

Po polskich drogach jeździło w 2024 r. 50 680 taksówek. 70,7% kierowców to Polacy, 17,5% pochodzi z Ukrainy, 3% z Uzbekistanu, 1,6% z Białorusi, 1,5% z Gruzji, a 1,4% z Turcji. 4,3% jest z innych państw.

W Polskiej Grupie Zbrojeniowej w ciągu 12 lat zmieniło się 10 prezesów. Pewnie będzie i 11., bo politykom przydaje się ta bezsensowna struktura z wieloma dobrze płatnymi etatami.

Rozpoczęła się budowa najdłuższego tunelu kolejowego w Polsce. Będzie liczył 3,8 km, połączy miejscowości Męcina i Mordarka w Małopolsce. Koszt budowy to ponad 750 mln zł.

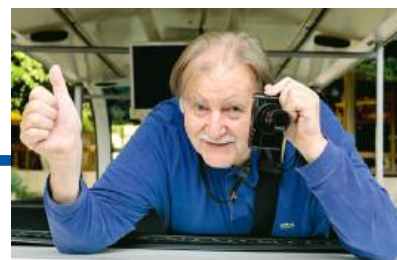
Mamy w Polsce prawie 99 tys. pszczelarzy, którzy opiekują się 2,42 mln pni pszczelich. W Europie wyprzedzają nas tylko Hiszpania i Rumunia. Rocznie produkujemy ok. 23,3 tys. ton miodu.

Na ponad 50 tys. paczkomatów InPost jest właścicielem prawie połowy. Francuska firma DPD ma 9 tys. automatów, Orlen – 6 tys., DHL (poczta niemiecka) – 5 tys., Allegro – 4,5 tys., a Poczta Polska – 1,5 tys.

Chińska platforma Temu ma już w Polsce 18 mln użytkowników. Pod tym względem wyprzedziła Allegro.

JUBILAT Z APARATEM

Trudno uwierzyć, ale to fakt. Wojtek Łaski obchodzi 80. urodziny. Sławny fotoreporter ma życiorys równie barwny i ciekawy, jak ciekawe są jego kultowe zdjęcia. Zrobił ich bardzo wiele. Również na okładki tak znanych tygodników jak „Time”, „Newsweek”, „Paris Match”, „Stern”, „Le Figaro” czy „Der Spiegel”. W bogatym archiwum ma zdjęcia z wojny w Afganistanie, Czarnobyla, Kambodży, Angoli, z gułagów na Syberii. Szczególne miejsce w dorobku Wojtka zajmują setki zdjęć papieża Polaka, karnawału Solidarności i pierestrojki Gorbaczowa. Wojtek Łaski jest już legendą. Wzorem pomysłowości, talentu i pracowitości. Mamy zaszczyt z nim współpracować. Ad multos annos, Drogi Wojtku.



PRZEBŁYSKI



Glapiński dobry, choć zły

Do końca 2023 r. miliony z kasy NBP zasilaty media pisowskie. Przez osiem lat w setkach reklam wychwalano geniusz Adama Glapińskiego. A zwłaszcza jego skok na światowe zasoby złota.

Nominat Kaczyńskiego kupował sukcesywnie tony złota i od razu machina propagandowa

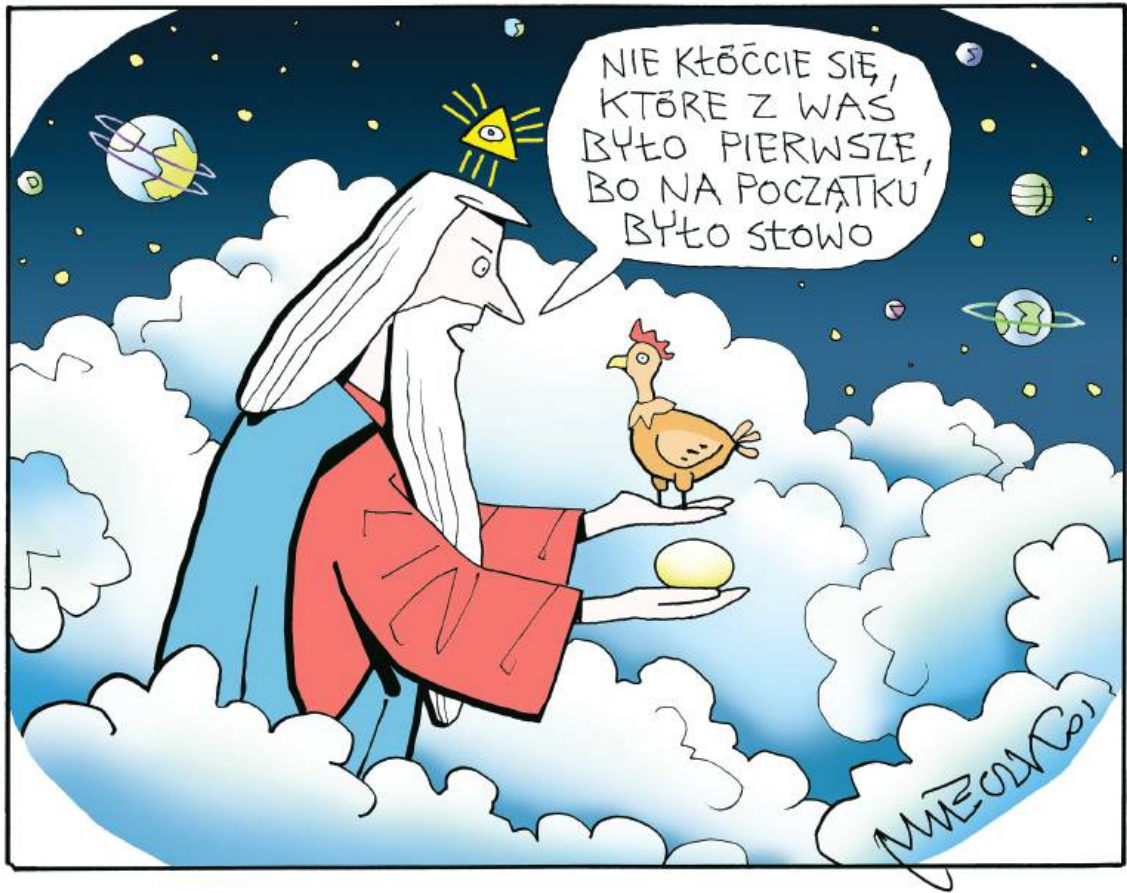
NBP gdakała, że zaniósł do skarbcza kolejne sztabki. Ale prezes Glapiński nie tylko jest złoty. Ma też perwersyjne poczucie humoru. Po przegranych wyborach NBP lokuje część reklam w mediach, które przez lata bardzo go krytykowały. Glapiński musi się zaśmiewać do łez, słuchając, jakim jest geniuszem, w TOK FM i innych stacjach. No i czytając w „Gazecie Wyborczej”. Cóż, potwierdza się, że pieniądź źle nie pachnie. Nawet ten od Glapińskiego.

Bazylika z panelami

Zdejmie czy nie zdejmie? Przed trudną decyzją stoi ks. Ludwik Kowalski, proboszcz sławnej bazyliki św. Brygidy w Gdańsku. Co ma zdjąć? Instalację fotowoltaiczną, którą samowolnie założył na dachu kościoła.

Wojewódzki konserwator zabytków w Gdańsku, popierany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, nakazał proboszczowi demontaż paneli. Ksiądz odmówił, płaci grzywny i czeka na zmianę przepisów. Powołuje się na papieża Franciszka, który pochwała zieloną energię. I na rachunek ekonomiczny, bo dzięki panelom oszczędza 40 tys. zł rocznie. Problem więc jest. Ochrona zabytków czy kasa?





PYTANIE TYGODNIA

Co w Polsce jest ze Wschodu, a co z Zachodu?

PROF. ROCH SULIMA,
antropolog, folklorysta

Wschód i Zachód w mojej codzienności... Pamiętam sprzed kilkudziesięciu lat rozmowę w pociągu dalekobieżnym. Jeden z pasażerów zwierzył się: jak się jedzie w stronę wschodnią, to w przedziałach jest jak w domu, a jak się jedzie w stronę przeciwną, to wagony milkną. Kiedy przyjechało się do pisarzy Białostocczyzny, Sokrata Janowicza lub Edwarda Redlińskiego, trzeba było zostać w gościnie parę dni. A tak w skrócie, z Zachodu przychodzi to, co wyskalowane i policzalne, a ze Wschodu czasem ożywczy powiew „chaosu”.

EWELINA NOWAKOWSKA,
kulturoznawczyni, politolożka, USWPS

Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, gdzie zapytany Polak mieszka – po lewej czy po prawej stronie Wisły. Ponieważ to Wisła stanowi naturalną linię podziału. Dolnośląskie obrazy Willmanna są zatem symbolem Zachodu, a lubelskie freski na zamku – Wschodu. Podobnie zachodnia jest Zielona Góra i jej winobranie, a wschodni – zagubiony na bagnach Drohiczyń. W polskiej kuchni można dostrzec wpływy wschodnie (np. ukraińskie pierogi, barszcz) i zachodnie (np. gulasze, sznycle). Polska jest bowiem od wieków miejscem spotkania wpływów Wschodu i Zachodu, co z jednej strony jest wielką szansą, z drugiej zaś – wielkim niebezpieczeństwem.

Przez ostatnie stulecia na nasze nieszczęście zazwyczaj zwyciężała ta druga opcja.

TOMASZ SULIMA,
etnograf

W Polsce porzobiorowej, kiedy podczas podwieczorku w Krakowie popijano kawę z Wiednia, w Warszawie pijało się w tym samym czasie herbatę z Petersburga. To było 100 lat temu, jednak ta anegdota mówi wiele o wpływach Wschodu i Zachodu na naszą mentalność. W perspektywie historycznej ten środek ciężkości Wschód-Zachód co jakiś czas przesuwiał się raz w jedną, raz w drugą stronę. Nasza kultura to miks życia na pograniczu. Widoczne są w niej silne elementy, takie jak charakterystyczny dla Zachodu indywidualizm, ale też przywiązanie do rodziny i zbiorowości znane kulturze wschodniej. Takich cech jest oczywiście dużo więcej. Trudno jednak nie popaść przy takim pytaniu w stereotypizację rzeczy charakterystycznych dla Wschodu i Zachodu. We współczesnej Polsce wiele rzeczy z tych dwóch kultur ze sobą współbrzmia. Warto również pamiętać, że dziś Wschód jest przesiąknięty Zachodem i odwrotnie. Weźmy sytuację w USA. Wzrost znaczenia amerykańskiego prezydenta jako lidera jest paradoksalnie figurą typowo wschodnią.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

75 LAT ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH

WARTO BYŁO

**Praca, rozwój, kompetencje, kompromis.
To był kod kulturowy ludzi ZSP, który tak bardzo
pomógł im w karierach w latach III RP**

Robert Walenciak

Aby zrozumieć fenomen ZSP, trzeba przejść na drugą stronę rzeki. Odrzucić solidarnościowe opowieści o Polsce Ludowej, ipienowskie czytanki, tę propagandę, która niczym mgła zasłania Polskę lat 60. i 70. Trzeba też pewnego wysiłku intelektualnego – Polska sprzed Solidarności, tej pierwszej, to inna Polska niż po tym okresie. Inna, jeśli chodzi o społeczeństwo, jego aspiracje, sposób funkcjonowania. Inna również, jeśli chodzi o środowisko studenckie.

Dopiero wtedy niezrozumiałe stało się zrozumiałym.

Zrzeszenie Studentów Polskich narodziło się w 1950 r., w najciemniejszych czasach stalinowskich. Trudno więc doszukiwać się tu budującego mitu. A jednak... ZSP powstało w wyniku połączenia się organizacji samopomocowych działających w środowisku akademickim, podczas Kongresu Studentów Polskich 16 kwietnia 1950 r. O jego dalszych losach zadecydowały dwa elementy. Po pierwsze, ZSP sformatowano jako organizację skupiającą się na sprawach bytowych studentów, kwestie ideologii pozostawiając w gestii ZMP. To ZMP był główną organizacją młodzieży, a ZSP – de facto studenckim związkiem zawodowym.

Ten podział okazał się istotny – ocalił niezależność ruchu studenckiego. W krajach tzw. realnego socjalizmu to był ewenement. Tam z reguły była jedna organizacja, w rodzaju

Komsomołu czy Wolnej Młodzieży Niemieckiej (FDJ), która jednoczyła wszystko. Do tego ustalono, że pieczę polityczną nad ZSP będzie sprawować wydział nauki KC PZPR, a nie – tak jak w przypadku ZMP, a później ZMS i ZSMP – wydział organizacyjny. To było decyzją kluczową – nie oczekiwano od ZSP politycznych serwitutów (przynajmniej nie w takiej skali jak od ZMP, ZMS), wydział nauki traktował zrzeszenie po akademicku, pozostawiając sporo swobody. Po drugie, statut ZSP zakładał pięcioprzymiotnikowe wybory na wszystkich szczeblach i luźną strukturę. Aby pełnić jakąś funkcję, trzeba było zostać wybranym w tajnym głosowaniu. Czyli ważniejsze było poparcie wyborców, studentów, kolegów, a nie władzy. I może jeszcze jedno. Przywykliśmy, że w Polsce Ludowej wciąż powtarzano, że to państwo robotników i chłopów, że klasa robotnicza jest przewodnią siłą itd. Warto zatem dodać tutaj, że tamta Polska miała też swoich ulubieńców. To była nasza młodzież, studenci, nasza przyszłość. Im wolno było więcej, im bardziej się pobażało, ich kochano, w nich lokowano nadzieje.

To był ten zaczyn.

Bogdan Jachacz, rocznik 1941, bardzo się emocjonuje, gdy opowiada o ZSP. Do zrzeszenia zapisał się pierwszego dnia studiów. To było w Toruniu, w 1959 r. Był świeżutkim studentem polonistyki. Dostał się! Dla niego, chłopca spod Świecia, studia, studenckie życie to był świat pełen atrakcji i możliwości

samorealizacji. Marzył o nim, czytając „Świat Młodych” – regularnie, każdy numer, bo miał umowę z dworcowym kioskarzem i mógł pożyczać gazety do domu. Teraz ten gazetowy świat przed nim się otwierał. Jachacz czerpał więc z niego pełnymi garściami.

Już na pierwszym roku wybrano go do rady wydziałowej. Na drugim – do rady uczelnianej. Dwie kadencje był szefem Rady Uczelnianej ZSP na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. „Do ZSP należało 90% studentów. Trzeba było mocno pracować, żeby cię wybrali”, podkreśla. I zaraz dodaje: „Mieliśmy koła naukowe, organizowaliśmy rajdy turystyczne, była muzyka, jazz, muzyka poważna... Byłem pierwszym, który zorganizował toruńskie juwenalia. Otwierałem je razem z rektorem. Cały Toruń się bawił. Zaprośiliśmy Jerzego Waldorffa na wykład o muzyce poważnej. Co tu zrobić, żeby o tym wszyscy mówili? Zamówiliśmy karetę i karetą przewieźliśmy go uroczystie przez całe miasto”.

Historia Bogdana Jachacza jest piękna i typowa zarazem. Chłopak z małej miejscowości, zdolny, rozbudzony intelektualnie, pełen energii, rozpoczyna studia – i niebo się przed nim otwiera. Zrzeszenie daje mu dziesiątki możliwości samorealizacji, dostęp do czegoś ciekawego, inspirującego. I nie była to polityka.

Rzecz charakterystyczna: gdy w 1962 r. Karol Modzelewski z Jackiem Kuroniem organizowali na Uniwersytecie Warszawskim klub dyskusyjny, to tworzyli go pod auspicjami



Juwenalia w Krakowie,
maj 1961 r.

sformułowaniu pewna przesada, ale nigdzie indziej poza środowiskiem akademickim pewne rzeczy nie mogłyby powstać. Działacze zajmujący się studencką kulturą, crème de la crème życia studenckiego, wspominają tamte czasy jako bezustanną grę. Z jednej strony, była polityka władz, które coraz czujniej spoglądały na aktywność studencką, tym czujniej, im gorsza była sytuacja w kraju. Z drugiej zaś – twórcy, którzy nie chcieli być hamowani i którzy uważali, że SZSP powinien trzymać nad nimi swoisty parasol. Było to coraz trudniejsze, więc wymyślano różne triki, by treści uczynić strawnymi dla cenzora. Że to specyfika

ZMS i Komitetu Uczelnianego PZPR, z ramienia którego prowadzili z nimi rozmowy Aleksander Smolar i Włodzimierz Brus. ZSP tam nie było. Zrzeszenie było od innych spraw.

Tadeusz Sawic, były przewodniczący SZSP, gdy opowiada o tym czasie, podkreśla, że organizacje w różnych ośrodkach miały swoją specyfikę. Decydowały o tym osobowości liderów, relacje z władzami, historia. No i instytucje. Inaczej działało studenckie radio, a inaczej teatr, kabaret, klub, spółdzielnia pracy czy studencka turystyka. Te wszystkie rodzaje aktywności opierały się na kreatywności i umiejętnościach liderów. Nikt nikogo nie hamował.

Grzegorz Kołodko do dziś pamięta datę 11 lipca 1968 r., kiedy zobaczył swoje nazwisko na liście przyjętych na studia na warszawską SGPiS. I już w październiku znalazł się w radzie wydziału. To go wciągnęło. „Już w połowie drugiego roku studiów zostałem przewodniczącym Komisji Kultury Rady Uczelnianej – opowiadał w „Przeglądzie”. – Dobrze się w tym czułem. Gdy byłem szefem komisji propagandy i informacji na wydziale, założyłem i redagowałem gazetkę ścienną »Studenckie

Vademecum«. Mój pierwszy artykuł pamiętam do dziś: »Ona jedna, ich czterech i nas tysiące«. To był esej o wielkim wydarzeniu kulturalnym, jakim był bal ze znakomitą Mirą Kubasińską i zespołem Breakout w kultowej Auli Spadochronowej. Potem, gdy byłem przewodniczącym komisji kultury, miałem okazję sam organizować podobne bale. Wielka

studenckiego życia, że kontrkultura... Albo stosowano fortele. O jednym z nich opowiada Krzysztof Szamalek: „Była słynna Warszawska Grupa Teatralna, prowadził ją nieżyjący dziś Bohdan Cybulski – to była najwybitniejsza grupa obok Teatru Ósmego Dnia. Ona kontestowała PRL, bo każdy, kto w ruchu kulturalnym działał, miał wrażliwość rozwiniętą ponad

Żeby zrozumieć fenomen ZSP, trzeba odrzucić solidarnościowe opowieści o Polsce Ludowej, ipeenowskie czytanki, propagandę, która niczym mgła zastania Polskę lat 60. i 70.

frajda! Zrobiłem bal ze Skaldami, z Niemenem, z Trubadurami. Zorganizowałem koncert Marka Grechuty. Ze wszystkimi przy okazji człowiek wypił więcej niż jedno piwo”.

W takich przedsięwzięciach jak teatr czy kabaret, zwłaszcza w latach późniejszych, trzeba było manewrować. Tadeusz Skoczek w artykule „Kultura studencka 1975-1989: próba opisu zjawiska” oceniał, że ruch studencki jako mecenas kultury miał dużą autonomię pozwalającą na nieskrępowany rozwój prawie każdego pomysłu twórczego. Tadeusz Sawic zaznacza, że jest w tym

średnią, więc było oczywiste, że musi kontestować. Ta grupa była utrzymywana ze środków SZSP. I miała problemy z cenzurą. Cybulski zwrócił się więc do nas o pomoc, z prośbą o jakiś parasol ochronny. I go dostał. W jaki sposób? Jeżeli był spektakl w Stodole czy w Proximie, na użytek cenzury pisało się: »Spektakl zamknięty. Wstęp tylko dla członków SZSP za okazaniem legitymacji«. Cenzura wtedy się odczepiała”.

By uzmysłowić sobie skalę tamtych działań, warto zerknąć do danych zebranych przez Janusza Gasta ▶

► z Fundacji Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego im. Wiesława Klimczaka. W 1953 r. studenci UW założyli Studencki Teatr Satyryków (STS). W następnych latach powstawały kolejne teatry: Bim-Bom w Gdańsku, Kalambur we Wrocławiu, Pstrąg w Łodzi, Teatr 38 i Teatr STU, KTO w Krakowie, Teatr 77 w Łodzi, Teatr Ósmego Dnia w Poznaniu, Scena Plastyczna KUL i Provisorium w Lublinie, Akademia Ruchu w Warszawie i wiele innych. Powstawały również studenckie kabarety: Pod Budą, Protekst, Elita, Tey, Kabaret Hybrydy, Stodoła, Kabaret Długi z Gliwic i inne. Prof. Lech Śliwonik podaje, że w latach 60. działało ponad 140 teatrów studenckich, 80 zespołów jazzowych, 50 kabaretów, 40 chórów. Odbyło się ponad 90 festiwali. I nadal są organizowane: Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie, Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej FAMA w Świnoujściu, Międzynarodowy Festiwal Jazz nad Odrą we Wrocławiu, Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego Old Jazz Meeting Złota Tarka w Łławie oraz Jazz Jamboree w Warszawie.

Większość imprez była organizowana przez środowiskowe i uczelniane kluby studenckie, których w szczytowym momencie było w Polsce ok. 200. Te największe: Hybrydy, Stodoła, Riviera Remont w Warszawie, Rotunda, Jaszczury, Zaścianek w Krakowie, Pałacyk we Wrocławiu, Żak w Gdańsku, Cicibór w Poznaniu, Kontrasty w Szczecinie, Chatka Żaka w Lublinie i Od Nowa w Toruniu, to były „kombinaty studenckiej kultury”. To tu rozpoczynali karierę przyszli poeci, literaci, reżyserzy, aktorzy, wokaliści, muzycy jazzowi i menedżerowie kultury.

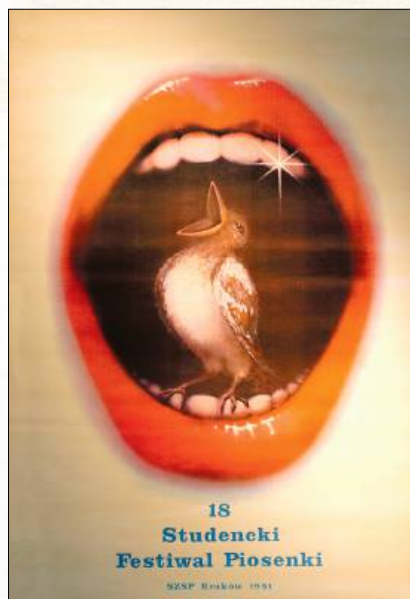
Była jeszcze trzecia strona – odbiorcy. Studencka publiczność – wymagająca i krytyczna. I głosująca. O tym wspominaliśmy. Wszystkie stanowiska w ZSP pochodziły z wyboru, więc żeby je zdobyć, trzeba było w pierw uzyskać poparcie większości. Do dziś dawni działacze ZSP opowiadają o tamtych wyborach z błyskiem w oku. O tym, jak zabiegano o poparcie wydziałów, ba – grup dziekańskich, pięter w akademiku...

Wystawa plakatów studenckich 1950-1990, Muzeum Niepodległości w Warszawie.



Hybrydy 1957-1967. Dni Klubowe.
Autor: Bronisław Modrzejewski.

XVIII Studencki Festiwal Piosenki, Kraków, 1981 r.
Autor: Jacek Zaborski.



O tym, że plakaty zwisały w Auli Spadochronowej SGPiS, dziś SGH, na kilka pięter.

Po wygranej nadchodził czas weryfikacji, trzeba było udowodnić swoją jakość. To niesamowicie wciągało, niektórzy brali urlopy dziekańskie, żeby mieć czas na kolejne

przedsięwzięcia. Inni obowiązki organizacyjne i naukowe godzili bez kłopotów. Henryk Skarżyński, szef rady uczelnianej w Akademii Medycznej, udał się do rektora, by zorganizować konkurs „Primus inter pares”. „Będzie pan w tym uczestniczył?”, pytał rektor. Rok później Skarżyński z jego rąk odbierał nagrodę dla najlepszego studenta...

Oczywiście można mówić, że ZSP było atrakcyjne, bo na tle tamtej Polski życie studenckie kusiło, jak magnes przyciągało tych najbardziej dynamicznych, zdolnych. To prawda. Ale też ich formatowało. System wyborów uczył demokracji i demokratycznych reguł gry. „Po roku 1990 nie były dla mnie zaskoczeniem demokratyczne procedury, wybory, tajne głosowania. To obowiązywało w ZSP. Dla mnie zawsze bardzo silną rekomendacją było, że ktoś był szefem rady uczelnianej albo wiceszefem rady okręgowej, gdyż wiem, że aby tam dojść, trzeba było mieć coś w swoim dorobku”, mówi Wiesław Kaczmarek, przewodniczący rady uczelnianej na Politechnice Warszawskiej.

System wyborów uczył również tak potrzebnej w życiu publicznym elastyczności. Bo trzeba było mieć dobre kontakty nie tylko z władzą, ale i z kolegami z organizacji, no i mieć autorytet wśród braci studenckiej. Umiejętność zawierania kompromisów, dogadywania się, działania w drużynie – to były cechy, które w sposób naturalny zrzeszenie rozwijało. „Gdy dziś patrzę, jak się przygotowuje studentów zarządzania na najlepszych amerykańskich uniwersytetach do przyszłej pracy zawodowej, to widzę, jak wiele zawdzięczam SZSP” – to opinia Ireneusza Nawrockiego, który kierował SZSP na SGPiS i był wiceprzewodniczącym rady naczelnej. „Zachodnie struktury korporacyjne globalizują się, mają charakter wielokulturowy. Tam kładzie się nacisk na umiejętność wspólnego działania, na otwartość, na umiejętność przyjmowania pomysłów. Praca drużynowa jest tu najważniejsza. I właśnie tę umiejętność posiadają byli działacze ZSP i SZSP. Jesteśmy otwarci. Lubimy składać drużynę, zastanawiać się, kto ma jakie talenty

i jak je najlepiej wykorzystać. Szybciej niż inni potrafimy wyrobić sobie trafną opinię o każdym członku grupy. Nic dziwnego, przecież w SZSP pracowaliśmy z setkami ludzi, mamy w głowie całą ich typologię. Trzeba było zawsze z kimś się dogadać, kogoś przekonać, coś załatwić. Ja i moi koledzy obserwujemy obecnych absolwentów. Są bardzo dobrze wykształceni, pracowici, można powierzać im najtrudniejsze zadania – dadzą sobie radę. Aż do momentu, kiedy przychodzi im kierować grupą – wtedy kończy się to konfliktami, kłapą”.

Historia potwierdza słowa Ireneusza Nawrockiego. Prof. Jacek Raciborski, też były działacz SZSP, przelizował ścieżki kariery swoich kolegów. I oto, co mówi: „Wybrany na III Zjeździe SZSP Komitet Wykonawczy Rady Naczelnej składał się z 18 osób. Przyjrzałem się ich losom w III RP. Oto zestawienie funkcji, do których doszli: (1) prezydent RP, (2) minister skarbu, (3) wiceminister w URM i w MSZ, amba-

sador w USA, (4) prezes PZU Życie, (5) przewodniczący Rady Nadzorczej TVP, (6) redaktor naczelny „Trybuny”, (7) wiceprezes zarządu PGNiG, (8) wysoki urzędnik w Kancelarii Prezydenta, ambasador w Kijowie, (9) prezes Związku Banków Polskich, (10) dyrektor gabinetu politycznego ministra. Z pozostałych ośmiu trzech zostało właścicielami sporych

Tadeusz Sawic, były przewodniczący SZSP, podkreśla, że wszystkie rodzaje aktywności opierały się na kreatywności i umiejętnościach liderów. Nikt nikogo nie hamował.

firm, dwóch dyrektorami, jeden zmarł przed 1989 r. i tylko dwóch nie osiągnęło znaczących pozycji. Zdumiewające nagromadzenie karier”.

A szefowie innych struktur? Późniejsze kariery szefów klubów studenckich, kół naukowych, dyrektorów Almaturu potwierdzają wartość ZSP/SZSP. Zaprawę w działalności studenckiej ma prof. Henryk Skarżyński, wybitny specjalista i równie wybitny menedżer. Prof. Leszek

Kaczmarek, laureat licznych nagród z dziedziny genetyki, to były szef koła naukowego na wydziale biologii. Były dyrektor klubu Riviera Remont Waldemar Dąbrowski był później ministrem kultury i wieloletnim dyrektorem Teatru Wielkiego.

Pośród 12 dyrektorów Almaturu dwóch zostało ministrami, dwóch naczelnymi dyrektorami Orbisu,

jeden – szefem Nafty Polskiej, drugi – Polskiej Chemii, a trzeci – polskich przedstawicielstw Marlboro i PepsiCo.

A studenckie media? „ITD” kierowali tacy naczelni jak Bogdan Jachacz, Józef Węgrzyn, Waldemar Siwiński, Aleksander Kwaśniewski... „To był tygodnik wyjątkowy – ocenia Marta Sztokfisz. – Tworzony z pasją, talentem, absolutnie profesjonalny. W piśmie, którym kierował też ▶

Na czym polegał fenomen ZSP?

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI,
prezydent RP w latach 1995-2005

Środowisko studenckie skupiało wyjątkowych ludzi. Dostać się na uczelnię było trudno. Ograniczona liczba miejsc, dużo kandydatów, konkurencja powodowały, że ludzie zdolnych, utalentowanych, nierzadko wybitnych było w bród. ZSP nie było organizacją ideologiczną, mogło więc bez ograniczeń łączyć różnych ludzi wokół ich zainteresowań: kultury, turystyki, nauki itd. ZSP było ewenementem w bloku wschodnim. Korzystało ze „studenckich papierów”, dawało wolność młodym twórcom, pozwalało na otwarte dyskusje, demokratycznie wybierało władze na wszystkich szczeblach, uczyło dialogu i szacunku dla różnych poglądów.

I jeszcze jedno – relacje wewnątrz ZSP były szczere i bezinteresowne, nikt bowiem nie wiedział, co z kogo wyrośnie, kto kim będzie w przyszłości, liczyło się tu i teraz i przyjemność z bycia razem, zrobienia czegoś wspólnie, dania radości innym.

PROF. MAREK BELKA,
premier RP w latach 2004-2005

Fenomen ZSP polegał na tym, że była to organizacja powszechna i dostępna dla wszystkich studentów. Na szczeblach do poziomu uczelnianego, przynajmniej z mojej łódzkiej perspektywy, całkowicie niezależna od władz politycznych.

Najistotniejsze, że panowała w niej żelazna zasada selekcji pozytywnej. Znaczyło to tyle, że aby awansować w hierarchii ZSP, trzeba było mieć talent – chociaż wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że chodzi o talent polityczny. Na ogół byli to także świetni studenci.

ZBIGNIEW KOWAL,
były prezes Almaturu

Ważne były trzy rzeczy. Pierwsza to unikatowe połączenie aktywności młodych ludzi z pieniędzmi państwa. To umożliwiało zaspokajanie wszelkiego rodzaju marzeń i aspiracji w najszerszym tego słowa znaczeniu. Od nauki, poprzez kulturę, turystykę, po sprawy socjalne i wiele innych rzeczy ważnych dla pokolenia powojennego. Drugą unikatową cechą ZSP były jego demokratyczność, transparentność i samorządność. Widać też, że organizacja była w swojej działalności w ogromnej mierze apolityczna. Trzecią cechą ZSP była ogromna wszechstronność, która obejmowała zarówno działania naukowe, jak i kulturalne oraz turystyczne. Tylko w środowisku warszawskim działało w latach 70. ok. 100 klubów turystycznych. Almaturu był swego rodzaju fenomenem w ówczesnej Europie. Na koniec trzeba podkreślić jeszcze jedną rzecz – ZSP to była świetna szkoła życia przygotowująca do dorosłości.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

► późniejszy prezydent Polski Aleksander Kwaśniewski, rodziły się kariery wybitnych dziennikarzy, skutecznych menedżerów, znanych pisarzy, ale pracowało w nim także kilku działaczy partyjnych centralnego szczebla. Nikt jednak nie powie, że była to kolebka kadry partyjnej bezgranicznie oddanej idei marksizmu. Nawet ci »czerwoni« robili uniki, walczyli z narzuconymi rygorami i cenzurą, by nie nadszarpnąć dobrego imienia tytułu. Nigdy bym się nie spodziewała, a jednak lepiej mi się z nimi pracowało niż w demokratycznej polskiej prasie!».

Czy ta młodzież, te cudowne dzieci socjalizmu szczykowały się na wielką zmianę? To nie tak. Lata 70. były czasem otwarcia na Zachód. Almatu szalała. Studenci, nie tylko liderzy SZSP, jeździli po świecie, mogli porównywać. Ich opinie były w zasadzie takie jak większości młodych inteligentów. „Wtedy nie sądziłem, że z czasem staniemy się krajem kapitalistycznym, tylko chciałem, aby nasz dystans rozwojowy do Europy Zachodniej szybciej się zmniejszał. Wierzyliśmy w przytaczającą większość, nawet kontestując punktowo

systemu. Kierunek wydawał się wówczas oczywisty, było natomiast pytanie o wielkość pola manewru, a także o konkretne rozwiązania i tempo zmian. Pamiętam dyskusje o możliwych formach jakiejś finlandyzacji, bez kwestionowania członkostwa PRL w Układzie Warszawskim...”. Uwagi Koźmińskiego dość dobrze oddają tamten klimat i czasy, którym kres położył Sierpień '80.

Jego pokolenie inaczej patrzyło na świat niż ich młodszy o 10 lat koleś, pokolenie NZS wychowane na konspirze i antyjaruzelskich manifestacjach. Lata 60., 70. to nie był czas buntu bezsilnych. To było szukanie sposobu, by było lepiej. Aleksander Kwaśniewski, opisując w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim kolegów ze studiów, środowisko SZSP, mówił: „To były niekończące się dyskusje, jak reformować Polskę, jak ją zmieniać. Oczywiście przez cały czas z uwzględnieniem ograniczeń geopolitycznych”. I dodawał: „Znałem świat, wiedziałem, że ZSRR to nie jest najwyższy poziom cywilizacji. Pytanie było takie: co można zrobić, żeby Polska była krajem zorganizowanym, zamożnym, żeby ludzie żyli normalnie, żeby mieli

z hukiem. Organizacja, która zrzeszała ponad 90% studentów, nie mogła być w polskich warunkach jednoznacznie identyfikowana politycznie. Nie mogła angażować się w politykę, bo nie tego chcieli jej członkowie.

Że tak jest, mogliśmy się przekonać w 1973 r., kiedy nastąpiło formalne zjednoczenie organizacji młodzieżowych i ZSP zostało przekształcone w Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, mając nad sobą czapkę pod nazwą Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. To S z przodu nie było dobrze przyjmowane. Mówiono: „S(pieprzone)ZSP”. Na niektórych uniwersytetach działacze ostentacyjnie nie zakładali czerwonych krawatów, na KUL działalność organizacji wygaszono... Łatwo więc ten manewr nie przeszedł, choć w późniejszych latach jakoś został rozmasowany.

Kolejne zderzenie z polityką miało miejsce w drugiej połowie lat 70., gdy zaczęła działać opozycja demokratyczna. SZSP był tu bezradny, bo wciągnięty został w bój, w którym być nie chciał. Dzień po podpisaniu umów sierpniowych Aleksander Kwaśniewski i Jerzy Koźmiński napisali projekt rezolucji, który potem przyjęła Rada Naczelna SZSP, a który zaczynał się od słów „Wróciliśmy z wakacji odmienieni...”.

To był entuzjazm dla nowego. Tadeusz Sawic, wspominając tamten czas, mówi: „Tekst manifestu niezwykle, bo jego ideową osnową była akceptacja dla wystąpień robotniczych. Był to pełnokrwisty polityczny i społeczny program organizacji młodej inteligencji, za jaką się uważaliśmy. Był to pierwszy ruch społeczny należący do architektury PZPR, który otwarcie opowiedział się za treścią porozumień sierpniowych, za programem zmian”. Zmian, ale z respektem dla pojałtańskiego ładu...

Nadzieje na spokojne zmiany szybko zostały zweryfikowane przez bój polityczny. Radykalizacja społeczna zmieniła Polskę. Powstało NZS, które jako jeden z celów wyznaczyło sobie atakowanie SZSP jako części systemu. A działaczy, kolegów ze studiów – jako partyjnych aparatczyków. Tak atakowany SZSP praktycznie się rozpadł. Z jednej strony, potrafił przyjąć

Wszystkie stanowiska w ZSP pochodziły z wyborów, więc żeby je zdobyć, trzeba było wpięć większość.

realny socjalizm, że to jeszcze da się naprawić, ulepszyć” – to opinia Grzegorza Kołodki.

Podobnie brzmią słowa Jerzego Koźmińskiego: „Gdybym miał odtworzyć nasze myślenie z tamtego okresu, sprzed roku 1980, to na pewno uważaliśmy, że świat Zachodu jest bardziej racjonalnie zorganizowany, że dominuje w nim normalność, że dzięki temu społeczeństwu żyje się lepiej”. „A jednocześnie było jasne, że istnieją uwarunkowania geopolityczne, które wyznaczają nasze miejsce i nie da się ich zmienić, przynajmniej za naszego życia – zaznacza Koźmiński. – Trzeba jednak podpatrywać ten lepszy świat, przejmować dobre rozwiązania, dążyć do ewolucyjnego przekształcania

poczucie wolności, satysfakcji. I tu spotkały się dwie drogi. Pierwsza: próbować reform. Druga: odrzucić wszystko, co było, i budować nowe”. Nie miejmy złudzeń. O tych dwóch drogach Kwaśniewski mówi przez grzeczność. W latach 70. chętnych do robienia rewolucji wielu nie było. Każdy wiedział, że pole manewru jest niewielkie. I że trzeba je poszerzać. Jak? Pracą, rozwojem, kompetencjami.

To był kod kulturowy ludzi ZSP, który tak bardzo pomógł im w karierach w latach III RP. Choć w latach 80. wydawał się anachronizmem.

SZSP nie przeszedł suchą nogą przez karnawał Solidarności. W zasadzie można rzec, że zawałło się

rezolucję domagającą się utworzenia rządu jedności narodowej, który miał się składać z przedstawicieli PZPR, Solidarności i Kościoła. Z drugiej – przewodniczący SZSP Stanisław Gabrielski został członkiem Sekretariatu KC PZPR. A rada naczelna nie mogła się zebrać z braku kworum.

To był czas głębokich podziałów, tu miejsca dla tych, którzy chcą kompromisu, dogadywania się, nie było. Dlatego tak trudno było odbudować ZSP w latach 80. Bo to wciąż był czas

o mnie, że jestem partyjny beton. Dobra, niech wam będzie. Może i jestem beton, ale sentymentalny. Odwieszamy to »ITD«.

Ale chyba jeszcze lepsza jest historia Sawica o Kwaśniewskim. Opowiedział ją podczas spotkania działaczy SZSP z okazji jego 70. urodzin. „Aleksander to wysokiej klasy specjalista od prześmiewania głupoty, ale też mistrz w budowaniu małych prowokacji, żartu, sytuacyjnego dowcipu. Otóż po politycznym

Aleksander Kwaśniewski, opisując kolegów z SZSP, mówił:
„To były niekończące się dyskusje, jak reformować Polskę, jak ją zmieniać. Oczywiście z uwzględnieniem ograniczeń geopolitycznych”.

wyboru: po której jesteś stronie? I nawet to, że zorganizowałeś koło naukowe albo bufet na wydziale, oznaczało, że popierasz partię. Dopiero nowe czasy pozwoliły, przynajmniej częściowo, zejść z koturnów. I okazały się najlepszymi czasami dla ludzi ZSP.

A Kwaśniewski, postać najważniejsza dla ZSP? Jest wiele anegdot pokazujących go w trudnym okresie „odbudowywania mostów”. Jedna, dobrze znana, mówi o tym, jak załatwił w 1982 r. u Stefana Olszowskiego, członka Biura Politycznego KC PZPR (byłego szefa ZSP!), zgodę na reaktywację „ITD”. W końcu Olszowski miał powiedzieć: „Wiem, mówią

upadku Edwarda Gierka w 1980 r., na Ordynackiej zostały książki z jego przemówieniami. Aleksander rozdawał je ku pamięci, zaopatrując w odpowiednią dedykację. Mnie dostał się egzemplarz z dedykacją: »Drogiemu Towarzyszowi Tadeuszowi Sawicowi z serdeczną przyjaźnią i podziękowaniem za wspólną nieustępliwą walkę o ideały socjalizmu«. Podpisano ręką Aleksandra: Edward Gierek. Egzemplarz książki zabrałem ze sobą. Po latach, kiedy przeprowadzaliśmy się, moja córka – wówczas już licealistka – natknęła się na książkę, wydobyła z piwnicznego zaduchu. Tato, zapytała, ty byłeś tak blisko Edwarda Gierka? Cóż było robić, potwierdziłem”.

W opracowaniu „Elity rządowe III RP 1997-2004” pod redakcją prof. Jacka Raciborskiego porównane zostały elity SLD z tymi wywodzącymi się z NZS i Solidarności. Różnice są uderzające. Pokolenie Kwaśniewskiego dojrzało, organizując kluby sportowe, turystyczne, naukowe, oddając się pracy organicznej. Dla tych ludzi liczyły się wiedza, kompetencja, stopniowe poprawianie istniejącej sytuacji. Dla pokolenia NZS wszystko zaczynało się od patriotycznych uniesień.

To doskonale zresztą tłumaczy, dlaczego Kwaśniewski nie wybrał Solidarności. Powiedział to sam: „Jak zobaczysz, kto ze znanych mi osób wchodzi do Solidarności, a widziałem tam ludzi, których nie miałem powodów szczególnie szanować za pracowitość, wiedzę czy intelekt, to uznałem, że trzeba wytrzymać ten napór”.

W polskiej publicystyce ważną rolę odgrywa opowieść, że Solidarność lat 1980-1981 była wspaniałym ruchem skupiającym najlepszych Polaków i jedyną drogą do wolności. Kwaśniewski w ten pomnik uderzył – że niekoniecznie tak musiało być, że było różnie. Że jest z innego świata i ten świat też ma prawo do swojej historii i szacunku.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

BOGATA OFERTA I NAJLEPSZE CENY



Zajrzyj na sklep.tygodnikprzeglad.pl
i znajdź coś dla siebie

WYBIERZ ROCZNĄ E-PRENUMERATĘ PRZEGŁĄDU

- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Nowa Huta – wyjście z raju” GRATIS
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji KUP NA PREZENT

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU NASZYCH E-BOOKÓW

- Mamy już 52 tytuły
- Kupuj szybko i wygodnie
- Natychmiastowy dostęp
- Zero papieru w trosce o środowisko

Rzeźnik Ziobry już niegroźny

Przemysław Radzik przez sześć lat ścigał sędziów sprzeciwiających się upolitycznianiu wymiaru sprawiedliwości. Teraz sam jest ścigany

Andrzej Sikorski

Środowisko sędziowskie odechnęło z ulgą. Adam Bodnar wreszcie odwołał Przemysława Radzika z funkcji zastępcy rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych. Radzik, zwany też „rzeźnikiem”, „katem”, „egzekutorem”, to jeden z tzw. trzech głównych rzeczników dyscyplinarnych (oprócz Piotra Schaba i Michała Lasoty), którzy za rządów PiS zajmowali się represjonowaniem sędziów tylko dlatego, że ci stosowali się do wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka oraz Sądu Najwyższego i protestowali przeciwko upolitycznianiu sądownictwa.

Na politycznej fali

Co ciekawe, Radzik, który miał stać na straży moralności sędziów, w przeszłości był karany dyscyplinarnie. W 2007 r. jako szeregowy sędzia Sądu Rejonowego w Krośnie Odrzańskim został ukarany upomnieniem przez sąd dyscyplinarny za to, że wydawał wyroki z naruszeniem zasad prawa karnego. Kara dyscyplinarna nie jest niczym chwalebny dla sędziego, stanowi wręcz przeszkodę w dalszej karierze, np. blokuje awans na stanowiska funkcyjne i do sądów wyższej instancji. Ale dla Zbigniewa Ziobry to nie był problem. Gdy PiS doszło do władzy, Radzik zrobił spektakularną karierę. Został delegowany do Sądu Okręgowego w Warszawie, a potem na wniosek neo-KRS prezydent Andrzej Duda wręczył mu nominację na sędziego Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Radzik był

także wiceprezesem w obu stołecznych sądach i wiceprezesem Sądu Apelacyjnego w Poznaniu.

Dzięki układom politycznym karierę zrobiła żona Radzika, radczyni prawna z Zielonej Góry. W 2020 r. Gabriela Zalewska-Radzik została dyrektorką jednego z warszawskich sądów rejonowych, a w 2021 r. prezydent Duda po rekomendacji upolitycznionej KRS wręczył jej nominację na sędziego Naczelnego Sądu Administracyjnego. Wywołało to wzburzenie w środowisku prawniczym, bo awans na sędziego NSA powinien być ukoronowaniem kariery sędziowskiej, a nie synekurą.

„tyranią”, „prerażającym terrorem” i „bezprawiem”, co zabrzmiało absurdalnie. W rozmowie z „Rzeczpospolitą” zaś na zarzuty, że łamał prawo, odpowiadał arogancko, że to „*licentia poetica* władzy politycznej”. No to zobaczmy, jak wygląda ta twórczość poetycka.

Karna zsyłka i bezprawne zawieszenie

Odwołując Radzika, minister sprawiedliwości uznał, że ten „podjął szereg decyzji, które budzą wątpliwości w zakresie swojej zasadności i legalności”, a „w ich wyniku utracił podstawowy przymiot

Gdy PiS doszło do władzy, Radzik zrobił spektakularną karierę: został delegowany do Sądu Okręgowego w Warszawie, potem nominowany na sędziego Sądu Apelacyjnego w Warszawie.

Przemysław Radzik uważa, że został odwołany bezprawnie, ponieważ znowelizowana przez PiS ustawa Prawo o ustroju sądów powszechnych nie przewiduje odwołania rzecznika przed upływem czteroletniej kadencji (a ta Radzikowi mija w połowie 2026 r.). W ten sposób ówczesny obóz władzy zabezpieczył swoje wpływy w sądownictwie. Warto mieć na uwadze, że to PiS wymyśliło urząd nieusuwalnego, politycznego rzecznika dyscyplinarnego i jego dwóch zastępców, których wyznaczył osobiście Zbigniew Ziobro.

Urażony Radzik urządził tournée po zaprzyjaźnionych mediach, a działania Adama Bodnara nazwał

sędziowski, jakim jest nieskazitelnosc charakteru”.

Jednym z wielu bezprawnych i bezpodstawnych działań Radzika (był on wtedy wiceprezesem Sądu Apelacyjnego w Warszawie) było przeniesienie w 2022 r. sędzi Ewy Gregajtys, sędzi Marzanny Piekarskiej-Drązek i sędzi Ewy Leszczyńskiej-Furtak z Wydziału Karnego do Wydziału Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Przerzucenie doświadczonych karnistek do innego wydziału stanowiło odwet i karę za wykonywanie wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i Sądu Najwyższego, na podstawie



Przemysław Radzik, który miał stać na straży moralności sędziów, w przeszłości był karany dyscyplinarnie.

których sędzie podważały status neosędziów i odmawiały orzekania z nimi. A takim wadliwym neosędzią jest też Radzik. Przeniesienie sędzi doprowadziło do chaosu w wydziale karnym, który borykał się z brakami kadrowymi. Wszystkie sprawy prowadzone przez Gregajtys, Piekarską-Drażek i Leszczyńską-Furtak przydzielono nowym sędziom, co wydłużyło czas trwania postępowań. A karnie relokowane sędzie musiały z dnia na dzień nauczyć się zupełnie nowego prawa pracy oraz nowego obszernego orzecznictwa sądów z tego zakresu.

W grudniu 2021 r. Przemysław Radzik (tym razem jako wiceprezes Sądu Okręgowego w Warszawie) bezprawnie i bezpodstawnie zawiesił doświadczonego sędziego Krzysztofa Chmielewskiego – również za to, że ten wykonał wyroki Sądu Najwyższego, Trybunału Sprawiedliwości UE oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i na ich podstawie zakwestionował status neosędzi nominowanej przez upolitycznioną KRS. Chodziło o Agnieszkę Stachniak-Rogalską, która nominację do sądu okręgowego dostała od neo-KRS, a jednocześnie

była resortową prezeską Sądu Rejonowego dla Warszawy-Zoliborza. Sędzia Chmielewski nie tylko zakwestionował status Stachniak-Rogalskiej, ale jeszcze orzekł, że skład nowej KRS nie jest zgodny z konstytucją, a nominacje przyznawane przez nią sędziom są wadliwe. „Oznacza to, (...) że osób powołanych na urząd sędziego na wniosek

Dzięki układom politycznym karierę zrobiła żona Radzika, radczyni prawna z Zielonej Góry.

nowej KRS nie można uznać za takie, które skutecznie i w sposób legalny objęły urząd na danym stanowisku”, stwierdził sędzia.

Chmielewski podważył też legalność Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, orzekając, że „instytucja ta, po zmianach prawnych i faktycznych zapoczątkowanych w 2015 r., utraciła cechy przynależne władzy sądowniczej i stała się de facto organem działającym na zlecenie władzy wykonawczej”. Taka postawa Chmielewskiego wywołała wściekłość nie tylko Radzika, ale także nielegalnej Izby

Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, która przedłużyła sędziemu zawieszenie, obniżając mu przy tym uposażenie.

Dyscyplinarka za wykonanie wyroku

Represje w postaci postępowania dyscyplinarnego Radzik zastosował wobec Krzysztofa Krygielskiego, wiceprezesa Sądu Rejonowego w Olsztynie, za to, że ten wykonał wyrok sądu i dopuścił do orzekania sędziego Pawła Juszczyżyna, zawieszonego w prawach sędziego przez nielegalną Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego. Juszczyżyn to pierwszy sędzia, który powołał się na wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z 19 listopada 2019 r., w którym stwierdzono, że system odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów w Polsce jest sprzeczny z prawem unijnym. Zażądał również od Kancelarii Sejmu przedstawienia list poparcia kandydatów do nowej KRS, co wywołało furię polityków PiS i wspierających tę partię sędziów.

Dyscyplinarka dla Krygielskiego była kuriozalna. Oto bowiem Radzik postawił zarzut sędziemu, że wykonując wyrok sądu, przekroczył swoje uprawnienia, a tym samym dopuścił się przestępstwa urzędniczego w związku z art. 231

Kodeksu karnego. Radzik zarzucił też Krygielskiemu, że postąpił wbrew ślubowaniu sędziowskiemu i uchybił godności urzędu sędziego, bo powinien zlekceważyć orzeczenia sądowe i stosować decyzję nielegalnej Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego o bezprawnym zawieszeniu Pawła Juszczyżyna (sic!).

Przemysław Radzik ma na sumieniu nękanie i represjonowanie wielu innych sędziów, takich jak Igor Tułeya, Sławomir Bagiński, Wojciech Maczuga, Anna Kalbarczyk, Anna Głowacka czy szczególnie znienawidzony przez PiS Waldemar Żurek, ▶

► rzecznik legalnej KRS, który miał ponad 20 dyscyplinarek.

Na celowniku prokuratury

Według moich ustaleń wobec „egzekutora Ziobry” toczy się obecnie kilkanaście postępowań dyscyplinarnych i karnych. Większość dotyczy represjonowania sędziów, ale są też inne sprawy. W 2024 r. prokurator regionalny we Wrocławiu

w dokumentach. Tyle że obecność Żurka w sądzie potwierdzili inni sędziowie. Okazało się, że Lasota nie zna prawa. Żurek mógł podpisywać orzeczenie z inną datą, niż je wystawiano, i mógł to robić nawet w domu lub w czasie podróży służbowej.

Jakby tego było mało, rzecznik Kasicki uznał, że zarzuty wobec Żurka zostały sprokurowane dlatego, że bronił on praworządności. Aby znaleźć haki na znienawidzonego

sędziego na liczne stanowiska funkcyjne, a zwłaszcza wiceprezesa Sądu Apelacyjnego w Warszawie, przy równoczesnym wykonywaniu funkcji jednego z zastępców Rzecznika Dyscyplinarnego Sądów Powszechnych (...), oraz ściganie sędziów za ich działalność orzeczniczą dowodzi jego silnego powiązania z władzą wykonawczą”. Sąd Najwyższy stwierdził też, że uruchamiane przez Radzika represje wobec sędziów dowodzą „woli spełniania oczekiwań tej władzy”.

Odwwołanie Przemysława Radzika z funkcji zastępcy rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych to nie koniec. W kolejce czekają głównie rzecznik dyscyplinarny Piotr Schab i jego drugi zastępca Michał Lasota. Oni również łamali prawo, stosując represje wobec sędziów. Ich odwołanie to tylko kwestia czasu.

W lipcu 2024 r. do biur Schaba, Radzika i Lasoty w asyście policji wkroczyli prokuratorzy wydziału spraw wewnętrznych Prokuratury Krajowej, by przejąć akta kilkudziesięciu spraw dyscyplinarnych bezpodstawnie wytoczonych sędziom. Ziobrowi „egzekutorzy” nie chcieli wydać tych dokumentów rzecznikom dyscyplinarnym ad hoc powołanym przez Adama Bodnara – Grzegorzowi

Radzik ma na sumieniu nękanie i represjonowanie wielu sędziów, w tym znienawidzonego przez PiS Waldemara Żurka, który miał ponad 20 dyscyplinarek.

złożył wniosek do Izby Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego o uchylenie immunitetu Radzika w związku z tzw. aferą hejterską. Zdaniem śledczych Radzik dopuścił się 10 przestępstw, m.in. udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i ujawnienia nieuprawnionym osobom informacji służbowych.

Z kolei Prokuratura Okręgowa w Koszalinie prowadzi śledztwo w sprawie pomówienia sędziego Grzegorza Kasickiego, rzecznika dyscyplinarnego ad hoc powołanego przez Adama Bodnara. Komentując na platformie X informację o umorzeniu przez Kasickiego 68 zarzutów dyscyplinarnych, które postawiono sędziemu Waldemarowi Żurkowi, Radzik napisał, że „bodnarski speczecznik skrócił sprawę sędziowskiego celebryty”.

Radzik oczywiście minął się z prawdą. Sędziemu Żurkowi zarzuty postawił zastępca rzecznika dyscyplinarnego Michał Lasota. Sprawa była dęta, a poszło o to, że Żurek w latach 2012-2018 wydawał w składach kolegialnych lub jednoosobowych orzeczenia dotyczące spraw proceduralnych na posiedzeniach niejawnych, bez udziału i obecności stron na sali rozpraw, co jest standardową procedurą. Lasota uznał, że Żurek nie mógł wydawać tych orzeczeń, bo nie było go wtedy w sądzie (jako rzecznik legalnej KRS często przebywał w Warszawie), i zarzucił mu poświadczenie nieprawdy

sędziego, przez kilka lat sprawdzało akta prowadzonych przez niego spraw i szukano jakichkolwiek powodów, by postawić mu zarzuty.

Oblany test niezależności

W 2023 r. Sąd Najwyższy w składzie legalnych sędziów Izby Karnej – Jarosława Matrasa, Marka Pietruszyńskiego i Andrzeja Siuchnińskiego – przeprowadził test na niezależność Radzika. „Rzecznik Ziobry” oblał egzamin, a Sąd

Zdaniem śledczych Radzik dopuścił się 10 przestępstw, m.in. udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i ujawnienia nieuprawnionym osobom informacji służbowych.

Najwyższy uznał, że sąd z jego udziałem nie jest niezawisły i bezstronny i nie spełnia standardów konstytucji, prawa Unii Europejskiej ani Europejskiej konwencji praw człowieka. Radzikowi wytknięto „niezwykle szybką, niemającą uzasadnienia w wyjątkowych kompetencjach merytorycznych drogę awansową” za rządów PiS, a jednym z tego powodów, jak stwierdzono, „niewątpliwie może być łączący sędziego Przemysława Radzika silny związek z Ministrem Sprawiedliwości, który pełni jednocześnie funkcję Prokuratora Generalnego”. Dalej Sąd Najwyższy wskazał: „Wszak mianowanie tego

Kasickiemu i Włodzimierzowi Brazewiczowi. Minister sprawiedliwości powołał Kasickiego i Brazewicza na początku 2024 r., by wygasić represje polityczne wobec sędziów. Rzecznicy mieli przejąć dyscyplinarki, a potem je umorzyć. W związku z bezprawnym przetrzymywaniem akt przez Schab, Radzika i Lasotę Prokuratura Krajowa chce tej trójce postawić zarzuty popełnienia przestępstwa i wystąpiła do SN o uchylenie immunitetów. Sprawę ma rozpatrzyć Izba Odpowiedzialności Zawodowej, w której zasiadają neosędziowie wybrani przez upolitycznioną KRS.

Andrzej Sikorski

Amerykański sen

Polska dla amerykańskich firm to istne eldorado: niskie podatki, tania siła robocza, uniżeni politycy



Grzegorz Rudnik

Mondelēz International zatrudnia ponad 5 tys. osób. Produkuje m.in. wafelki Prince Polo, herbatniki Lubisie i czekoladę Alpen Gold. Bielany Wrocławskie, Centrum Badań, Rozwoju i Jakości, czerwiec 2017 r.

W grudniu zeszłego roku wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz oświadczył, że w 2024 r. zawarto ok. 130 umów na rekordową kwotę ponad 153 mld zł! Nowy sprzęt i uzbrojenie trafiły do wszystkich rodzajów wojsk. Najbardziej lukratywne kontrakty dostały się amerykańskiemu koncernom.

W 2020 r. Amerykańska Izba Handlowa w Polsce i KPMG opublikowały raport zatytułowany „30 lat inwestycji amerykańskich w Polsce”. Wynikało z niego, że na koniec 2018 r. wartość tych inwestycji wyniosła 62,7 mld dol. Tylko w latach 2010-2018 sprzedaż amerykańskich towarów i usług w naszym kraju osiągnęła prawie 60,3 mld dol. Precyzyjnych danych za kolejne lata nie ma. Szacuje się, że do końca 2021 r. firmy z kapitałem amerykańskim stworzyły w Polsce 330 tys. miejsc pracy.

Polacy kochają Stany Zjednoczone. Od XIX w. kraj ten był głównym kierunkiem emigracji. Według danych rządowych w 2021 r. liczba

Amerykanów polskiego pochodzenia wynosiła 8,81 mln, co stanowiło ok. 2,67% populacji USA.

W sondażu na temat stosunku różnych narodów do ojczyzny obecnego prezydenta Trumpa, przeprowadzonym w pierwszej połowie 2023 r. przez amerykański ośrodek badawczy Pew Research Center, to Polacy okazali się najbardziej proamerykańską nacją, a pytanych było ponad 27 tys. osób dorosłych z 23 krajów. U nas aż 93% ankietowanych wypowiedziało się o USA pozytywnie.

Nie ma czemu się dziwić. W latach 70. i 80. w Stanach Zjednoczonych przebywało na tamtejszych uczelniach liczne grono stypendystów, z których najbardziej chyba znany to Leszek Balcerowicz, studiujący w latach 1972-1974 na St. John's University w Nowym Jorku. Granty Fulbrighta otrzymali m.in. redaktor naczelny tygodnika „Polityka” Mieczysław Rakowski i prof. Longin Pastusiak. Była to świetna okazja do nawiązania kontaktów, które

w przyszłości miały zaprocentować. Wszak wielu stypendystów zrobiło w kraju kariery. Choć są wyjątki.

Jednym z tych, którzy mają krytyczny stosunek do Wujka Sama, jest obecny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Podśluchany i nagany niegdyś w restauracji Amber Room dowodził: „Polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy. Bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa (...). *Bullshit* kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy laskę Amerykanom. Frajerzy. Kompletni frajerzy. Problem w Polsce jest taki, że mamy bardzo płytką dumę i niską samoocenę. Taka murzyńskość...”.

Owa „murzyńskość” oznacza, że amerykańskie firmy czują się nad Wisłą wybornie. A jakby coś poszło nie tak, to ambasador USA wezwie na dywanik kogo trzeba i wyjaśni, jakie decyzje podjąć. Należy ocze- ▶

- Donalda Trumpa naciski na polskie władze będą o wiele bardziej brutalne niż w przeszłości.

Brygady Marriotta i inni

Amerykańska obecność w naszym kraju na dużą skalę rozpoczęła się na początku lat 90., gdy w ramach pomocy Zachodu dla Polski do Warszawy zjechali wszelkiego rodzaju eksperci. Wielu z nich było Amerykanami. Nie mając pojęcia o naszej gospodarce i jej realiach, zajęli się „radzeniem”, jak powinniśmy budować gospodarkę wolnorynkową. Tych bezwartościowych dla polskiej transformacji „ekspertów” cechowały buta, ignorancja i zarobki przekraczające 20 tys. dol. miesięcznie. A ponieważ zwykle mieszkali w nowo otwartym hotelu Marriott, nazwano ich „brygadami Marriotta”.

Pierwsza duża amerykańska inwestycja po roku 1991 to budowa przez koncern Coca-Cola zakładu w Radzyminie, produkującego popularne napoje chłodzące. W 2023 r. sprzedaż tych napitków przyniosła Amerykanom 210 mln zysku netto.

Tam, gdzie inwestuje koncern z Atlanty, musi się pojawić konkurent z Nowego Jorku. Koncern PepsiCo

koncernu Johnson & Johnson, która miała zainwestować – jak radził jej ówczesny prezydent Lech Wałęsa – w „kolebkę Solidarności” czyli Stocznnię Gdańską. Skończyło się na planach.

„Kolebka Solidarności” była już wtedy mocno sponiewierana. Ostatecznie tereny postoczniove poszły pod deweloperkę i budowę Europejskiego Centrum Solidarności. Ocalała historyczna brama oraz pomnik poległych stoczniovców.

W latach 90. swoje inwestycje rozpoczął jeden z największych producentów spożywczych na świecie, koncern Mondelēz International. Dziś w siedmiu polskich fabrykach zatrudnia on ponad 5 tys. osób. Najbardziej znane produkty to wafelki Prince Polo, herbatniki Lubisie i czekolada Alpen Gold.

Nie mogło też zabraknąć koncernu Procter & Gamble. Dziś w trzech nowoczesnych fabrykach produkuje m.in. maszynki do golenia, kosmetyki i pieluchy.

Amerykańska 3M Company zatrudnia w Polsce ponad 4 tys. osób i ma u nas cztery zakłady produkcyjne. Dwa powstały we Wrocławiu, w tym największe w Europie centrum badawczo-rozwojowe, a kolejne koło

lecz są koncerny zza oceanu, które zarabiają jeszcze więcej.

IT, technologie i finanse

Na początku XXI w. sporą popularność zyskało powiedzenie, że „najlepszym partnerem biznesowym Microsoftu jest w Polsce spółka Prokom Software”. Ta niegdyś największa w kraju firma produkująca oprogramowanie realizowała kontrakt na budowę Kompleksowego Systemu Informatycznego ZUS, który z kolei realizował wtedy jedną z czterech „fundamentalnych” reform rządu Jerzego Buzka. Zawarta w 2001 r. umowa o świadczeniu usług administrowania i eksploatacji Kompleksowego Systemu Informatycznego (KSI), podpisana przez Prokom z ZUS, opiewała na 125,7 mln zł netto. Termin realizacji – 12 miesięcy. Głównym dostawcą sprzętu komputerowego był koncern IBM. Lecz aby sprawnie rozliczyć się z ZUS przez internet, przedsiębiorstwa musiały korzystać z systemu operacyjnego Windows produkowanego przez Microsoft, który należało zakupić. Budowa KSI ZUS trwała nie rok, lecz znacznie dłużej. I kosztowała o wiele więcej. Za wszystko zapłacili przyszli emeryci.

Niejako przy okazji nieźle zarobiły przedsiębiorstwo ubezpieczeniowe American International Group, będące właścicielem powszechnego towarzystwa emerytalnego AIG PTE, i firma inwestycyjna Pioneer Investments współpracująca z Bankiem Pekao SA, która miała PTE Pioneer. Tajemnica sukcesu finansowego spółek uczestniczących w oślawionej reformie polegała na horrendalnie wysokich w porównaniu z innymi krajami, które utworzyły rynek obowiązkowych ubezpieczeń emerytalnych, opłatach pobieranych od członków OFE. Chodziło o opłatę za zarządzanie oraz tzw. opłatę manipulacyjną od każdej wpływającej składki. Opłata pobierana od składki w Polsce wynosiła w 2000 r. 8,7%, podczas gdy np. w Chile, Argentynie i Peru mieściła się w przedziale 3-4%. Dla porównania, w planie emerytalnym dla nauczycieli w USA roczny koszt dla klienta wynosił 0,4% składki.

W latach 2010-2018 sprzedaż amerykańskich towarów i usług w naszym kraju osiągnęła prawie 60,3 mld dol.

zainwestował w fabryki w Michrowie, Żninie, Grodzisku Mazowieckim i Tomaszowie Mazowieckim. Najnowszy zakład koło Środy Śląskiej wybudowano za 1 mld zł. Będą w nim produkowane chipsy.

W 1992 r. ówczesny minister kształcenia własnościowych Janusz Lewandowski sprzedał za 120 mln dol. Zakłady Celulozowo-Papiernicze w Kwidzynie amerykańskiemu koncernowi International Paper Company. Był to wówczas najnowocześniejszy tego typu zakład w naszej części Europy. Na początku 2021 r. austriacka Grupa Mayr-Melnhof przejęła go od Amerykanów za 670 mln dol.

Wielkie nadzieje wiązano z Barbarą Piasecką-Johnson, wdową po Johnie Sewardzie Johnsonie, twórcy

Grodziska Mazowieckiego i w Rabce. Firma produkuje dziś ponad 12 tys. różnych artykułów, m.in. związanych z ochroną zdrowia, bezpieczeństwem, transportem i elektroniką.

Najbardziej znaną amerykańską marką w Polsce jest McDonald's. Działa u nas sieć 546 restauracji, w których pracuje ponad 32 tys. osób. Przeszło 90% stanowią obiekty prowadzone przez niemal 100 niezależnych przedsiębiorców na podstawie umowy franczyzy.

Największym operatorem restauracji w Polsce jest koncern AmRest, który posiada prawie 600 placówek, w tym ponad 300 lokali KFC, ponad 150 pizzerii Pizza Hut i ok. 80 kawiarni Starbucks. Roczne zyski liczone są w setkach milionów złotych. To dużo,

W listopadzie 2002 r. prof. Józef Blass, założyciel specjalizującego się w programach dla towarzystw emerytalnych Pension Research Institute, powiedział dziennikarzowi „Gazety Wyborczej”: „Niczym się nie da uzasadnić tego, by obywatel obowiązkowo uczestniczący w planie płacił za samo uczestnictwo. Ogromne zachodnie firmy prowadzą wyrafinowaną akcję reklamową, za którą de facto płacą przymusowi uczestnicy. Mam uczucie, że obserwuję największy

technologicznych gigantów podatkiem, natychmiast zareagował nominowany na ambasadora USA w Polsce Thomas Rose. Ostrzegł, że prezydent Trump rozważy działania odwetowe, „takie, jakie powinien”, i zaapelował: „Odwołajcie podatek, aby uniknąć konsekwencji”. W efekcie, jak zapowiedział minister Gawkowski, prace będą trwały, lecz nie wiadomo, kiedy projekt ustawy o podatku cyfrowym zostanie przestany do laski marszałkowskiej.

że Jankesi będą się odnosić do Polski z szacunkiem. W praktyce traktują nas jak ubogich krewnych. A to dopiero początek. Wszak będziemy się zbroić na potęgę.

Na solidne zyski mogą też liczyć koncern Bechtel i spółka Westinghouse, które zarobią od 150 do 190 mld zł, budując pierwszą polską elektrownię atomową. Pierwotnie zakładano, że pierwszy reaktor zostanie oddany w 2033 r. Potem termin przesunięto na rok 2036. Ostateczny koszt budowy będzie pewnie wyższy i przekroczy 200 mld zł. Rzecz wydaje się nie do końca jasna. Problemem jest finansowanie inwestycji. Amerykanie chcieliby, aby nasz kraj pokrył zobowiązania w całości. Z kolei Polacy oczekują finansowego zaangażowania ze strony Jankesów. Na stole leżą jeszcze dwie oferty – francuska i koreańska. Biorąc pod uwagę decyzje administracji prezydenta Trumpa, wydarzyć się może wszystko.

Trzeba zaznaczyć, że nasz kraj jest dla amerykańskich koncernów głównie rynkiem zbytu. W 2023 r. wydaliśmy 1,88 mld dol. na skroplony gaz i paliwa. Leki i inne produkty farmaceutyczne kosztowały nas 1,29 mld dol. Urządzenia elektryczne i elektroniczne – 980,67 mln dol. Broń i amunicja – 870,98 mln dol. A to nie wszystko. Import innych towarów kosztował nas w tamtym roku ponad 7 mld dol.

Polska klasa polityczna uważa, że zakupy uzbrojenia, ścisła współpraca i niemal uprzywilejowane relacje z Waszyngtonem są najlepszą gwarancją bezpieczeństwa. Nad Wisłą stacjonuje dziś 10 tys. żołnierzy amerykańskich. Wkrótce może być ich znacznie mniej. Zaskoczeniem była ostatnia decyzja Waszyngtonu o wycofaniu żołnierzy z lotniska w Jasionce pod Rzeszowem, największego w Europie hubu, przez który przechodziły dostawy amerykańskiego uzbrojenia dla Ukrainy. Nasi politycy robią dobrą minę do złej gry, co nie zmienia faktu, że w Europie brak zaufania do Wujka Sama stał się czymś powszechnym. I nie wiadomo, ile rzeczywiście są warte gwarancje Waszyngtonu.

Grzegorz Rudnik

Najbardziej znaną amerykańską marką w Polsce jest McDonald's. Działa u nas sieć 546 restauracji, w których pracuje ponad 32 tys. osób.

skok na bank w historii Polski. (...) Jestem absolutnie przeciwny temu, żeby uczestnicy funduszy ponosili koszty marketingu i jakiegokolwiek koszty sprzedaży. Może na początku reformy było to uzasadnione, ale teraz utrzymywanie takiego stanu rzeczy jest niemoralne i nieetyczne. To znikło w USA w dużych planach emerytalnych i to musi zniknąć w Polsce”. Po prawie dwóch dekadach tzw. reforma emerytalna została zakończona.

Tym, co przynosi Amerykanom gigantyczne zyski w naszym kraju, jest szeroko rozumiana branża IT. Tylko w 2023 r. przychody Google'a wyniosły 1,27 mld zł, a zysk netto – ponad 100 mln zł. Polska spółka Facebooka, należąca do Meta Platforms, w 2023 r. pochwaliła się wynikiem – przychodami na poziomie 155,78 mln zł.

Ile w Polsce zarabia Amazon, jest owiane mgłą tajemnicy. Choć ze względu na dominującą pozycję w handlu elektronicznym i usługach chmurowych spółka Jeffa Bezosa może być jednym z najbardziej dochodowych amerykańskich podmiotów. Na pewno jest poważnym pracodawcą. Amazon zatrudnia u nas ok. 23 tys. stałych pracowników oraz tworzy ok. 70 tys. pośrednich i bezpośrednich miejsc pracy.

Co jakiś czas pojawiają się plany, by opodatkować działalność takich spółek technologicznych jak Google, Meta (Facebook) czy Amazon, lecz na razie nic z tego nie wynika. Gdy w tym roku minister Krzysztof Gawkowski zapowiedział obłożenie

O dziwo, amerykańska obecność w polskim sektorze bankowym jest symboliczna. Potężny Citibank obecny jest jedynie w dawnym Banku Handlowym, który dziś nazywa się Citi Handlowy.

Na której półce stoją konfitury?

W ostatnich latach Polska stała się ważnym rynkiem zbytu dla amerykańskich koncernów zbrojeniowych. Około 10,8 mld dol. będą kosztowały zakup 48 myśliwców F-16 i ich modernizacja. Za myśliwce F-35A Lightning II przyjdzie nam wyłożyć łącznie ponad 5 mld dol.

Dodajmy do tego 6,15 mld dol. za 366 czołgów Abrams M1A1 i M1A2. Na zakup wyrzutni HIMARS chcemy przeznaczyć ponad 10 mld dol. Kolejne 10 mld dol. pochłonie zakup 96 śmigłowców AH-64E Apache. W maju 2024 r. podpisano wart 960 mln dol. międzyrządowy kontrakt z USA. Tym razem Polska kupiła cztery aerostaty rozpoznawcze i wczesnego ostrzegania o kryptonimie Barbara. Mają one trafić do naszego kraju do końca 2027 r.

Bez wątplenia amerykańskie koncerny są najbardziej widoczne w branży zbrojeniowej. Wartość zawartych z nimi kontraktów można liczyć w dziesiątkach miliardów dolarów. A będzie ich jeszcze więcej. Okazuje się, że kupujemy więcej amerykańskiego uzbrojenia niż Arabia Saudyjska! A to dopiero początek. Wydawać by się więc mogło,

Grypa antyszczepionkowców

Sezon grypowy jest w tym roku najgorszy od dekad. Powody? Niechęć do szczepienia się i bariery systemowe

Kornel Wawrzyniak

Pod koniec lutego mieliśmy w Polsce ponad 2 mln odnotowanych zachorowań na grypę. Taka epidemia wirusa jest rekordowa na tle innych krajów Europy. Pobiliśmy również niechlubny rekord 1 tys. zgonów. Według wiceministra zdrowia Wojciecha Koniecznego mamy ok. 200 tys. przypadków grypy tygodniowo. Liczba zachorowań w sezonie 2024/2025 jest zdaniem ekspertów aż trzykrotnie wyższa niż w sezonie poprzednim. Wyjątkowo zjadliwy wirus uderza nie tylko w osoby najstarsze. Od tygodni z kompletną dezorganizacją zmagają się szkoły, w których uczniowie chorują na zmianę, nawet po pół klasy, a nauczycieli na zwolnieniach nie ma kto zastępować.

Antyszczepionkowe społeczeństwo?

„Od początku sezonu zachorowało 1 mln osób, mówimy to na podstawie zgłoszeń, które otrzymujemy za pośrednictwem Centrum e-Zdrowia. 50% przychodni raportuje do tego systemu, więc rzeczywista liczba zachorowań może sięgać nawet 2 mln. Patrząc na hospitalizację, ok. 25 tys. osób z rozpoznaniem grypy trafiło do szpitala. Najbardziej niepokojącą informacją jest liczba zgonów, która od początku sezonu wyniosła ok. 1 tys. osób”, przedstawia statystykę dr n. med. Paweł Grzesiowski, główny inspektor sanitarny.

Według danych Głównego Inspektoratu Sanitarnego na grypę zaszczepiło się ok. 1,8 mln osób. To na tle innych krajów europejskich niewiele. „To, że przeciwko grypie zaszczepiło się zaledwie 5% naszej populacji,



jest z pewnością powodem do wstyd w porównaniu z krajami Europy Zachodniej, gdzie jest znacznie więcej osób zaszczepionych. Niestety, podobnie jest w całej Europie Środkowo-Wschodniej, gdzie szczepienia przeciwko grypie wciąż są problemem. Trudno przekonać naszych rodaków, że szczepienie jest bardzo ważne i warto co roku się szczepić przeciwko temu wirusowi”, przyznała w rozmowie z Polską Agencją Prasową dr n. med. Agnieszka Mastalerz-Migas, konsultant krajowa w dziedzinie medycyny rodzinnej.

Brak szczepień nie jest jednak efektem wyłącznie niechęci do szczepionek lub niedbałości Polek i Polaków o zdrowie. Ekspertci podkreślają, że problem jest również na poziomie

organizacyjnym. W przypadku szczepień realizowanych w POZ kłopotem jest to, że po otrzymaniu recepty na szczepionkę trzeba się udać do apteki po preparat i albo umówić się na kolejną wizytę w celu zaszczepienia, albo próbować swojego szczęścia w aptece. Jeżeli chce się załatwić szczepienie podczas tej samej wizyty, można skorzystać wyłącznie z pełnopłatnej szczepionki.

„Chodzi przede wszystkim o to, żeby pacjent nie musiał najpierw uzyskiwać recepty na szczepionkę, np. przeciwko grypie, potem ją realizować w aptece, a następnie wracać do swojej przychodni, gdzie taki preparat może zostać podany. Optymalne rozwiązanie jest takie, żeby szczepionka była w lodówce

w placówce podstawowej opieki zdrowotnej, a szczepienie byłoby wykonywane zaraz po wyjściu z gabinetu lekarza, u pielęgniarki”, tłumaczy dr Mastalerz-Migas.

Żadnych wniosków po pandemii

Zadziwiające jest też, jak społeczeństwo podchodzi do zakażeń po pandemii. Mogłoby się wydawać, że będziemy bardziej uważni po trzech latach rygoru sanitarnego. Ludzie wrócili jednak do starych nawyków, nie pozostając przy żadnych nowych zasadach higienicznych, takich jak chociażby izolowanie się, kiedy jest się chorym. Dzieci chodzą z katarem do szkoły, a rodzice, póki są w stanie utrzymać się na nogach – do pracy. Dziś maseczka jest taką samą abstrakcją jak przed rokiem 2020. A szkoda, bo ten prosty zabieg mógłby uchronić przed rozprzestrzenianiem się wirusa grypy w miejscach publicznych czy transporcie zbiorowym.

Wiceminister zdrowia Wojciech Konieczny zaznaczał w rozmowie z Polskim Radiem, że jest to bardzo dobry sposób na ograniczanie zakażeń, kiedy chory z jakiegoś powodu musi się znaleźć w większym skupisku ludzi. „Jestem zaskoczony, jak jadę autobusem albo tramwajem, a zdarza mi się to nie tak rzadko, że osoby starsze, osoby, które wyglądają na schorowane, a nawet te, które

Badania pokazują, że najważniejszymi przyczynami nieszczepienia się Polaków są: brak wystarczających informacji związanych z bezpieczeństwem i skutecznością szczepień; brak wiedzy o dostępności szczepionek oraz o tym, że takie szczepienia są wskazane; konieczność przeznaczenia dużej ilości czasu, zaangażowania związanego z procedurą wykonania szczepienia

Szczepionka powinna być w lodówce w placówce podstawowej opieki zdrowotnej, a szczepienie powinno być wykonywane zaraz po wyjściu z gabinetu lekarza, u pielęgniarki.

i formalnościami. Na końcu wymieniane są wysokie koszty niektórych szczepionek. Jak wskazywałem w tekście o szczepieniu dorosłych na HPV („Przegląd” nr 14/2025), koszty sięgają nawet absurdalnych 3 tys. zł za pełne zaszczepienie przeciwko wirusowi brodawczaka ludzkiego. Jednak największą barierą dla wszelkich szczepień najwyraźniej jest antyszczepionkowa dezinformacja.

Nie boją się

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) alarmuje, że w ostatnich latach widać zwiększoną aktywność ruchów antyszczepionkowych. W Polsce w marcu br. odnotowano nawet przypadki zastraszania

kontakt”, podkreślił Adam Rudawski, wojewoda zachodniopomorski

Dane są alarmujące. Tylko w Zachodniopomorskiem widać spory wzrost liczby niezaszczepionych dzieci. W 2021 r. nałożono 103 grzywny. W 2022 r. prawie 200, aby w 2023 r. dobrnąć do ponad 400. „Wolałbym, aby nikogo nie trzeba było w ten sposób karać, niestety coraz więcej rodziców lekceważy

obowiązkowe szczepienia swoich dzieci”, przyznawał wojewoda. Suma grzywien za 2023 r. wyniosła tam 215 tys. zł. Warto zaznaczyć, że pierwsza grzywna to 500 zł. W wypadku dalszego nieszczepienia dzieci można dostać nawet 50 tys. zł.

Antyszczepionkowi rodzice traktują jednak te kary jak polscy kierowcy mandaty za prędkość. Nie czują przed nimi większego respektu, ponieważ wiedzą, że trudno w naszym kraju o egzekwowanie przepisów i nakładanie stosownych sankcji. Być może właśnie dlatego od 1 kwietnia Państwowa Inspekcja Sanitarna ruszyła ze wzmożoną kontrolą obowiązkowych szczepień dzieci. Liczba odmów szczepień konsekwentnie rośnie od sześciu lat. W 2019 r. odmów wśród osób do 19. roku życia było 48 609. W roku 2021 – 61 368, a w 2023 r. odnotowano 87 344 odmowy. Ekspert alarmujący, że trend ten może doprowadzić do powrotu chorób zakaźnych, które wcześniej były pod kontrolą dzięki powszechnym szczepieniom. Specjaliści ostrzegają także, że jako społeczeństwo nie mamy w tym momencie bezpieczeństwa epidemiologicznego populacji. Nie osiągamy zalecanego przez WHO stanu zaszczepienia na poziomie 90-95%, który daje tzw. odporność populacyjną względem danej choroby.

„Chcemy ustalić, ile dzieci w Polsce jest zaszczepionych, a ile nie i dlaczego. Czy przyczyny są medyczne, czy też nie. Ponadto zamierzamy porównać wskaźniki między ▶

Suma grzywien za 2023 r. w Zachodniopomorskiem wyniosła 215 tys. zł.

pokastują czy sprawiają wrażenie po prostu chorych, nie jadą w maseczkach, nie zakładają ich, nie izolują się”, mówił na antenie.

Największą przeszkodą, jeśli chodzi o szczepienie się, jest jednak brak wiedzy wśród pacjentów. Według badań przeprowadzonych na potrzeby Ogólnopolskiego Programu Zwalczania Chorób Infekcyjnych aż 73% respondentów wskazuje, że nie dociera do nich wystarczająca liczba informacji o programach profilaktyki zdrowotnej, w tym o szczepieniach ochronnych.

dyrekcji szkół, aby storpedować w placówkach program szczepień, o czym w mediach wspominał dr hab. Andrzej Nowakowski, profesor Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie.

Już dwa lata temu sypały się rekordowe grzywny za nieszczepienie dzieci w ramach obowiązkowych szczepień. Tylko na Pomorzu Zachodnim 407 rodziców zapłaciło kary. „Nieszczepienie swojego syna czy córki jest zagrożeniem nie tylko dla konkretnego dziecka, ale też dla wszystkich innych, z którymi ma ono

► punktami szczepień. Już dziś wiemy, że są takie punkty, gdzie zaszczepiono jedynie 20-30% dzieci zapisanych do danego lekarza, i takie, gdzie ten odsetek sięga 95%. Te ogromne różnice rodzą pytanie o przyczynę i ewentualne działania naprawcze”, mówił główny inspektor sanitarny dr Paweł Grzesiowski w rozmowie z Interią.

Chora szkoła

Tymczasem szkoły w sezonie grypowym 2024/2025 zmagają się z istnym Armagedonem. Według Związku Nauczycielstwa Polskiego w polskich szkołach brakuje aż 11 tys. nauczycieli. Dziennik „Rzeczpospolita” pisze, że łatanie dziur w kadrach opiera się na dwóch rozwiązaniach. Po pierwsze, przeciąża się nauczycieli dodatkowymi godzinami, m.in. tzw. zastępstwami doraźnymi. W drugim przypadku zatrudnia się emerytów. Niedostatki obydwu rozwiązań pokazał zaś trwający sezon grypowy.

„Jeżeli biorę obecnie część lekcji za dwójkę nauczycieli, którzy poszli na zwolnienie, to co będzie, jeśli

i ja się rozchoruję? Szczególnie że zastępstwo polega na robieniu lekcji ze swojego przedmiotu. W miejsce polskiego czy techniki jest więc np. matematyka”, opowiada pani Anna, nauczycielka w starszych klasach podstawówki. Taka strategia to nie tylko problemy kadrowe, to również zastój w realizowaniu programu nauczania. Co warto podkreślić, będzie on tym większy, że od ponad roku nie ma już zadań domowych. Zaległości spowodowane brakiem lekcji

Antyszczepionkowcy nie czują większego respektu przed grzywnami, bo wiedzą, że trudno w naszym kraju o egzekwowanie przepisów.

wydają się więc w naszym systemie nie do odrobienia. Część szkół stanie nad przepaścią w obliczu zaledwie kilku L4 wziętych jednocześnie. Szczególnie że niektórzy nauczyciele pracują w zasadzie na dwa etaty. Według dziennika „Rzeczpospolita” pięcioro nieobecnych nauczycieli to jak brak dziesięciu osób z kadry.

Drugim problemem jest oczywiście masowe chorowanie dzieci.

Nauczyciele opisują, że uczniowie w ostatnim czasie przychodzą właściwie na tury. Znika mniej więcej pół klasy na tydzień, po czym jedni uczniowie wracają, a drudzy idą chorować. Zasadne jest pytanie, czy w takich warunkach da się w ogóle prowadzić jakieś lekcje. Wbrew pozorom dyrektorzy niechętnie odwołują zajęcia przy nieobecności połowy klasy. Popularniejszym rozwiązaniem jest łączenie zajęć w różnych klasach.

Po raz kolejny rzeczywistość udowadnia, w jak złej kondycji jest polska edukacja, której bolączki kolejne ekipy w ministerstwie pokrywają jedynie pustosłowiem wygłaszanym na antenach ogólnokrajowych mediów. Średnia wieku nauczycieli rośnie. Dziś to 48 lat. 12 lat temu – 43 lata. Najstarszy czynny zawodowo nauczyciel ma 87 lat. Kogoś zainteresuje, jeśli padnie martwy z powodu grypy, którą zarazi się na zastępstwie?

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy, że dnia 3 kwietnia 2025 r. odszedł

Tata, Teść, Dziadek i Pradziadek

Doc. dr Sławomir Jerzy Tabkowski

socjolog, dziennikarz i publicysta, redaktor i wydawca, nauczyciel akademicki.

Był z pokolenia polskiej inteligencji, które swoje drogi życiowe, talenty, osiągnięcia i odważne poczynania związało z lewicą i z Krakowem, wnosząc liczący się wkład także w różne sfery kultury. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu – należał do generacji dokonującej politycznych przemian Polski Ludowej, odpowiedzialnie sprawdzającej się w narodowych i społecznych dążeniach.

Redaktor naczelny Krajowej Agencji Wydawniczej i „Gazety Krakowskiej”, kierownik Wydziału Polityki Informacyjnej KC PZPR i prezes RSW, dyrektor Firmy Wydawniczej TRANS-KRAK i prezes Zarządu Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, twórca i kierownik Katedry Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej w MWSZ, wydawca miesięcznika „Po Ziemi”, wieloletni członek Rady Naukowej „Rocznika Sądeckiego”. Autor szeregu ważnych książek i opracowań naukowo-badawczych, licznych publikacji. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Orderem Odrodzenia Polski, Zasłużony Działacz Kultury, Honoris Gratia.

**Będzie nam Ciebie bardzo brakować
Rodzina**

Odszedł

Sławomir Jerzy Tabkowski

Erudyta, człowiek z pasją, zawsze aktywny i wierny wartościom lewicy.

Pełnił wiele ważnych funkcji w mediach i polityce.

Ciągle tworzył nowe i ważne dzieła.

Bronił dorobku Polski Ludowej.

Walczył z kłamstwami jako autor książek i publicysta.

Człowiek mądry i ideowy. Czytelnik naszego tygodnika. Korzystałem z jego ocen i rad.

Żegnaj, Sławku

Jerzy Domański

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Pierwsze państwo protestanckie

Pięćset lat temu Polska powołała do życia pierwsze na świecie państwo protestanckie. Zrobiła tak już siedem lat po wystąpieniu Marcina Lutra.

Jak to było możliwe? Państwo Krzyżackie cieszyło się poparciem zarówno papieża, jak i cesarza. W roku 1501 Maksymilian I Habsburg (wówczas jeszcze król niemiecki) wręcz zakazał wielkiemu mistrzowi dalszego składania hołdu królowi Polski. Gdy Polska, dochodząc swych praw, rozpoczęła w 1519 r. wojnę z zakonem, była osamotniona. Gdy jednak u Krzyżaków zaczął się szerzyć luteranizm, gdy w 1524 r. nawet biskup sambijski odszedł od katolicyzmu, to z kolei wielki mistrz znalazł się w politycznej próżni.

Król Zygmunt I (wtedy jeszcze nienazywany Starym) był katolikiem i wrogiem protestantyzmu. Ale rządził się polską racją stanu. Owszem, mógł kontynuować wojnę z wielkim mistrzem, a jego państwo mógł wcielić do Polski. Ale zasoby skarbcza koronnego były na wyczerpaniu, a nad Polską wisiła wojna znacznie poważniejsza – z Moskwą. Traktat krakowski z 8 kwietnia 1525 r., dokonujący sekularyzacji i protestantyzacji Państwa Zakonnego, zagwarantował mu dalsze istnienie, natomiast poparcie papieża i cesarza skończyło się jak nożem ucięt. Odtąd Prusy Książęce były luteranckie i mogły liczyć już tylko na Polskę. W dodatku musiały stono się optać. Były wielki mistrz, a obecnie „książę w Prusiech” Albrecht Hohenzollern, zobowiązał się świadczyć Polsce wszelką pomoc, także zbrojną. Od jego wyroków poddani mogli się odwoływać do króla Polski. Za niesubordynację groziła księciu konfiskata lenna.

Albrecht był siostrzeńcem Zygmunta. A księstwo pruskie było w znacznej mierze... polskie. Lub – mówiąc ściślej – mazowieckie, bo większość Mazowsza stanowiła jeszcze wtedy odrębne od Polski, lenne księstwo. Krzyżacy ściągali osadników z Mazowsza już od XIV w., a w ciągu stuleci liczba tych Mazurów stale rosła: w XVII stuleciu będą stanowić już niemal połowę ludności pruskiej. Tymczasem Albrecht jako gorliwy luteranin starał się szerzyć nową wiarę w językach wszystkich poddanych: zarówno w niemieckim, jak i polskim. Choć najbardziej spektakularna była jego troska o języki litewski i staropruski. W roku 1547 wydano w Królewcu pierwszą książkę litewską: „Katechizmusa prasty szadei” (Proste słowa katechizmu) Marcina Mażwida. I tylko języka staropruskiego nie udało się już uratować.

Widownią większości tych poczynąń był Uniwersytet Królewiecki – Albertina. Założył go Albrecht 20 lipca 1544 r., na bazie powstałego trzy lata wcześniej Paedagogium w królewieckiej Knipawie. Uniwersytet Królewiecki był uczelnią protestancką, toteż katolicka Europa go bojkotowała. Ale Polacy zjeżdżali tłumnie: natychmiast po jego otwarciu zaczął tu studia młody Jan Kochanowski. Pełne prawa uzyskała Albertina dopiero 28 marca 1560 r., gdy Zygmunt August zrównał ją w prawach z Uniwersytetem Krakowskim. Odtąd więc, przez 19 lat, pod władzą króla Polski były te dwa uniwersytety: katolicki (choć nie wyznaniowy!) Krakowski i luterancki Królewiecki (dopiero w roku 1579 pojawił się jezuitska Akademia Wileńska).

Pielęgnowane przez Albrechta związki prusko-polskie będą kultywowane także przez jego następców. Królewicz, nawet po zerwaniu stosunku lennego, na długo

Powstanie Prus Książęcych okazało się triumfem racji stanu nad polityką wyznaniową. Polscy biskupi nie protestowali.

pozostanie widownią polskich inicjatyw: jeszcze w latach 1718-1720 będzie tu się ukazywać tygodnik „Pocztą Królewiecką” – drugie najstarsze polskie czasopismo po krakowsko-warszawskim „Merkuryszu Polskim”. A luteranckie Seminarium Polskie na Albertinie będzie się rozwijać jeszcze w czasach Immanuela Kanta.

Pierwsze na świecie państwo protestanckie! Hołd złożony przez Albrechta dwa dni po traktacie, 10 kwietnia 1525 r., na Rynku krakowskim, był niewykorzystany nie dlatego, że Polacy nie podbili jego państwa. Był niewykorzystany, bo atutu swego prekursorstwa Polska nie umiała wykorzystać i Prusy Książęce zostawiła samym sobie. A przecież Albrecht okazał się lennikiem najlojalniejszym: nie tylko wypełniał wszelkie warunki traktatowe, ale też utrzymywał ożywione kontakty z całą polską – nie tylko protestancką – elitą kulturalną. Był senatorem Królestwa Polskiego, miał więc prawo zasiadać w Senacie, a że nigdy do tego nie doszło, to dlatego, że wzbranił mu... Polacy. Nigdy również książę pruski nie został dopuszczony do uczestnictwa w polskich wolnych elekcjach. Jakkolwiek jednak patrzeć, powstanie Prus Książęcych okazało się triumfem racji stanu nad polityką wyznaniową. Polscy biskupi nie protestowali. Czy dziś zachowaliby się tak samo?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

 Anna Wyrwik

Kalwaria to według Słownika Języka Polskiego „zespół kaplic lub kościołów rozmieszczonych na pagórkowatym (ale nie zawsze – przyp. AW) terenie, będących stacjami drogi krzyżowej” oraz „cierpienie lub okoliczności i miejsca z nim związane”.

– Słowo *calvaria* pochodzi z łaciny i oznacza, tak samo jak aramejska *gulgoltâ* i grecka *golgota*, czaszkę – tłumaczy dr hab. Elżbieta Bilska-Wodecka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka książki „Kalwarie



Do Kalwarii Zebrzydowskiej po meble i odpust

Najwięcej pielgrzymów przybywa w Wielkim Tygodniu, w zeszłym roku ok. 170 tys.

europiejskie”. – Na wzgórzu Golgota, poza murami Jerozolimy, dokonywano egzekucji skazańców i tam został ukrzyżowany Jezus. Mit głosi, że na wzgórzu tym jest centrum świata i to tu znajduje się grób Adama. Krew Jezusa miała zatem zrosić czaszkę Adama i w ten sposób dokonać odkupienia grzechu pierworodnego.

Do drogi krzyżowej i odkupienia dojdziemy, a tymczasem Kalwaria Zebrzydowska to, jak mówią mieszkańcy, spokojne miejsce, gdzie wszystko jest blisko: sklepy, apteka, Wadowice i Kraków, ale tak szczerze – jak zauważa pracowniczka zakładu fotograficznego, która mieszka tu od dziecka – nie ma co robić, wieczorami to już w ogóle wszystko pozamykane, a i w dzień nic, jedynie spacerować.

Spaceruję więc po Kalwarii, przeszło czterotysięcznym miasteczku w województwie małopolskim, u podnóża góry Żar, nad rzeką Cedron. Idę ulicą 3 Maja, gdzie stare

chaty stoją obok nowszych domów, a przed jednym z nich na ławce siedzą sąsiedzi, Danuta i Andrzej. On trzyma laskę w ręce, ona swoją oparła o ławkę, klucz od domu ma – w starym stylu – zawieszony na szyi.

– Dużo się zmieniło – przekonuje Andrzej, który Kalwarię pamięta jeszcze z lat 60., gdy biegał po niej jako

tu pierwszą w Polsce kalwarię. Dziś drogi są w niej asfaltowe, ale kiedyś, jak wspominają Danuta i Andrzej, były szutrowe.

– I wszędzie stolarze byli – mówi Danuta.

– Robiło się proste meble, stoły, krzesła, szafy, nie takie wymyślne rzeczy jak teraz – dodaje Andrzej.

To, że przyjeżdżają turyści, to jeden z największych plusów miasta. Bo tak to cicho i spokojnie.

mały chłopiec. – Przedtem było więcej chat takich jak ta – pokazuje białą tuż obok. – Potem inne się pobudowały. Wcześniej domy były drewniane. Wkoło rynku też stały chaty.

Dziś domy są z betonu, a na środku rynku stoi wyprostowany, dumnie wsparty na szablach Mikołaj Zebrzydowski. Mieszkańcy ufundowali mu ten pomnik, bo on w XVII w., jako wojewoda krakowski, ufundował im

Danuta w zakładzie meblarskim przepracowała 30 lat. Lakierowała, a to szkodliwy element tej pracy. Andrzej zaś robił meble – co było akurat modne, kredensy, witryny, potem meblościanki, a następnie zajął się renowacją antyków.

Spaceruję po Kalwarii i te meble są wszędzie. Z kimkolwiek rozmawiam, pracuje w branży meblarskiej albo ktoś z jego rodziny jest w niej

Sąsiedzi Danuta i Andrzej wspominają dawną Kalwarię.

Magdalena Kastelik z siostrą Barbarą Biela prowadzą kawiarnię i cukiernię Sisters Cake.

Janusz Wypiór, właściciel warsztatu stolarskiego w Kalwarii, jednego z ponad 200.



zatrudniony. Gdziekolwiek popatrzę, widzę reklamy zakładów meblarskich, są „meble”, „akcesoria meblowe”, „kuchnie”, „meble tapicerowane”, „łóżka i materace”, mogłabym od stanu deweloperskiego do końca tu dom urządzić, bo są też zastony i firanki, mogłabym i agroturystykę urządzić, bo są nawet jacuzzi i sauny ogrodowe oraz modne dziś banie.

Na tym koniu jedziemy, że rzeczy niszowe wykonujemy

Jeśli jechać do Kalwarii Zebrzydowskiej, to po meble. Pierwsze wzmianki o tutejszych stolarzach

pochodzą z końca XVIII w. Pierwsza Parowa Fabryka Mebli to koniec wieku XIX. A 1920 r. to data powstania zakładu stolarskiego Ludwika Wypióra.

– Gdy wracałem ze szkoły, nie wchodziłem do domu, tylko od razu tam siedłem – mówi Janusz Wypiór, wnuk Ludwika i obecny właściciel warsztatu. Jednego z ponad 200 stolarskich w Kalwarii.

Warsztat jest przy domu. Właściciel chodzi w potatanych dżinsach, ma czerwone policzki i radość w oczach, gdy rozmawia o pracy. Fach ma w rękę po wieloletnim przyuczaniu się w rodzinnym warsztacie

i po nauce w znanym kalwaryjskim Zespole Szkół im. KEN. Ale także zapisany w genach, bo nie tylko dziadek Ludwik był stolarzem, ale i drugi dziadek oraz ojciec Stanisław.

– Produkowało się meble i w dużej części sprzedawało do Krakowa – opowiada Janusz. – Dziadek woził meble wożem. Gdy powstała kolej, każdy chciał mieszkać blisko stacji. Tata wybudował koło niej dom, więc wystarczyło tylko szafę zanieść do pociągu.

W warsztacie Wypiórów – bo jest nie tylko Janusz, ale również jego synowie i córka – leżą deski, narzędzia, słychać piłę i stukanie. Na środku stoi wielki regał na książki, który właśnie robią na zamówienie.

– Meble z Kalwarii cechuje trwałość i solidność – podkreśla Janusz. – Na tym koniu jedziemy, że rzeczy niszowe wykonujemy. Fabrykant tego nie robi. My wychodzimy naprzeciw klientom i robimy, co chcą, detale, rzeźby. U nas wszystko można wybrać, od frezika do guzika. Wszystko można dopasować.

Warsztat Janusza słynie z tego, że robią meble z litego drewna łączonego z płytami okleinowanymi naturalnym fornirem – głównie dąb i jesion, czyli te szlachetniejsze i mocniejsze gatunki, ale też orzech, czereśnia i gatunki egzotyczne.

– Lubię pracować z drewnem, bo jest wdzięczne w obróbce – mówi Janusz i wskazuje ciemne drewno stołu, przy którym siedzimy. To czarny dąb, który ma ok. 2-3 tys. lat. Powstaje w taki sposób, że gdy woda podmywa dąb, on do niej wpada i zostaje zamulony. Dąb jako jedyne drzewo nie gnije, nie próchnieje i ktoś po setkach, tysiącach lat może go wykopać. A od starości robi się ciemny.

Janusz wyjaśnia, że najczęściej wykonują meble dla klientów prywatnych z Krakowa i okolic, z innych części Polski też, czasem z zagranicy, Niemiec i nawet USA – ludzie potrafią czekać i po pięć miesięcy na mebel. Poza tym robią dla urzędów i magistratów, bo samorządowcy to dobry klient. Ostatnio też robili dla muzeum przy tutejszym klasztorze krzyże, ołtarze z czarnego dębu i obudowy na grzejniki.

► Zanim jednak przejdziemy do spraw klasztornych, trochę o okolicy.

– U nas jest pięknie – zachwala Janusz. – Małopolska to chyba najlepszy region do życia. Może są tu drogie mieszkania i działki, ale mamy dostęp do wszystkiego. Są góry, jeziora, rzeki. Wokół Kalwarii jest piękna przyroda, blisko do Lanckorony, do Zakopanego na narty. Tak, fajnie się tu żyje.

To teraz o klasztorze.

Woda, motywacja i modlitwa

– Meble się wzięły od klasztoru – mówi Janusz. – Budowano klasztor, meble i ołtarze wykonywali głównie mistrzowie z Włoch, ale potrzebowali pomocników. Tak grupa mieszkańców nauczyła się stolarki.

Sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej zostało założone w 1602 r. i jest najstarszą polską kalwarią.

– Kopiowanie jerozolimskich miejsc związanych z męką Pańską ma 600-letnią tradycję – opowiada dr hab. Bilska-Wodecka. – Rozpoczęli ją w XV w. hiszpańscy dominikanie. Ojczyzną wielkich założeń kalwaryjnych są Włochy. Szacuje się, że obecnie w Europie jest ponad 1,8 tys. kalwarii różnego typu. Prócz kilkudziesięciu kalwarii w Polsce, Hiszpanii i Włoszech takie miejsca są w Austrii, Niemczech, Czechach, na Węgrzech, we Francji, w Belgii, w Chorwacji, Grecji, Portugalii, Rumunii... Budowano je, by wierni, jak podczas pielgrzymki do Jerozolimy, mogli otrzymać odpust.

Sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej składa się z bazyliki Matki Bożej Anielskiej i klasztoru oo. Bernardynów. Obejmuje 42 kaplice i 6 km drózek.

– W większości kalwarii kaplice są miejscem modlitwy tylko na poświęconych męce Pańskiej Drózkach Pana Jezusa – zaznacza dr hab. Elżbieta Bilska-Wodecka. – Tutaj są jeszcze Dróżki Matki Bożej, jak również – to jedyna taka kalwaria na świecie – Dróżki za Zmarłych.

Od 1999 r. sanktuarium znajduje się na liście światowego dziedzictwa

UNESCO, od 2000 r. jest pomnikiem historii Polski.

Spaceruję po okolicach klasztoru. O tym, że na górze nad miasteczkiem coś się święci, wiadomo już na dole. Po całym mieście porozrzucane są ulice o katolickich nazwach, aleja Jana Pawła II, ulica kard. Mariana Jaworskiego, Klasztorna, św. Floriana czy Bernardyńska, przy której znajduje się źródło uliczny dla pielgrzymów, czyli mały kran z wodą przy chodniku. W całym mieście są znaki kierujące do kolejnych kościelnych miejsc: klasztoru, seminarium czy domu pielgrzyma. A na rynku króluje wielki bilbord z Janem Pawłem II, „patronem Kalwarii Zebrzydowskiej”.



Po całym mieście porozrzucane są znaki kierujące do kościelnych miejscówek.

W bazylice trwa msza, na parkingu samochody na lokalnych rejestracjach i tych z sąsiednich powiatów, w konfesjonatach światło, bo pierwszy piątek, a w okolicy pojedynczy rowerzyści i turyści.

– Przez cały rok do sanktuarium przybywa niemal 2 mln pielgrzymów – informuje mnie o. Tarsycjusz Bukowski OFM z Biura Prasowego Sanktuarium. – Przyjeżdżają z Polski i z zagranicy. Najczęściej z Francji i Włoch, a spoza Europy najczęściej ze Stanów Zjednoczonych. Gościmy też pielgrzymów z odległych stron świata, np. z Chin, Brazylii, Kostaryki,

Filipin, Libanu, Japonii, Indii, Australii, Chile, Nikaragui, Portoryko czy Singapuru.

Spotykam parę emerytów, która przyjechała z Brzeska, by zobaczyć sanktuarijną architekturę i poczuć ducha. Spotykam także parę nieemerytów, która przyjechała z Żywca, bo mają urlopy i chcieli skorzystać z dnia, gdy w Kalwarii jest spokojnie, ładna pogoda i drogę krzyżową w godzinę zrobili. Jak będą na emeryturze, będą przyjeżdżać częściej. I spotykam Dorotę, która przyjechała ze Starego Sącza. Spokojny głos, na głowie coś na kształt turbanu, kanclaste, duże okulary słoneczne.

– Od dziecka tu przyjeżdżam – mówi. – To jest wyjątkowe miejsce! Chodzę po drózkach do Pana Jezusa i Matki Bożej. To wzmacnia duchowo. Przyjeżdżam też w Wielkim Tygodniu i 15 sierpnia. Powiem pani szczerze, że gdy w tamtym roku byłam w sierpniu, takie upały były, gorąco, zastanawiałam się, czy dam radę przejść całą drogę. Dałam radę i byłam z siebie dumna. Najważniejsze są woda, motywacja i modlitwa. Poradziłam sobie i byłam szczęśliwa.

Dorota wybiera się także na Misterium Męki Pańskiej, które odbędzie się w Wielki Piątek.

– Wstaję o piątej rano. Potem tyle godzin trzeba iść. Człowiek na początku jest słaby, ale przez te dróżki wzmacnia ducha i jest szczęśliwy. Na drugi dzień naprawdę bardzo dobrze się czuję.

W tym roku jeszcze dubajskie jaja

Jeśli jechać do Kalwarii Zebrzydowskiej, to po odpust. Najbardziej popularne są, tak jak wspomniała Dorota, 15 sierpnia i Wielki Piątek.

– Na tygodniowe uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w 2024 r. przybyło do nas ponad 150 tys. osób – wylicza o. Tarsycjusz Bukowski. – Najwięcej pielgrzymów przybywa w Wielkim Tygodniu. W zeszłym roku było ok. 170 tys., a w sam Wielki Piątek na drózkach kalwaryjskich modliło się 85 tys. wiernych.



Ludzie mówią, że mężczyzna odgrywający Jezusa jest „totalnie dobrany”.
Nz. Misterium Męki Pańskiej, 2024 r.

Na bramie sanktuarium znajduje się plan wydarzeń Wielkiego Tygodnia, wśród nich Misterium Męki Pańskiej, czyli coroczna inscenizacja wydarzeń znanych z Ewangelii (kolejny element wyróżniający tę kalwarię na tle innych). W Niedzielę Palmową jest „Wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy” i „Wypędzenie przekupniów”, w środę „Uczta u Szymona”, „Posiedzenie Wysokiej Rady” i „Zdrada Judasza”, w czwartek „Umycie nóg apostołom” i „Wieczorny sąd u Kajfasza”. W piątek wierni startują o szóstej rano „Porannym sądem u Kajfasza”, następnie jest „Dekret Piłata” i najważniejsze, czyli droga krzyżowa.

– Z czwartku na piątek otwieramy około trzeciej rano i siedzimy do wieczora – mówi Magdalena Kastelek, która wraz z siostrą, Barbarą Bielą, od pięciu lat prowadzi kawiarnię i cukiernię Sisters Cake. Z pasji do pieczenia. – Same na misterium nie idziemy, bo przed świętami mamy bardzo dużo pracy.

– Przygotowujemy ciasta, mazurki, babki cytrynowe, baranki wielkanocne, pierniczki w kształcie kaczków czy zajączków, a w tym roku jeszcze dubajskie jaja – dodaje Basia i pokazuje mi jajo z czekoladą dubajską. – Do tego przyjmujemy turystów. Odpoczywamy dopiero w sobotę po południu, od drugiej. Wtedy padamy z nóg.

Siostry są ubrane w czerwone fartuchy z logo cukierni, w której jest kilka stolików, bar, obok zamrażarka z lodami na gałki, a za barem półki z naczyniami, menu na tablicy i krzyż na ścianie. Magda i Basia mówią, że największy ruch mają w weekendy oraz właśnie w Wielkim Tygodniu

Od 1999 r. sanktuarium znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

i w sierpniu. Wtedy turyści przychodzą już w nocy. Kalwaria w ogóle na nich zyskuje. Kawiarnie, restauracje, noclegi. To, że tu przyjeżdżają turyści, Magda uważa za jeden z największych plusów miasta. Bo tak to cicho i spokojnie. Jest jeszcze Festiwal Ogórka Kalwaryjskiego. Wzięto się to z tradycji kiszenia ogórków podczas odpustów i sprzedawania ich pielgrzymom. Na mieszkańców Kalwarii Zebrzydowskiej mówiło się „Ogórcze”. W Sisters Cake można kupić ciasto ogórkowe.

Wyjechać

– Religia i meble, myślę, że to najtrafniejsze określenie Kalwarii – ocenia Amelka, nastoletnia mieszkanka o kolorowych włosach, która idzie

przez miasto z dwiema koleżankami.

Kalwaria żyje tymi meblami i wydarzeniami religijnymi. Gdy pytam o inscenizację, ludzie mówią o Jezusie, a konkretnie o tym, że odgrywający go mężczyzna do Jezusa jest bardzo podobny, „totalnie dobrany”, bo ma długie włosy i brodę, jak Jezus. Według jednych te włosy są jasnobrązowe, według drugih ciemnobrązowe, cerę ma białą, choć ktoś mówi, że nie za jasną, tylko śniadą trochę, ale nie za ciemną. No, taką jak Pan Jezus.

Niektórzy narzekają, że trochę uciążliwe są te uroczystości, bo tłumy, bo pozamykane ulice i korki, ale większość zamyka wtedy swoje sklepy czy zakłady i rusza na kalwarię.

– Co roku jesteśmy na misterium – mówi Janusz Wypiór. – To w naszej okolicy duże wydarzenie. Cała Kalwaria Zebrzydowska jest wtedy pełna. Nie ma gdzie samochodu postawić. Dlatego jeździmy z żoną na motorku. Dla nas to też może coś innego, bo do klasztoru chodzimy częściej, czasem na jakieś koncerty i inne wydarzenia. Człowiek się uwiązał. Tata mnie za ręką tam prowadził, jak byłem mały, i na skarbonce mnie sadzał na mszy przy ołtarzu.

Jeśli zatem jechać do Kalwarii Zebrzydowskiej, to po meble i odpust, bo w sumie nic więcej tu nie ma. Spokojnie, cicho i trochę nudno, by nie napisać, że bardzo, i nie obrazić ludzi, bo mili.

– Jestem osobą niewierzącą, podobnie jak wielu moich znajomych, więc nie uczestniczę w religijnych uroczystościach – przyznaje Amelka. – Dla nas nie mają one większego znaczenia. Bardziej dla starszych i tych religijnych. Myślę, że te wydarzenia zawsze tu będą, bo klasztor jest znany i jest na liście UNESCO.

– Chcesz tu zostać czy wyjechać? – pytam.

– Wyjechać – odpowiada szybko. – Do większego miasta na studia.

Anna Wyrwik

Moralność pani Arent

Przyboczna prezesa, posłanka Iwona Arent w sprawach moralnych pogubiła się zupełnie

Marek Książek

Przez Warmię i Mazury, które w Sejmie reprezentuje Iwona Arent, przetacza się głębokie westchnienie zażenowania i wstydu wsparte komentarzami w stylu: „Już zapomniała, jak jej synek zmaltretował dziewczynę?”. W każdym razie posłanka PiS po raz kolejny strzeliła sobie w kolano. Choć mogła pozostawić po sobie wspomnienie w miarę pożytecznej parlamentarzystki, przylgnie do niej opinia impulsywnej, ale i niezbyt rozgarniętej kobiety uprawiającej trudną sztukę polityki. Ale może takie właśnie gotowe na wszystko towarzyszyki są potrzebne prezesowi?

Złaź, morderco!

Kiedy 2 kwietnia Roman Giertych wszedł na mównicę sejmową, by bronić się przed atakiem Jarosława Kaczyńskiego, który nazwał go sadystą, został otoczony przez grupę posłów PiS. Jako jedna z pierwszych przybiegła Iwona Arent. Z obłędem w oczach, wskazując Giertycha palcem, po trzykroć krzyknęła: „Złaź, morderco!”. Zaraz dołączył do niej cały pisowski chór, wołając: „Morderca, morderca!”. Miało to być napiętnowanie posła KO za jego udział w rzekomym doprowadzeniu do śmierci Barbary Skrzypek, która jako świadek zeznawała w śledztwie dotyczącym tzw. dwóch wież, czyli planowanej przez Kaczyńskiego inwestycji w stolicy. Giertych to jeden z dwóch – obok mec. Jacka Dubois – pełnomocników pokrzywdzonego w sprawie Austriaka spowinowaconego z prezesem PiS, ale w czasie przesłuchania „pani Basi” przez prokuratora Ewę Wrzosek nie był fizycznie obecny! Reprezentował

go mec. Krystian Lasik, czyli tzw. substytut. No, ale wiadomo: Giertych ma długie ręce i mógł do „morderstwa” się przyczynić.

Tak musiała rozumować Iwona Arent, idąc za ciosem wyprowadzonym przez jej wodza partyjnego, któremu zdaje się wprost czytać w myślach. Za swoje słowa nie przeprosiła, potwierdzając chwilę później w rozmowie z reporterem TVN, że Giertych to morderca, co jest w stanie udowodnić przed sądem. Ale gdy już wyszła z amoku, opisała na platformie X awanturę jako „burzliwą dyskusję”, podczas której posłowie PiS wyrazili niezadowolenie z działań

lecz elektorat PiS nie obdarzył jej zaufaniem. Ale tak się złożyło, że w 2006 r. poseł Aleksander Szczygło został szefem kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego i to pani Iwona przejęła jego mandat. Potem jeszcze pięciokrotnie zostawała posłanką, choć w regionalnych strukturach partii zawsze grała drugie skrzypce. Pierwsze grał Jerzy Szmit, lecz widocznie nie cieszył się uznaniem prezesa Kaczyńskiego, który w 2022 r. niespodziewanie powołał Arent na szefową olsztyńskiego okręgu partii, jednego z czterech w województwie utworzonych pod kątem wyborów parlamentarnych.

Posłanka Arent pracowała kiedyś jako referentka w zakładzie energetycznym, do partii braci Kaczyńskich przystąpiła już w 2002 r., po okresie zdobywania doświadczeń w ruchu katolickim.

Giertycha, a wszystko to „w trosce o przyszłość Polski i obywateli”. Za swoje zachowanie nie przeprosił także Kaczyński, dlatego oboje zostali ukarani odebraniem połowy uposażenia przez trzy miesiące. Pozostali 49 posłów, którzy brali udział w zdarzeniu, ma tracić tyle samo, ale tylko przez dwa miesiące.

Strzeliła sobie w łeb

Pochodząca z Olsztyna posłanka Arent pracowała kiedyś jako referentka w zakładzie energetycznym, ale uzupełniała wykształcenie i jednocześnie skręcała w stronę polityki. Do partii braci Kaczyńskich przystąpiła już w 2002 r., po okresie zdobywania doświadczeń w ruchu katolickim. Trzy lata później spróbowała szczęścia w wyborach do Sejmu,

W tym czasie uaktywniła się ona na niwie sejmowej. Co prawda, już wcześniej, w 2018 r., zastąpiła partijną koleżankę Małgorzatę Wassermann w komisji śledczej ds. afery Amber Gold, jednak niczym szczególnym się nie wyróżniła. Za to dała popis w lutym 2022 r., gdy Andrzej Rozenek z trybuny sejmowej zasugerował, że były szef ABW jest współodpowiedzialny za śmierć Barbary Blidy. Wtedy posłanka Arent zareagowała, krzycząc z sali: „Strzeliła sobie w łeb!”. Potem jedna z jej znajomych wyznała w mediach: „To rządy PiS tak ją zmieniły”. Miała na myśli także wcześniejszy wyskok olsztynianki, kiedy ta wyrwała telefon z rąk Kingi Gajewskiej z PO, filmującej słynne wystąpienie prezesa Kaczyńskiego o „kanaliach” i „zdradzieckich mordach”. Jak widać,



Iwona Arent z obłędem w oczach, wskazując Giertycha palcem, po trzykroć krzyknęła: „Złaź, morderco!”, 2 kwietnia 2025 r.

Po awanturze Arent wstawiła na X swoje zdjęcie przy tablicy poświęconej Janowi Pawłowi II, z dopiskiem: „Pamiętamy!”. 2 kwietnia 2025 r.

w takich przypadkach pani Arent zawsze stara się pokazać wodzowi z bojowej strony.

Chociaż czasami nie przeczuwa kłopotów, jak w przypadku słynnego agenta Tomka, czyli Tomasza Kaczmarskiego, którego zaprosiła na imprezę imieninową, a ten chciał pobić byłego męża swojej partnerki Katarzyny Sz. (potem została jego żoną i oboje są oskarżeni w procesie o nadużycia w stowarzyszeniu Helper). Ale kiedy tylko Kaczmarskiowi powinęła się noga i stracił poparcie prezesa PiS, Arent zaraz się od niego odcięła.

Troskliwa mamusia

Kolejny raz wzbudziła zainteresowanie mediów, gdy „Super Express” opublikował filmik autorstwa syna posłanki, 30-letniego Michała. On sam udokumentował nim zdarzenie



z 24 czerwca 2023 r. Na nagraniu młoda, silna kobieta tłucze pięściami drobną dziewczynę przy zachęcie Michała: „Co tak słabo? Wal ją, zajeb ją!”. Wstrząsające sceny męczyzna nagrywał smartfonem, a w trakcie filmowania drugą ręką chwycił ofiarę za włosy i gwałtownie potrząsał jej głową.

Pisaliśmy o tym w tekście „Zachwiana kariera posłanki PiS” („Przeгляд” nr 29/2023), dodając pierwszy

komentarz Iwony Arent. Tłumaczyła, że syn wcale nie bił byłej dziewczyny, a jedynie ze złości, że ukradła mu pieniądze i telefon, „szarpał ją za włosy i opluł, to wszystko”. Pograżyła się tymi słowami w opinii publicznej, a podobno też zirykowała samego prezesa Kaczyńskiego, na pewno zaś władze PiS przeprowadziły z nią wewnętrzną rozmowę. Skuteczną, bo posłanka Arent wydała oficjalne oświadczenie, że jest wstrząśnięta informacjami medialnymi, które wymagają pełnego wyjaśnienia i „w żaden sposób nie mogą być usprawiedliwione”. Dodała również, że „żadna forma fizycznej i psychicznej przemocy nie powinna mieć miejsca w stosunku do nikogo, szczególnie kobiety”. Wcześniejszą próbę obrony jedynaka tłumaczyła naturalną reakcją matki, która wierzy synowi, dorosłemu, pracującemu człowiekowi, niekaranemu.

Wprawdzie zawiesiła działalność polityczną, ale po trzech tygodniach ponownie się uaktywniła i wkrótce wystartowała w wyborach, po raz piąty zdobywając mandat poselski. Nadal jednak nie zakończył się proces karny jej syna, bo na przeszkodzie stanęły względy proceduralne, chociaż sąd uznał za winną koleżankę Michała – sama poddała się karze ograniczenia wolności na pół roku.

► Casanova po polsku

Jakiś czas był spokój, aż przez kraj przetoczyła się historia jak z brazylijskiej telenoweli. Onet opisał proces niejakiego Tomasza J., nazwanego polskim Casanovą, którego na salony polityczne wprowadzała Iwona Arent. Według portalu miała z nim romans w latach 2019-2020,

Onet opisał proces niejakiego Tomasza J., nazwanego polskim Casanovą, którego na salony polityczne wprowadzała Iwona Arent.

gdy ten pochodzący ze Śląska, żonaty mężczyzna, po sześciu klasach szkoły podstawowej i kursie elektrymontera, jak Nikodem Dyźma nawiązywał znajomości z politykami, wykorzystując je do robienia interesów. Wśród owych polityków była olsztyńska posłanka PiS, przez którą poznawał innych parlamentarzystów i docierał do firm potrzebujących pomocy na szczeblu centralnym. „Tak było w przypadku budowy fabryki

materiałów drewnopochodnych Egger w Biskupcu, z którą Tomasz J. miał podpisaną umowę na »usługi w zakresie doradztwa biznesowego oraz komunikacyjnego«. Zainkasował za to 350 tys. zł”, ujawnił Onet. W sprawie tej firmy Iwona Arent interweniowała nawet u prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry, żaląc się, że przeciwnicy utrudniają fabryce

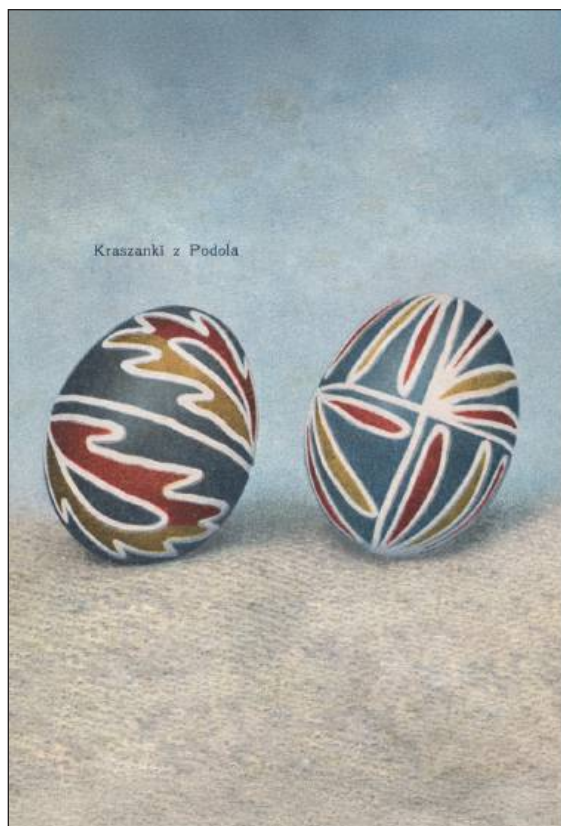
działalność. W sprawie innej firmy, której usługi lobbystyczne świadczył jej przyjaciel, interweniowała z kolei w Ministerstwie Finansów. Gdy się okazało, że to hochsztapler, zajęły się nim służby, nadając tej operacji kryptonim „Casanova”.

Doszedł do tego wątek obyczajowy, bo Tomasz J. coraz częściej miał przebywać w hotelu sejmowym na różnych imprezach, a nawet zostawać na noc w pokoju postanki.

Po wybuchu afery Iwona Arent wystosowała oświadczenie, jakoby to ona – gdy tylko nabrała wątpliwości co do swojego partnera – przekazała stosowne informacje służbom. Stanowczo też podkreśliła, że nigdy nie pomagała Tomaszowi J. w żadnych nielegalnych działaniach. „Zdecydowanie potępiam wszelkie działania o charakterze korupcyjnym i w pełni popieram działania organów mające na celu wyjaśnienie tej sprawy”, dodała, jak na dobrą obywatelkę przystało.

Kiedy Iwona Arent już ochłonęła po sejmowej awanturze, wstawiła na X swoje zdjęcie – z dopiskiem: „Pamiętamy!” – przy tablicy poświęconej Janowi Pawłowi II, oddając hołd w kolejną rocznicę śmierci polskiego papieża. Co skomentował gen. Stanisław Koziej, pytając retorycznie, czy to ta sama pani, która „oczerniała bliźniego”, i to tego samego dnia. „PiS w sprawach moralnych pogubił się zupełnie”, dodał generał. Cóż, na moralności kariery politycznej dzisiaj się nie robi.

Marek Książek



35 lat MUZEUM
lat NIEPODLEGŁOŚCI

Mazowsze.
serce Polski
Muzeum Niepodległości jest jednostką organizacyjną
zarządzaną przez Prezesa Mazowszeckiego

Niech te radosne dni przyniosą wiosenne przebudzenie, nadzieję i wiarę w lepsze jutro. Oby świąteczny czas upłynął w cieplej, rodzinnej atmosferze, a tradycyjne spotkania przy wielkanocnym stole napełniły serca radością i optymizmem.

Życzymy zdrowia, pomyślności oraz wszelkiej obfitości.
Niech Zmartwychwstanie Pańskie
obudzi w nas siłę do pokonywania trudności i inspiruje do
czynienia dobra.

Tadeusz Skoczek
Dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie

wraz z pracownikami
Wielkanoc 2025

W projekcie wykorzystano: Kraszanki z Podola / wzory z Muzeum Etnograficznego, Zakł. Fotoch.
B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, 1913, 9,0 x 14,2 cm, światłodruk barwny, karton, pocztówka,
nr inw. P.2282 ze zbiorów Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Czytając w Magazynie „Wyborczej” opowieść Artura Włodarskiego o Elonie Musku (wyborcza.pl/magazyn/7,124059,31814715,obserwuje-muska-od-lat-jesli-postanowi-zastapic-trumpa-kims.html#S.index_topic-K.C.B.1-L.1.duzy), poczułem się wyprowadzany z chaosu, w którym przebywałem od objęcia władzy w USA przez Donalda Trumpa. Lekturze towarzyszyło też uznanie dla spójności wyводу i absolutne przerażenie rozległością wpływów Muska – człowieka od Tesli, SpaceX, satelitów Starlink, właściciela przejętego Twittera, dzisiaj X. Najbogatszego człowieka na Ziemi i najwyraźniej realnego przywódcy USA. „Miliarder z platformą medialną steruje rządem atomowego mocarstwa. Wszyscy jesteśmy królikami doświadczalnymi – mówi Lindsay Owens, amerykańska socjolożka ekonomiczna”.

Nie będę się zagłębiał w analizę socjopatycznej osobowości Muska – to tylko dodatek do deseru. Widać u niego istotne inspiracje i zapożyczenia w przestrzeni

„Ktoś, kogo nie było na żadnej karcie do głosowania, w niecały miesiąc zinfiltrował dane milionów podatników, zamroził już podpisane inwestycje federalne i zwolnił tysiące urzędników. Po co? – By osłabić rząd, który kontroluje prywatny biznes. I by prywatny biznes mógł przejąć część kompetencji rządu i na tym zarabiać – tłumaczy Tim Kramer, pisarz i były oficer armii USA”.

Ale zmierzajmy do wyjaśnienia. Cały ten technologiczny napęd nowego systemu świata opiera się na dostępie do minerałów, takich jak kobalt, grafit, lit, nikiel, miedź i pierwiastki ziem rzadkich (REE). „Są one warunkiem postępu technologicznego i transformacji energetycznej. Bez nich nie byłoby: aut elektrycznych, paneli fotowoltaicznych, turbin wiatrowych, chipów, laptopów, magnesów, smartfonów, dronów, satelitów, laserów, światłowodów, katalizatorów, sztucznej inteligencji, blockchainu, IoT, czyli internetu rzeczy, twardych dysków, centrów danych i systemów uzbrojenia”. Chiny

Chaos w nas, nie w Musku

filozofii politycznej, historii – raczej dość zaskakujące. „Musk to longtermista. Myśli w kategoriach tysięcy lat – ponoć tyle ma przed sobą ludzkość. Tak wyliczył – na zasadzie analogii do innych gatunków – William MacAskill, szkocki filozof (rocznik 1987), modny ostatnio w Dolinie Krzemowej”.

MacAskill zainspirował się Irokezami, którzy, podejmując decyzje, wybiegają w przyszłość o siedem pokoleń. Longtermiści, w tym Musk, Thiel, J.D. Vance (człowiek Thiela), uważają, że skoro przyszłych pokoleń będzie znacznie więcej, ich dobro jest ważniejsze niż nasze.

Musk nie zajmuje się już diagnozą, ona jest niepodważalna: apokalipsa klimatyczna jest nieuchronna, demokracja to system chory, niefunkcjonalny, spowalniający lub uniemożliwiający działanie – poprzez regulacje i instytucje publiczne. Musk jest już od dawna na orbicie „rozwiązanie problemów” i, jak podczas swoich prac nad raketami czy Teslą, zaczyna od zera, by dojść do finału. „Tesla to remedium na zmianę klimatu, SpaceX – na ziemską apokalipsę, a Neuralink i xAI – na nieposłuszną sztuczną inteligencję. Musk na ich czele jawi się jako technologiczny Prometeusz”.

Pozostaje też pod wpływem youtubera Yarvina, który głosi, że demokrację trzeba zastąpić dyktaturą, a całą władzę oddać w jedne ręce. Ameryka powinna być więc technomonarchią rządzoną jednoosobowo przez CEO-monarchę, czyli kogoś w rodzaju szefa big techu. „Bo każdy szef z listy »Fortune 500« będzie bardziej efektywny niż dowolny polityk”.

zrozumiały to jeszcze w latach 70. i przez ostatnie 40 lat stworzyły kompletny łańcuch dostaw kobaltu, od złoza do baterii, i zdominowały globalny rynek. Tak samo z miedzią i większością metali ziem rzadkich. Ameryka i Europa to przegapiły, zlekceważyły Chiny.

Dzisiaj Musk szuka, jak to ma w zwyczaju, rozwiązania od zera. Gdzie są jeszcze złoża, których nie kontrolują Chiny? W Kanadzie i Ukrainie, na Syberii i Grenlandii. „Trzeba je przejąć. Jak nie po dobroci, to szantażem lub siłą”. Do tego właśnie potrzebny jest mu ktoś taki jak Trump, pozornie przywódca USA.

Walka o minerały i pierwiastki ziem rzadkich to najważniejszy porządkujący filtr, pozwalający zrozumieć pozorny globalny chaos, który obserwujemy od początku roku. „Angażując się w MAGA, Musk uruchomił kaskadę zdarzeń, wydawałoby się, nieprawdopodobnych: DOGE, Grenlandia, Kanada, Ukraina, Rosja, Meksyk, Strefa Gazy, groźby, obelgi, odwracanie sojuszy, nakładanie ceł i ich odwoływanie... wszystko naraz”. Ten schemat działania doskonale przed laty opisała Naomi Klein w „Doktrynie szoku”. Takim politycznym elektrowstrząsom poddawany jest obecny porządek i układ światowy.

„Linie Maginota” współczesnego świata stanowią zniechęcona przez Muska Unia, najpotężniejszy gracz świata – Chiny i, paradoksalnie, Donald Trump, gdyż nie ma miejsca na dwie takie socjopatyczne osobowości obok siebie. Macie poczucie, że polityka w Polsce chociaż ociera się o zrozumienie i reakcje na taki, odgrywany na naszych oczach, scenariusz? ■

FATALNY PRZYJACIEL

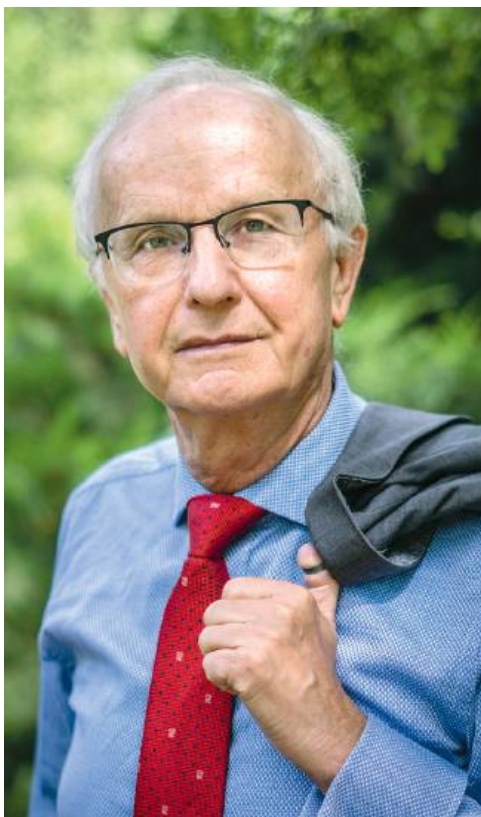
Gdy jedni liczą ofiary wojny i ponoszone koszty, drudzy kalkulują zyski finansowe i korzyści polityczne

Grzegorz W. Kołodko

Prezydent Donald Trump wezwał Arabię Saudyjską do zmniejszenia cen ropy, aby w ten sposób uniemożliwić Kremlowi finansowanie wojny z Ukrainą. Czyż to nie intrygujące, że kilkanaście dni później zapowiedział spotkanie z prezydentem Rosji, które miałyby się odbyć akurat w Rijadzie? No bo nie mogą spotkać się w połowie drogi między Waszyngtonem a Moskwą – w stolicy Islandii Reykjavíku, tak jak czynili to Ronald Reagan i Michaił Gorbaczow – gdyż Władimir Putin jako zbrodniarz wojenny zostałby aresztowany na mocy werdyktu Międzynarodowego Trybunału Karnego. Czyż to nie chichot historii, że kiedyś Stalin z Rooseveltem w Teheranie, a teraz – niedaleko stamtąd, przez kawałki pustyni i nieco wody Zatoki Arabskiej, dla jednych, albo Perskiej, dla drugich – Putin z Trumpem w Rijadzie? Będzie tam namawiał księcia Mohammeda bin Salmana, de facto władcę Arabii, do obniżki cen ropy, idąc na spotkanie z wszechwładcą Rosji, którą uprzednio jakoby chciał ekonomicznie dobić?

Kroplówka antyrosyjskich sankcji

I bez tego wojna się zakończy. Zapręstanie się tragicznego zabijania, ale konflikt trwał będzie jeszcze długo. Bardzo długo. Również dlatego, że Rosja nie zechce zwrócić Ukrainie zajętych terytoriów, zwłaszcza Krymu – nawet jeśli Zachód byłby skłonny znieść dotkliwe sankcje nałożone na agresora – a Ukraina, co zrozumiałe,



PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO

Członek Akademii Europejskiej, były czterokrotny wicepremier i minister finansów, wicekłodowca Akademii Leona Koźmińskiego, autor licznych książek i artykułów, które ukazały się w 28 językach. Najczęściej na świecie cytowany polski ekonomista. Maratończyk i globtroter.

nie zechce się z tym pogodzić przez długie lata, jeśli nie pokolenia. A sankcje trzeba utrzymać do czasu, aż Moskwa zgodzi się na układ, który równocześnie zechce bez szantażu zaakceptować Kijów. Wspólnota międzynarodowa powinna popierać każde rozejmowe porozumienie, które wypracują obie strony konfliktu ukraińsko-rosyjskiego, nie

warunkując tego jakimikolwiek dodatkowymi zastrzeżeniami.

Co zaś tych sankcji się tyczy, to wielce dające do myślenia jest ich dozowanie. Za taki karygodny czyn, jakiego dopuściła się Rosja, nie można było jej nie ukarać represjami handlowymi i finansowymi. Ale dlaczego aplikowanymi w plasterkach, a nie potężnym uderzeniem, które możliwie jak najszybciej zmusiłoby ją do zaprzestania militarnej agresji? Jak to jest możliwe, że w trzecią rocznicę inwazji – 24 lutego 2025 r. – Unia Europejska uruchomiła 16. pakiet sankcji? Jakaś kroplówka podtrzymująca kondycję agresora zamiast silnego ciosu zmieniającego reguły gry? Mniej więcej co dwa miesiące kolejna transza sankcji, jakby węzłowej części z nich nie można było dotkliwie skoncentrować w krótkim czasie? Podobnie w sukcesywnych, limitowanych porcjach sankcje nakładały Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Otóż dlatego, że góry nie wzięli ci, którym doprawdy zależało na rychłym przerwaniu tej tragicznej wojny, lecz ci, którzy mieli swoje interesy ekonomiczne i polityczne w jej trwaniu.

Ekonomiczne, bo wielu zachodnim firmom opłacało się kontynuować korzystne interesy z rosyjskimi partnerami. Na ich zrywaniu stracili bardzo dużo, gdyż sankcje w jakiejś mierze szkodziły także tym, którzy je nakładają. Ekonomiczno-polityczne, bo znakomicie wykorzystywały to kręgi polityków korumpowane przez producentów uzbrojenia dostarczanego Ukrainie. Amerykańscy producenci sprzętu militarnego zarobili na tym około 70 miliardów dolarów. Polityczne, bo jak powiedział Lloyd

Austin, sekretarz obrony w administracji prezydenta Bidena, chcieliby zobaczyć „Rosję osłabioną do tego stopnia, aby nie mogła zrobić tego, co zrobiła, najeżdżając Ukrainę”. A powiedział to bardzo wcześniej, bo dokładnie dwa miesiące po wybuchu wojny, czyli wtedy, gdy w zasięgu ręki było wynegocjowanie w Istawie porozumienie o zawieszeniu broni i podjęciu negocjacji.

Czas leczy rany

Kiedyś, gdy pokoleń już kilka upłynie, może dojdzie i do tego, że stosunki rosyjsko-ukraińskie ułożą się do stosunków. Podobnie jak z czasem – niestety, aż po trzech wojnach, w tym dwu światowych – doszło to takich relacji między Niemcami i Francją. Wpierw się zabijali o Alzację i Lotaryngię, a dziś mało kto zwraca uwagę na to, do którego z tych krajów te prowincje należą. Czy podobnie będzie kiedyś z Krymem i Donbasem? Dziś to może brzmieć jak herezja, ale Ukraina nie może mieć dobrej, prosperującej przyszłości bez ułożenia jeśli nie przyjaznych, to przynajmniej w miarę dobrych roboczych stosunków ze swoim wielkim sąsiadem. Analogii z przeszłości można by wskazać więcej, chociażby konflikt Włoch z Austrią o ziemię, której ci pierwsi nazywają Alto Adige, a ci drudzy Südtirol, czy też relacje amerykańsko-meksykańskie, że już nie wspomniemy historii Polski i Niemiec. Zanim jednak do tego dojdzie, stosunki rosyjsko-ukraińskie będzie

można bardziej kojarzyć z obecnymi relacjami pomiędzy Indiami i Pakistanem odnośnie do Kaszmiru. Daleko nawet do tego, co zachodzi obecnie w relacjach Azerbejdżanu i Armenii, sąsiadów uwikłanych przez długie lata w spory – łącznie z nieszczęsnymi konfliktami militarnymi – o region Górskiego Karabachu, który ostatecznie został włączony do Azerbejdżanu po jego akcji wojskowej w 2023 r.

Wspólnota międzynarodowa powinna popierać każde rozejmowe porozumienie, które wypracują obie strony konfliktu ukraińsko-rosyjskiego.

Uwagze niejednego obserwatora umyka globalna kontekstualność wojennego konfliktu we wschodniej Europie. Są inne okrutne starcia zbrojne. Niektóre z nich pociągają za sobą dużo poważniejsze niż na Ukrainie kryzysy humanitarne oraz powodują relatywnie większe straty gospodarcze. Katastrofalne są skutki izraelsko-palestyńskiej wojny

w Strefie Gazy, zatrważające są sytuacje w Sudanie i na wschodzie Konga. Syndrom ukraiński ma jednakże największe znaczenie ze względu na implikacje dla przesunięć geopolitycznych. Kiedyś, w odległej przyszłości, historia będzie nań patrzyła przede wszystkim pod tym kątem. Dlaczego tak a nie inaczej zachowały się największe potęgi światowe? Jak zmieniła się ich globalna pozycja? Jak ułożyły się wzajemne relacje po

wojnie? Jak sprzęgały się wątki polityczne, gospodarcze, ekologiczne, społeczne i kulturowe z militarnymi? O co bezpośrednio toczyła się ta wojna, wiadomo, ale kto i co chciał tak naprawdę wywalczyć dla siebie przy okazji? Gdy jednych martwi przesuwanie siłą widocznych granic na mapie geograficznej, inni przesuwają niewidoczne granice na geopolitycznej mapie świata. Podczas gdy jedni liczą ofiary wojny i ponoszone koszty, inni kalkulują zyski finansowe i korzyści polityczne.

Epoka multilateralizmu

Gdy skażony chorobliwym przerostem ambicji prezydent Trump ekspozuje swoje mocarstwowe iluzje, traktując je jako realistyczne wizje, i powiada, że „Nic nie stanie nam na drodze”, to brzmi to groźnie. Nie można tego lekceważyć. Nadal bowiem nie jest on w stanie pojąć, że czas amerykańskiej dominacji minął bezpowrotnie, że nieodwracalnie nadeszła epoka multilateralizmu, kiedy to z innymi trzeba się układać w imię wspólnych interesów, a nie usiłować ich ujarzmić, co destabilizuje jeszcze bardziej i tak już dostatecznie chwiejne układy światowe.

Sytuacje będą się komplikować i pogarszać zarówno w samych Stanach Zjednoczonych, jak i u ich bliższych i dalszych sąsiadów oraz w wielu innych miejscach tego wędrującego świata. Jeśli spełni ▶

KSIAŻKA, KTÓRA ZMIENI SPOJRZENIE NA POLITYKĘ

Prof. Grzegorz W. Kołodko – intelektualista, polityk, światowej sławy ekonomista – w swoim przenikliwym i bezkompromisowym stylu rozbiera na czynniki pierwsze trumponomikę i trumpizm, populizm i nowy nacjonalizm, publiczne kłamstwa i brutalną grę interesów. Analizując powrót Trumpa do władzy i jego wpływ na gospodarkę, politykę międzynarodową oraz przyszłość Ameryki, książka ta przestrzega przed zagrożeniami i wskazuje sposoby wyjścia z nasilającego się globalnego zamieszania.

To jest książka nie tylko o postępowaniu amerykańskiego prezydenta. To przede wszystkim opowieść o tym, jak inni reagują na niekonwencjonalne decyzje Trumpa 2.0. To ostrzeżenie przed polityką, która może wstrząsnąć całym światem.



► się cała kadencja 47. prezydenta USA, to 20 stycznia 2029 r. stan rzeczy będzie odczuwalnie gorszy. Jeśli epizod Trump 2.0 zakończy się wcześniej – ze względu na możliwość impeachmentu, niewielką, ale z góry nie do wykluczenia, lub jakąś inną okoliczność – to strat będzie trochę mniej. Jeśli natomiast ziścić miałyby się ewentualność Trump 3.0, o czym już przebiekują

powinien wystrzegać się wszystkiego, co może sprowokować zbrojny konflikt wokół sprawy Tajwanu. Zupełnie niepotrzebnie zadrażnione zostały stosunki z Pekinem po tym, jak już w trzecim tygodniu nowej administracji ze strony internetowej Departamentu Stanu została usunięta fraza „nie popieramy niepodległości Tajwanu”. Zamiast od czasu do czasu potrząsać szabelką

Geopolityczna gra

Traktując jako punkt odniesienia początek 2025 r., kiedy nastał Trump 2.0, najlepiej będą radzić sobie Indie, korzystając z dwóch specyficznych dywidend. Pierwsza to dywidenda pokojowa, o ile nie dają się zbyt wciągnąć w spiralę zbrojeń oraz unikną konfliktów zbrojnych z Pakistanem i Chinami. Sądzę, że można się spodziewać spełnienia tych zastrzeżeń. Druga to dywidenda demograficzna. W odróżnieniu od podstarzałych społeczeństw pozostałej czwórki, Indie cieszą się obfitością ludzi młodego pokolenia, którzy zasilają szybko rosnącą gospodarkę potrzebną jej strumieniem siły roboczej. O ile median wieku (próg wiekowy, który dzieli całą populację na połowy) wynosi 38,9 lat w USA, 40,2 lata w Chinach, 41,9 w Rosji i 44 lata w Unii Europejskiej, to w Indiach jest to tylko 29,8 lat.

Chiny sobie poradzą, nadal rozwijając gospodarkę w ponadprzeciętnym tempie i sukcesywnie niwelując dystans dzielący je od krajów bogatych. Rosja wlec się będzie w ekonomicznym ogonie. Unia Europejska, mając ogromny potencjał, może go nie wykorzystać. Może relatywnie stracić najwięcej, o ile nie upora się z nękającymi ją problemami strukturalnymi

niektórzy z jego lizusów i on sam, to szkody będą dużo większe, bowiem narastają one wraz z biegiem czasu nie liniowo, lecz potęgują się wykładniczo.

W normalnych warunkach wariant Trump 3.0 byłby mrzonką, ale doświadczamy nienormalnych czasów. Być może następnym razem w walce o kontynuację władzy nie poprzestanie na namawianiu rozochoczonego tłumu do marszu na waszyngtoński Kapitol. Mogą zaistnieć nadzwyczajne okoliczności uprawniające do legalnego przedłużenia kadencji prezydenta; taki swoisty Trump 2+. Tak właśnie stało się w przypadku Ukrainy, gdzie zgodnie z konstytucją wybory nie mogły się odbyć w 2024 r., bo trwała wojna zapoczątkowana rosyjską agresją. Trump tego nie rozumiał, bezpodstawnie nazywając prezydenta Wołodymyra Zełenskiego dyktatorem, ale może będzie kuszony, aby sam takowym zostać u siebie. Dobrym (czyli bardzo złym) pretekstem do tego mogłaby być wojna z Chinami, do której można doprowadzić, prowokując Tajwan do ogłoszenia niepodległości, a potem stanąć w jego obronie. No i w obronie prawa do dłuższego zasiadania w Białym Domu.

Bez kolejnej wojny

Jeśli prezydent Trump nie chce gorącej wojny z Chinami, to

i podzegać go do ogłoszenia niepodległości – co zdarzało się także politykom Partii Demokratycznej, a co, jak zapowiada prezydent Xi Jinping, spowodowałoby inwazję chińską i przywrócenie Tajwanu do macierzy siłą – należy honorować politykę jednych Chin, zgodnie z zawartymi porozumieniami między Waszyngtonem i Pekinem. Skoro obecne pokolenie może nie potrafić definitywnie rozwiązać sprawy Tajwanu pokojowo, to najlepiej zachować status quo i zostawić to następnym pokoleniom, jak to mądrze radził reformatorski przywódca Chińskiej Republiki Ludowej, Deng Xiaoping.

Należy honorować politykę jednych Chin, zgodnie z zawartymi porozumieniami między Waszyngtonem i Pekinem.

Najbardziej prawdopodobny jest wariant pełnej, czteroletniej kadencji prezydenta Trumpa. Historycznie patrząc, 1461 dni to niedużo, ale dostatecznie wiele, aby narobić szkód co niemiara. Zapewne uda się uczynić też coś dobrego, ale złe strony trumponomiki i trumpizmu przeważą i będą o sobie dawać znać jeszcze przez wiele następnych lat. W różnych miejscach różnie będzie to odczuwane. Ogromne przetasowania nastąpią w układach wielkiej piątki; chodzi o Stany Zjednoczone, Chiny, Indie, Rosję i Unię Europejską.

i instytucjonalnymi. Jeśli pogłębi integrację i dużo zainwestuje w poprawę gospodarczej konkurencyjności, to wygra, jeśli zaś nie usprawni zespalających ją mechanizmów i wyda zbyt dużo na zbrojenia, do czego nieustannie i skutecznie podpuszcza ją przyjaciel zza oceanu, przegra. Jak powiedział Henry Kissinger, „To niebezpieczne być wrogiem Ameryki, ale fatalnie jest być jej przyjacielem”.

Fragment książki Grzegorza W. Kołodki,
Trump 2.0. Rewolucja chorego rozsądku,
Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2025

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Siekiera i skalpel

Badania nastolatków mówią, że „spada u nich poczucie szczęścia. Coraz więcej młodych wskazuje szkołę i rodzinę jako źródła negatywnych emocji”. A przecież nigdy jeszcze młodzi nie mieli tylu atrakcji i możliwości co teraz. Ale też nigdy nie było tak wiele rywalizacji, porównywania, zaszczuwania się w internecie, tyle presji na posiadanie. Apetyt zaczął rosnąć w miarę jedzenia, niebywale obżeramy się pokarmem i rzeczami. Szczęście mieszka głównie w celebracji mijającego czasu, a na to właśnie nie mamy czasu.

Patrzę na swoich synków, bardzo, ale to bardzo chcą mieć dużo pieniędzy, bo tyle jest wokół rzeczy, które można kupić. Dlatego Franek marzy o jakiejś pracy, a ma 14 lat. Ma różne pomysły, jak zarobić, ostatni to plantacja marihuany. Ale jemu pasje przyrastają co miesiąc, ze starych nie rezygnuje, więc to wszystko mu się nie mieści w jednej głowie.

Mam Franiowi opowiedzieć o Polsce Ludowej, potrzebuje tego na lekcje historii. Okazuje się, że to karkołomnie trudne zadanie, jakam się, wikłam, irytuje mnie moja bezradność, złoścę się na siebie i na niego. Pewnie gdybym miał wykład w dużej sali dla dorosłych, radziłbym sobie lepiej. Dla niego Polska Ludowa to odległa planeta, coś niepojętego. To dlaczego żeście się nie zbuntowali, pyta. Tłumaczę mu, że jak się siedzi w więzieniu, bunt bywa niemożliwy lub nieskuteczny.

Salon literacki w ładnym domu, ta willowa dzielnica jest nazywana „Pod skocznią”. Stała tu metalowa skocznia narciarska, nieco przypominająca małą wieżę Eiffla. Świetnie ją pamiętam, chyba nasza wolność ją zjadła. A obok dom gen. Jaruzelskiego, brzydkie pudełko. Napisałem niedawno na blogu, że chętnie wypiłbym kawę z generałem, a na Kaczyńskiego kawę tylko bym mógł wylać. Mój przyjaciel z Toronto, teraz w argentyńskiej Patagonii, ale z ręką na polskim pulsie, okropnie się na mnie oburzył, że tak chłapałem. Każdemu się zdarza, tłumaczy mnie. Wcale nie, Krzysiu, ja tak czuję. A to znak, co się porobiło. Zresztą prezes też wypiłby chętnie kawę z generałem, a swoich oponentów politycznych skazał lekką ręką na karę śmierci. Właśnie zupełnie poważnie sugeruje dożywocie, a najlepiej karę śmierci dla Giertycha i powołuje się na Norymbergę. Ta Norymberga definiuje stan psychiczny prezesa.

A co do generała, o wiele łatwiej mi wybaczyć mu stan wojenny, ale nie mogę 1968 r., inwazji na Czechosłowację i czystki rasowej w armii. Stan wojenny przeorał życie moje i milionów ludzi, ale można teraz uznać, gdy znikły

emocje, że generał był jak Wielopolski, który próbował zapobiec powstaniu styczniowemu, szlachetnemu, ale bez sensu i o katastrofalnych skutkach. Radykałowie Solidarności brnęli w ten radykalizm, interwencja sowicka była niemal pewna, dzisiaj wielu dawnych działaczy związku wspiera PiS. A stan wojenny utorował drogę do wielkiej zmiany w 1989 r., generał zaś zachował się jak mąż stanu.

Wracając do salonu literackiego, sporo ludzi, aktor-ka czyta moje wiersze, trochę zbyt patetycznie, a moje wiersze tego nie lubią. Ale bardzo dobre spotkanie. Są prawnicy. Pytam o to, o co pytałem w którymś felietonie: czy mamy prawo używać niedemokratycznych metod wobec PiS, by zapobiec przejęciu przez tę formację władzy, skoro wiemy, że zniszczy demokrację. Tak się stało w Rumunii. Bez wahania odpowiadają, że tak. No proszę, co się porobiło.

Jestem czasami zapraszany do programu „Sprawa dla reportera”, emitowanego od kilkunastu lat, przetrwał różne trąby powietrzne i trzęsienia ziemi, jakich doświadczała telewizja. Elżbieta Jaworowicz stworzyła cykl niezwykle odporny na zmiany pogody i katastrofy. Bohaterami są ludzie z prowincji, chyba rzadko z dużych

Szczęście mieszka głównie w celebracji mijającego czasu, a na to właśnie nie mamy czasu.

miast. To Polska, której nie znam i nie zna moje inteligenckie otoczenie. Stąd potem zdumienie, dlaczego oni tak dziwnie głosują. Program próbuje pomóc w rozwiązywaniu karkołomnie zawikłanych osobistych spraw, w które wkracza wymiar sprawiedliwości, niemal zawsze z siekierą, gdy potrzebny jest skalpel. Jak na dłoni widać, jaki los zgotowali ludzie ludziom, często bardzo sobie bliscy, jakby nie wystarczył dramatyzm życia sam w sobie. Druga część programu to pomoc w zbieraniu pieniędzy na leczenie ciężko chorych dzieci; zwykle konieczne są terapie genowe dostępne tylko w Stanach. Kochający rodzice i dzieci skazane na kalectwo i śmierć. Tej dwójce zanikają mięśnie. Zebrano już 10 mln, bardzo dużo, ale potrzeba w sumie 32 mln, obaj chłopcy są dotknięci chorobą. Co będzie, jeśli starczy tylko dla jednego? Za 32 mln można utrzymać przez rok spory szpital, a taki szpital może uratować więcej niż dwa życia. Jak to wszystko zważyć?

Ukraina zagrożeniem dla Rosji?

John Mearsheimer: Trump ma rację w sprawie Ukrainy

14 marca 2022 r. w „Przeglądzie” ukazały się fragmenty wywiadu Isaaca Chotinera z Johnem Mearsheimerem. Za prezydentury Bidena, którego administracja bezdyskusyjnie wspierała Ukrainę, poglądy Mearsheimera, wskazującego Zachód jako winowajcę wojny rosyjsko-ukraińskiej, sytuowały się wyraźnie poza głównym nurtem. Co więcej, studenci na Uniwersytecie w Chicago, z którym Mearsheimer jest związany, zaczęli się domagać, by udowodnił, że nie jest rosyjskim agentem. Po zmianie administracji uczony zdaje się wracać

do łask mediów głównego nurtu. Nie tak dawno można było zobaczyć wywiad z nim w CNN (www.youtube.com/watch?v=5WfAL35GA_0). Czy w myśli Mearsheimera w ciągu trzech ostatnich lat krwawej wojny dokonana się ewolucja? Poniżej publikujemy fragmenty rozmowy na ten temat. Z całością, która ukazała się 11 marca 2025 r. w witrynie internetowej „New Yorkera”, można się zapoznać pod adresem: www.newyorker.com/news/q-and-a/why-john-mearsheimer-thinks-donald-trump-is-right-on-ukraine.

JOHN MEARSHEIMER

– amerykański politolog, twórca teorii realizmu ofensywnego, wykładowca stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie w Chicago

Rozmawia Isaac Chotiner

Jak pana zdaniem Trump radzi sobie z kwestią Rosji i Ukrainy?

– Zgadzam się zasadniczo z tym, co robi. Natychmiastowe zakończenie wojny ma strategiczny sens. Sądzę, że takie działanie jest także odpowiednie z moralnego punktu widzenia. Myślę, że Trump jest na właściwej drodze, i mam nadzieję, że mu się powiedzie, chociaż nie postępuje w najrzeczniejszy sposób.

Jak wygląda ta właściwa droga?

– Musi zawrzeć umowę z Rosjanami, a to oznacza zaakceptowanie kluczowych warunków przez nich wysuniętych. Pierwszym jest to, że Ukraina musi być krajem prawdziwie neutralnym. Nie może być członkiem NATO i nie może mieć zachodnich gwarancji bezpieczeństwa. Po drugie, będzie musiała oddać znaczącą część terytorium na wschodzie. Po trzecie, będzie musiała się zdemilitaryzować w takim stopniu, aby nie stanowić zagrożenia dla Rosji. Trump musi zaakceptować te warunki i wypracować umowę z Rosjanami. Potem jednak nastąpi najtrudniejszy krok, czyli skłonienie Europejczyków, a zwłaszcza Ukraińców, do wyrażenia na to zgody.

Jak wyglądałaby taka Ukraina?

– Wszystko zależy od tego, jak dużo terytorium utraci od teraz do momentu, gdy zostanie osiągnięte porozumienie. Rosjanie mają strategiczne powody, aby zająć więcej jej ziem. Sądzę zatem, że jest konieczne, z ukraińskiego punktu widzenia, załatwienie wszystkiego szybko, zanim Rosjanie zajmą znacznie większe terytorium i usunięcie ich stamtąd będzie niemożliwe.

Zalóżmy, że mamy traktat pokojowy i Ukraina będzie musiała oddać terytorium. Jakie gwarancje mogą lub powinny zostać zaferowane Ukraińcom, którzy są atakowani przez Rosjan w takiej czy innej formie od dekady?

– Nie mogą otrzymać gwarancji bezpieczeństwa i po prostu muszą zaakceptować ten fakt.

Dlaczego?

– Gwarancje bezpieczeństwa są de facto członkostwem w NATO. Rosjanie na to się nie zgodzą. Czy dla Ukrainy ta sytuacja jest tragiczna? Odpowiedź brzmi: tak. Ale jaka jest alternatywa?

(...) Zalóżmy, że mamy traktat pokojowy bez gwarancji bezpieczeństwa, a Putin ponownie atakuje Ukrainę. Co wówczas?

– To byłaby tragedia. Pytanie, jaki byłby najlepszy sposób na uniknięcie

tęgo. Ale czy Putin zaatakuje Ukrainę w przyszłości? Nie wierzę w to. Sądzę, że ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, gdy zakończy tę wojnę, byłoby rozpoczynanie kolejnej.

W 2014 r. powiedział pan, że Putin nie będzie dążył do opanowania reszty Ukrainy. Może ponownie pan go nie docenia?

– Nie. W 2014 r. faktycznie powiedziałem, że nie będzie dążył do zajęcia reszty Ukrainy. Ale sytuacja zmieniła się po 2014 r., szczególnie zaś po tym, jak Joe Biden wprowadził się do Białego Domu. W sprawach Ukrainy był superjastrzębiem. Zaczął uzbrajać Ukrainę na większą skalę niż jego poprzednik. W rezultacie, co nie może być zaskoczeniem, 13 miesięcy po objęciu urzędu miał już na karku wojnę. **Putin został zatem w pewien sposób zmuszony do inwazji?**

– Tak. Taki jest mój pogląd. Zmusiliśmy Putina do wojny prewencyjnej, mającej na celu uniemożliwienie Ukrainie wstąpienia do NATO.

(...) Ukraina nie była nigdy członkiem NATO i nie było pewności, czy kiedykolwiek nim się stanie, nawet pod rządami administracji Bidena. Mijamy w tym względzie jasność.

– Nie, to całkowita nieprawda. Gdy spojrzymy na to, co się stało po wyborze Bidena, to widzimy, że nie robił tajemnicy z tego, że chce włączyć Ukrainę do NATO. Istniał dokument na ten temat.

(...) Oglądałem interesującą rozmowę, którą odbył pan ostatnio z Aleksandrem Duginem, skrajnie

prawicowym rosyjskim filozofem i pisarzem, wielkim zwolennikiem wojny i rosyjskiego nacjonalizmu (www.youtube.com/watch?v=lv02A-sNATAg – przyp. P.K.). Jaka była jego perspektywa i co daje panu poczucie, że stanowi ona wsparcie pana stanowiska, że przyczyną wojny było rozszerzenie NATO?

– Cóż, w pewnych zasadniczych sprawach zgadzam się z Duginem, ale w innych ujawniają się głębokie różnice między nami. Szczególnie mój pogląd na liberalizm sytuuje się na przeciwnym biegunie.

Nie jest pan zagorzałym faszystą.

– Nie jestem. Jak zaznaczałem to przy wielu okazjach, dziękuję szczęśliwej gwieździe, że urodziłem się w liberalnej Ameryce, i postrzegam siebie jako osobę całkowicie oddaną liberalizmowi. Dugin zaś nie. Ale jest faktem, że zgadzamy się co do zasadniczej przyczyny wojny w Ukrainie, że była nią próba wciągnięcia Ukrainy do NATO przez Zachód. (...)

Wyda mi się, że w rozmowie z panem Dugin się powstrzymywał. Przejrzałem jednak jego inne wypowiedzi na temat wojny w Ukrainie.

W marcu 2022 r. w wywiadzie dla rosyjskiej gazety powiedział, że „obłężenie Kijowa jest bitwą o jedność wschodnich Słowian i stworzenie suwerennej cywilizacji Rosyjskiego Świata, która jest wymierzona przeciwko Zachodowi. (...) Prawda i Bóg są po naszej stronie. Walczymy z absolutnym złem ucieleśnionym przez zachodnią cywilizację, z jej liberalno-totalitarną hegemonią,

to dowodów. (...) Moim zdaniem Putin ma pełne zdolności orientowania się, jak działa świat, i podejmowania własnych decyzji politycznych. Nie sądzę zatem, że to, co mówi Dugin, ma jakiś wpływ na Putina. Może ma, ale kto to może wiedzieć? (...)

Moje pytanie dotyczy tego, czy nie ufa pan zbyt dużo Duginowi. Mówi on o ekspansji NATO itd., ale od dekad chciał najechać Ukrainę i z pobudek

W sprawach Ukrainy Biden był superjastrzębiem. Zaczął ją uzbrajać na większą skalę niż jego poprzednik. I 13 miesięcy po objęciu urzędu miał na karku wojnę.

imperialistycznych przyłączyć ją do Rosji. Skłania mnie to do wniosku, że być może niechętnie słucha pan argumentów podważających pana opinie o Putinie.

– Proszę dać mi dowody dotyczące Putina. To jest istotna kwestia. To, co Aleksander Dugin pisze i mówi, nie ma znaczenia. Zmienił pan temat rozmowy na Dugina, którego zdanie zasadniczo się nie liczy.

Putin mówił o Piotrze Wielkim.

„Co robił Piotr?”, pytał w czerwcu 2022 r. „Odzyskiwał i wzmacniał. To właśnie robił”. Następnie powiedział: „Wyda mi się, że na nas również spadło zadanie odzyskiwania i wzmacniania” (...). Ignoruje pan te stwierdzenia?

– Wypowiedź o Piotrze Wielkim nastąpiła po rozpoczęciu wojny. To był rzucony mimochodem komentarz. Nie stanowi dowodu, że Putin

że jest rzeczą pożądaną włączenie Ukrainy do wielkiej Rosji, że uważa to za wykonalne, i jasno dawał do zrozumienia, że to właśnie zamierza zrobić.

Wyda mi się, że dowodem na to, co Hitler chciał zrobić Czechosłowacji, nie było to, co powiedział Chamberlainowi w Monachium. Dowodem były kroki, które później podjął w stosunku do Czechosłowacji.

– Ten argument jest niefalsyfikowalny. Nie ma dowodów na to, że Putin był zdecydowany podbić Ukrainę i przyłączyć ją do wielkiej Rosji.

Próbuje teraz to zrobić.

– Wcale nie. Nie próbuje podbić całej Ukrainy. Nie ma na to dowodów. Ponadto zaraz po inwazji w lutym 2022 r. zwrócił się do strony ukraińskiej i powiedział: „negocjujemy”.

Sądzę, że istnieje długa lista ludzi, którzy wcale nie są zainteresowani pokojem, lecz udają, że chcą negocjacji pokojowych. Stale pisze pan o Bliskim Wschodzie i krytykuje Izrael. Zakładam, że ma pan świadomość istnienia krajów, które twierdzą, że pokój bardzo je interesuje, ale w rzeczywistości do niego nie dążą.

– Wszystkie dowody wskazują na to, że Putin był śmiertelnie poważny. (...) **Czy rzeczywiście uważa pan, że Ukraina była zagrożeniem dla Rosji?**

– Myślę, że Ukraina w NATO byłaby zagrożeniem dla Rosji. Rosjanie nie twierdzili, że Ukraina sama w sobie była zagrożeniem. (...)

Chciałem jeszcze zwrócić uwagę, że w 2008 r. Putin powiedział podobno George'owi W. Bushowi, że Ukraina „nie jest nawet państwem”. Zakładam jednak, że i to potrafi pan wytłumaczyć.

– Nic nie wiem na temat tego stwierdzenia. Musiałbym je przestudiować. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Zmusiliśmy Putina do wojny prewencyjnej, mającej na celu uniemożliwienie Ukrainie wstąpienia do NATO.

znajdującą wyraz w ukraińskim nacizmie”. Powiedział też, że rosyjska „cywilizacja” nie będzie „kompletna, dopóki nie zjednoczymy wszystkich wschodnich Słowian i wszystkich euroazjatyckich braci we wspólnej, wielkiej przestrzeni”. Czy jest możliwe, że i Putin w to wierzy, niezależnie od tego, co publicznie mówi?

– Wielu ludzi, czytając Dugina, argumentuje, że reprezentuje on sposób myślenia Putina. Ale nie ma na

chciał być agresywny przed wybuchem wojny. Nie dostarczył pan żadnych dowodów, że jest on imperialistą zainteresowanym podbiem całej Ukrainy i przyłączeniem jej do wielkiej Rosji. (...)

Co innego niż stwierdzenie Putina: „robię to z pobudek imperialistycznych”, liczyłoby się pana zdaniem jako dowód?

– Cóż, musiałyby się pojawić komentarze jego autorstwa, ustne lub pisemne, w których stwierdziłby,

OKRĄGŁY STÓŁ był wielkim eksperymentem

**Prawica od początku nie umiała docenić jego wagi,
ponieważ głównymi autorami tego sukcesu
byli ludzie lewicy**

Paweł Siergiejczyk

Gdy Okrągły Stół kończył obrady, dla dużej części Polaków był on symbolem wiary, nadziei i miłości. Wiary w możliwość porozumienia się władzy z opozycją, nadziei na lepszą przyszłość, a miłości – może niekoniecznie do każdego bliźniego, ale na pewno do Polski, która dla obu stron konfliktu politycznego była ojczyzną.

Dziś o tym wszystkim już się nie pamięta, a zawarte 36 lat temu porozumienia nie stały się fundamentem zbiorowej tożsamości obywateli III Rzeczypospolitej. Wręcz przeciwnie, są powszechnie uznawane za symbol zdrady narodowej, spisku „czerwonych z różowymi” albo „komunistów z agentami SB”, a na pewno za początek wszelkiego zła, które przypisuje się Polsce odrodzonej jako państwo demokratyczne w 1989 r. Do tego stopnia, że młodzi narodowcy z Konfederacji pogardliwie nazywają III RP „republiką Okrągłego Stołu”. Oni oczywiście nie mogą pamiętać tamtego czasu, a historii uczyli się już w wersji ippeenowskiej. Gorzej, że taką samą pogardę dla początków „trzeciej niepodległości” wyraża wielu starszych polityków czy dziennikarzy, którzy pamięć mają dobrą, lecz wybiórczą, historię zaś dopasowują do własnych potrzeb ideologicznych.

Czym w rzeczywistości był Okrągły Stół? Rewolucją bez rewolucji, czyli pierwszym w powojennej Polsce spełnieniem marzenia o wielkiej

zmianie w kierunku wolności i suwerenności, w dodatku bez użycia przemocy – własnej lub radzieckiej – co było zmaganiem polskich przełomów z lat 1956, 1970 i 1980-1981. I wbrew wszelkim teoriom spiskowym (które pojawiły się bardzo szybko, bo już na początku lat 90.) w 1989 r. nikt nie wiedział, jak potoczą się dalsze wydarzenia. Okrągły Stół był bowiem wielkim eksperymentem, i to w skali nie tylko PRL, ale wręcz całego bloku wschodniego. Nigdy dotąd władza w żadnym kraju zależnym od Moskwy nie zdecydowała się na wyciągnięcie ręki do ludzi opozycji, którzy jeszcze tak niedawno byli przez nią internowani i więzieni, a w wymiarze propagandowym uznawani za wrogów ustroju i agenturę USA.

Eksperyment po referendum

Zimą i wiosną 1989 r. nikt nie miał pojęcia, do czego ten eksperyment doprowadzi. Dla ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego było jasne, że kolejne lata rządzenia po stanie wojennym oznaczają pogłębianie się marazmu politycznego i gospodarczego, a wobec tego coraz większe zniechęcenie społeczeństwa. Wymownym tego świadectwem były wyniki referendum przeprowadzonego w listopadzie 1987 r., gdy na żadne z pytań dotyczących radykalnej reformy gospodarczej i demokratyzacji życia politycznego władza nie uzyskała odpowiedzi twierdzącej ponad połowy uprawnionych do głosowania (ta porażka do złudzenia

przypominała kompromitującą próbę połączenia przez rząd PiS referendum z wyborami parlamentarnymi w październiku 2023 r.).

Warto przy tym pamiętać, że przez całe lata 80. gen. Jaruzelski zabiegał o rozszerzenie zaplecza politycznego swoich rządów. Dziwny to „dyktator”, w dodatku „komunistyczny”, który starał się uzyskać poparcie przeciwników ideologicznych kierowanej przez niego partii. Przede wszystkim hierarchii kościelnej, z papieżem w Watykanie i prymasem Polski na czele, a w wymiarze ściśle politycznym – działaczy katolickich cieszących się zaufaniem tejże hierarchii. Temu służyło powołanie w 1982 r. PRON pod kierownictwem Jana Dobraczyńskiego czy w 1986 r. Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa z takimi postaciami jak mec. Władysław Siła-Nowicki, prof. Maciej Giertych czy prof. Krzysztof Skubiszewski, a także (bezsukces co prawda) zapraszanie do tworzonego w 1988 r. rządu Mieczysława Rakowskiego ludzi takich jak Andrzej Micewski, prof. Julian Auleytnier czy prof. Witold Trzeciakowski.

Gesty te nie mogły jednak przynieść istotnej zmiany, gdyż hierarchia kościelna i związana z nią inteligencja katolicka nie stanowiły realnej ani nawet symbolicznej alternatywy wobec władzy peerelowskiej. Kościół bowiem od 1956 r. funkcjonował w coraz ściślejszej symbiozie z tą władzą, co dzisiaj skutecznie zakłamuje ippeenowska „polityka historyczna”.

Magdalenka, 21 stycznia 1989 r., spotkanie strony rządowej z przedstawicielami opozycji i Kościoła. Od lewej: Zbigniew Bujak, N.N., Władysław Frasyniuk, N.N., Lech Wałęsa; w środku ks. Alojzy Orszulik. Od prawej: członek Biura Politycznego KC PZPR prof. Janusz Reykowski, gen. Czesław Kiszczak, członek prezydium Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego prof. Jan Janowski, N.N. i Lech Kaczyński.



Rozmowy w pałacyku MSW przy ulicy Zawrat w Warszawie, 31 sierpnia 1988 r. Nz. Lech Wałęsa z gen. Czesławem Kiszczakiem oraz zastępcą sekretarza episkopatu bp Jerzy Dąbrowski z sekretarzem KC PZPR Stanisławem Cioskiem.



Jedyną alternatywą – przynajmniej w odczuciu znacznej części społeczeństwa – mogła być Solidarność. A właściwie legenda Solidarności, bo samego związku zawodowego nie było od czasu wprowadzenia stanu wojennego, który szybko i nadzwyczaj skutecznie zlikwidował faktyczną dwuwładzę w państwie, jaka istniała od sierpnia 1980 r. do grudnia 1981 r. Struktury solidarnościowego podziemia, początkowo działające bardzo aktywnie, z czasem zaczęły słabnąć, od połowy lat 80. nie miały zaś większego znaczenia, tym bardziej że po zniesieniu stanu wojennego kilkaset

tysięcy działaczy Solidarności skorzystało z możliwości opuszczenia kraju na stałe.

Nie było więc związku, ale był Lech Wałęsa, który konsekwentnie dbał o budowanie własnej pozycji zarówno w kraju (w czym pomogło długie internowanie po 13 grudnia 1981 r.), jak i za granicą (do czego przyczyniła się przede wszystkim Pokojowa Nagroda Nobla w 1983 r.). I to właśnie Wałęsa okazał się jedynym realnym partnerem do rozmów z władzą w 1988 r., gdy dwukrotnie, w maju i sierpniu, przeszła przez Polskę fala strajków o charakterze głównie płacowym, choć pojawiały się

też hasła polityczne. Oczywiście skala tych protestów nie da się porównać z sierpniowymi strajkami sprzed ośmiu lat, ale uczestniczyło w nich już nowe pokolenie robotników i studentów, które nie doświadczyło grudniowej klęski z 1981 r. W tej sytuacji podczas obrad plenum Komitetu Centralnego PZPR w czerwcu 1988 r. gen. Jaruzelski rzucił hasło Okrągłego Stołu, czyli podjęcia rozmów ze środowiskami zainteresowanymi „stowarzyszeniową formą pluralizmu w PRL”.

Miesiąc później przebywał z wizytą w Polsce Michaił Gorbaczow – pierwszy przywódca ZSRR, którego witano nad Wisłą z autentyczną sympatią, a wręcz entuzjazmem, czego wyrazem stała się wykonana przed gościem i jego gospodarzami piosenka Andrzeja Rosiewicza, rozpoczynająca się od słów: „Wieje wiosna ze wschodu, wieje wiosna na dobre”. Rolę tej wizyty chyba najtrafniej ocenił w swoich dziennikach Mieczysław Rakowski, pisząc, że „Gorbaczow jest pierwszym przywódcą radzieckim, który przyjechał do Polski nie po to, żeby mówić o reformy, ale je stymulować”.

Generał i noblista

Niewątpliwie tak było, skoro już 20 sierpnia rozpoczęły się rozmowy sondażowe pomiędzy doradcą Wałęsy i działaczem katolickim, ►

► prof. Andrzejem Stelmachowskim, a sekretarzem KC PZPR Józefem Czyrkim. Inicjatywę zasadniczych rozmów między władzą a opozycją wkrótce poparł episkopat Polski, który szybko stał się kluczowym pośrednikiem – jego przedstawiciele będą uczestniczyli we wszystkich dalszych etapach tego dialogu (szczególną rolę odegrali tu abp Bronisław Dąbrowski, abp Jerzy Stroba, kard. Franciszek Macharski i ks. Alojzy Orszulik, dyrektor Biura Prasowego Episkopatu). Pierwsze spotkanie Wałęsy z gen. Czesławem Kiszczakiem, najbliższym współpracownikiem gen. Jaruzelskiego, odbyło się 31 sierpnia, kolejne 15 września, a następnego dnia rozpoczęły się rozmowy w willi MSW w podwarszawskiej Magdalence, z udziałem szerszego grona doradców obu stron.

Odtąd Magdalena stała się miejscem, do którego udawano się, by poprawić atmosferę rozmów i ustalić najważniejsze szczegóły przyszłego porozumienia.

Obrazy Okrągłego Stołu rozpoczęły się jednak dopiero 6 lutego 1989 r. (zakończyły się 5 kwietnia), bo wcześniej obaj główni aktorzy – generał i noblista – musieli się zmierzyć z oporem własnego zaplecza politycznego. Wałęsa miał łatwiej, tym bardziej że w grudniu 1988 r. utworzono Komitet Obywatelski przy przewodniczącym Solidarności, skupiający czołówkę elit opozycyjnych (z nazwiskami wielu znanych intelektualistów), zarówno o lewicowych, jak i o prawicowych poglądach. Choć z drugiej strony nie brakowało grup radykalnie antykomunistycznych, takich jak Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego czy Grupa Robocza Komisji Krajowej Solidarności pod wodzą Mariana Jurczyka, Andrzeja Gwiazdy i Jana Rulewskiego, które odmawiały Wałęsie demokratycznego mandatu do reprezentowania związku.

Znacznie trudniej miał gen. Jaruzelski, który musiał się mierzyć z oporem partyjnego betonu, kategorycznie odrzucającego rozmowy z opozycją, i dopiero jego groźba ustąpienia ze wszystkich stanowisk (wraz z Rakowskim i generałami Czesławem Kiszczakiem i Florianem

Siwickim, czyli szefami MSW i MON), wyrażona podczas styczniowego plenum Komitetu Centralnego, wymusiła zgodę tego gremium na Okrągły Stół. Najbardziej opornym elementem układu rządzącego okazał się jednak przewodniczący OPZZ Alfred Miodowicz, który najwyraźniej pozazdrościł Wałęsie sławy i doprowadził do telewizyjnej debaty z liderem Solidarności, która odbyła się 30 listopada 1988 r. W powszechnej ocenie ludzi z elity władzy był to błąd, gdyż Miodowicz debatę przegrał i w ten sposób tylko umocnił pozycję polityczną i popularność społeczną Wałęsy. Nie był to zresztą pierwszy ani ostatni niekonsultowany z nikim „wyskok” szefa OPZZ, który we wrześniu 1988 r. wymusił dymisję rządu Zbigniewa Messnera, a podczas obrad Okrągłego Stołu domagał się pozycji trzeciego, równorzędnego partnera, w dodatku o bardzo niekonwencjonalnym jak na członka Biura Politycznego KC PZPR podejściu: najpierw wystąpił z szokującą wszystkich propozycją likwidacji cenzury i przeprowadzenia całkowicie wolnych wyborów sejmowych, potem domagał się 10% mandatów w Sejmie dla OPZZ i ograniczenia uprawnień przyszłego prezydenta.

Strona rządowa szła więc do tych rozmów w stanie chaosu, bez precyzyjnie określonego planu, licząc głównie na uspokojenie nastrojów społecznych, czemu nie sprzyjała pogarszająca się sytuacja gospodarcza. Dwa miesiące negocjacji, toczonych w trzech głównych zespołach (ds. pluralizmu związkowego, ds. gospodarki i polityki społecznej i ds. reform politycznych) oraz w licznych podzespołach, pozwoliły wypracować autentyczny kompromis, którego początkowo nie spodziewała się ani jedna, ani druga strona.

Najważniejszym ustaleniem było przeprowadzenie częściowo wolnych wyborów do Sejmu (35% posłów wyłanianych w swobodnej konkurencji, reszta mandatów zagwarantowana dla obozu rządzącego) i całkowicie wolnych wyborów do Senatu, który zdecydowano się przywrócić po 50 latach, na wniosek młodego polityka PZPR Aleksandra Kwaśniewskiego. Przywrócono też

urząd prezydenta, domyślnie skrojony pod osobę gen. Jaruzelskiego. Zalegalizowano NSZZ Solidarność i inne organizacje społeczne i zawodowe, wprowadzając tym samym pełny pluralizm w życiu publicznym. Opozycji zagwarantowano też dostęp do środków przekazu. Najbardziej dyskusyjne okazały się ustalenia gospodarcze, gdyż związkowcy z obydwu stron wymusili indeksację płac w sektorze państwowym, która radykalnie zwiększała inflację i stała w sprzeczności z wolnorynkową polityką rządu Rakowskiego.

Brakujące mandaty

Trzeba przyznać, że mało jest w całej historii Polski wydarzeń tak optymistycznych jak Okrągły Stół z jego konsekwencjami. Bo wbrew ogromnym obawom – zresztą wyrażanym po obu stronach – umowa tam zawarta okazała się uczciwa.

Ówczesna władza nie wykorzystała swojej oczywistej przewagi i potrafiła rozpocząć proces samoograniczania (zakończony przedterminowym ustąpieniem prezydenta Jaruzelskiego w 1990 r. i samorozwiązaniem Sejmu X kadencji rok później), co umożliwiło stworzenie w pełni demokratycznego systemu politycznego. Ale też ówczesna opozycja nie wykorzystała ogromnego sukcesu w wyborach parlamentarnych do pognębienia przeciwnika i wzięcia na nim rewanżu za lata upokorzeń. Przeciwnie, gdy 4 czerwca 1989 r. okazało się, że przepadła lista krajowa z nazwiskami całej czołówki władzy PRL, ludzie Solidarności od razu zgodzili się na przekazanie brakujących mandatów do puli miejsc w okręgach przynależnych partiom rządzącym. Dzięki temu do Sejmu weszło wielu młodych, znanych później polityków PZPR i ZSL.

„Drużyna Wałęsy” nie zablokowała również wyboru gen. Jaruzelskiego na prezydenta, choć mogła. Tacy politycy jak Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń czy Adam Michnik – podobnie jak sam Wałęsa – okazali się wierni ustaleniom Okrągłego Stołu, mimo że pozycja rządowego partnera zmieniła się radykalnie.

Spotkanie po Okrągłym Stole 18 kwietnia 1989 r. w Warszawie. Od lewej: marszałek Sejmu Roman Malinowski, gen. Wojciech Jaruzelski, Mieczysław Rakowski, Lech Wałęsa i gen. Czesław Kiszczak.



To rzadki w naszej historii przykład uczciwości wobec rodaków z przeciwnego obozu politycznego. Jesteśmy przecież krajem tak licznych wojen domowych, toczonych niegdyś przez krewniaków z dynastii piastowskiej, a potem przez różne konfederacje szlacheckie, stronnictwa magnackie i rokosze antykrólewskie. Jesteśmy krajem, w którym zamordowano pierwszego prezydenta i obalono demokratyczne rządy w wyniku przewrotu wojskowego, a krwawe porachunki między powojenną władzą a jej przeciwnikami trwały jeszcze kilka lat po najcięższej z wojen. Na tym tle porozumienia Okrągłego Stołu, dzięki którym narodziła się III Rzeczpospolita, wyglądają jak prawdziwy cud. Ten cud był możliwy dzięki dojrzałości elit politycznych z obydwu stron, które miały dosyć przelewania polskiej krwi i jałowej nienawiści między rodakami.

Potem jeszcze tylko dwa razy polskie elity potrafiły osiągnąć podobny kompromis: w 1997 r., kiedy ogromna większość parlamentu uchwaliła nową konstytucję, i w 2004 r., gdy większość sił politycznych przekonała Polaków do zgody na wejście do Unii Europejskiej.

Rola głównego inicjatora i organizatora zgody narodowej w tych najważniejszych dla Polski sprawach przypadła politycznym wychowankom gen. Jaruzelskiego, czyli liderom demokratycznej lewicy z Aleksandrem Kwaśniewskim na czele. W obozie solidarnościowym tę samą rolę starali się odegrać liderzy Unii Demokratycznej, a potem Unii Wolności, choć partia ta nigdy nie była jednorodna i linia konsekwentnie okrągłostołowa stale

była kwestionowana przez część jej działaczy. Natomiast polska prawica, która zaczęła zyskiwać na znaczeniu już w 1990 r., od początku nie potrafiła docenić wagi Okrągłego Stołu, najwyraźniej nie chcąc się pogodzić z faktem, że głównymi autorami tego historycznego sukcesu byli ludzie o lewicowych życiorysach. Stąd wzięta się czarna legenda Magdaleny i rzekomej „zdrady elit”, która w środowiskach antykomunistycznej prawicy niemal od początku III RP funkcjonuje jako niewzruszony dogmat.

Jeśli jednak można mówić o zdradzie, to przede wszystkim zdradzone zostały sam Okrągły Stół i jego dziejowe osiągnięcie – idea pojednania wszystkich Polaków ponad historycznymi podziałami. Co więcej, zdrady tej dopuściła się część uczestników obrad! Przecież istotną rolę odegrali wtedy bracia Kaczyńscy – Lech w zespole ds. pluralizmu związkowego (a także jako członek ścisłego grona doradców Wałęsy towarzyszących mu w Magdalence), Jarosław w zespole ds. reform politycznych.

Po stronie solidarnościowej w pracach grupy roboczej ds. stowarzyszeń wzięli udział m.in. młoda prawniczka Krystyna Pawłowicz i czołowy

działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów Mariusz Kamiński, w podzespołe ds. nauki i oświaty – inny przedstawiciel NZS, Grzegorz Bierecki (obecnie senator PiS, twórca systemu SKOK-ów), a w podzespołe ds. młodzieży – ówczesny działacz Ruchu Młodej Polski Jarosław Sellin (dziś poseł PiS i były wiceminister kultury). Spośród nieżyjących już idoli prawicy warto wspomnieć o takich postaciach jak Jan Olszewski i Zbigniew Romaszewski, którzy zasiadali w podzespołe ds. reformy prawa i sądów, prof. Ryszard Bender, zasiadający w zespole ds. reform politycznych, czy Grażyna Gęsicka (przewodnicząca klubu parlamentarnego PiS, która zginęła pod Smoleńskiem), pracująca w podzespołe ds. górnictwa.

Skoro polska prawica nie potrafi docenić nawet własnego udziału w kluczowym momencie historycznego przełomu, trudno się spodziewać, że doceni zasługi swoich ideowych i politycznych rywali. Docenić te zasługi potrafili za to obcy – zarówno na wschód i południe, jak i na zachód od nas – dla których polski model rewolucji bez rewolucji stał się godnym podziwu przykładem politycznej mądrości, nieraz kopionym w miejscowych warunkach. Pierwszym zaś, który dostrzegł ów dziejowy przełom, był ówczesny ambasador USA w Warszawie John R. Davis, który już 7 marca 1989 r. informował Departament Stanu: „Kommunizm zmienia się w coś, co Jaruzelski określił jako demokratyczny neosocjalizm, pomysł, który wydaje się mieć więcej wspólnego ze współczesną Szwecją niż stalinowską Rosją”.

I chyba tylko można żałować, że polskie przemiany nie poszły konsekwentnie w kierunku szwedzkim, czyli dojrzałej, odpowiedzialnej demokracji o gospodarce rynkowej i socjaldemokratycznym państwie. Zamiast tego od 35 lat powtarzamy te same błędy i wady, które tak mocno obciążały I i II Rzeczpospolitą...

Paweł Sergiejczyk

Pawilon Austrii na EXPO 2025 w Osace,
kwiecień 2025 r.



Każdy kryzys można zamienić w szansę

Czy EXPO w Osace pomoże odbudować międzynarodowe mosty?

Mateusz Mazzini

Z punktu widzenia zwykłego śmiertelnika to zawsze była impreza niezrozumiała. O ile inne ważne wydarzenia zglobalizowanego świata, takie jak szczyty polityczne, igrzyska olimpijskie, a nawet ceremonia wręczenia Oscarów, były wyczekiwane i oglądane przez miliony, EXPO zawsze pozostawało ciałem zagadkowym. Nie obcym, bo jednak o tej wystawie regularnie mówiło się w mediach, ale właśnie zagadkowym. Z jednej strony, trudno było znaleźć przedstawiciela umiędzynarodowionej klasy średniej, który o EXPO by nie słyszał. Z drugiej

– gdyby w tej samej grupie przeprowadzić sondę uliczną z pytaniem, co w ramach tej imprezy się dzieje, pewnie większość nie potrafiłaby udzielić poprawnej odpowiedzi.

Ratowanie, wzmacnianie, łączenie

Oficjalnie tegoroczna edycja EXPO, czyli wystawy światowej, projektu stworzonego w celu udostępnienia krajom platformy do pokazywania tego, co mają najlepsze w najróżniejszych dziedzinach życia, trwa od 13 kwietnia do 13 października. Po 55 latach EXPO wróciło do Osaki, gdzie wystawcy zbudowali pawilony na sztucznej

„Wyspie Marzeń”. Swoje osiągnięcia pokazuje aż 158 krajów, a organizatorzy mają nadzieję przyciągnąć 28 mln turystów.

Jak zawsze przy takich okazjach materiały prasowe przesyczone są pompacyjnymi stwierdzeniami i hasłami, które mogą zawierać wszystko, choć często nie niosą nic, a przynajmniej nie są zrozumiałe dla osób spoza konkretnych branż. Tak samo jest w przypadku EXPO 2025, które odbywa się pod hasłem „Projektowanie przyszłych społeczeństw dla naszego życia”, rozbitym na trzy elementy: „ratowanie”, „wzmacnianie” i „łączenie” ludzkich istnień. W pierwszym filarze wystawy prezentowane są więc rozwiązania

z zakresu ratowania życia, innowacji w medycynie i tzw. długiego życia, co jest odpowiedzią na starzenie się społeczeństw, a w Japonii to problem widoczny bardziej niż gdziekolwiek indziej. Drugi filar to „ludzki potencjał” – i tu naprawdę można pokazać wszystko, choć, jak wynikało z prasowych przecieków, większość państw skupia się na rozwiązaniach technologicznych oraz zrównoważonym rozwoju architektonicznym i infrastrukturalnym. Wreszcie ostatnim elementem konstrukcji ideowej EXPO 2025 jest budowanie „kulturowych i technologicznych mostów” między ludźmi. I w tym przypadku nikt nie ma wątpliwości – to przestrzeń do popisywania się sztuczną inteligencją.

Jak zawsze na EXPO i tutaj przewidziano dużo rzeczy wyjątkowych i symbolicznych. W centrum terenów wystawowych stanął Wielki Okrąg, wysoka na 20 m drewniana konstrukcja zbudowana na planie

zastosowano ją w centrum EXPO. I może to nie przypadek, bo w pewnym sensie ta wystawa jest też miejscem kultu, który jednak przechodzi przez fazę krytyczną, o ile w ogóle jeszcze istnieje.

Komu to służy?

O tym, co kto na EXPO chce pokazać, pisać można długo. Struktura przypominająca gigantyczne słońce, mająca symbolizować nowy początek, to atrakcja pawilonu holenderskiego. Wspomniany Wielki Okrąg to z kolei metafora odporności Japończyków na przeciwności losu. Niemcy, Francuzi, ale też Katarczyści stawiają na energię odnawialną i architekturę pasywną, co ma być odpowiedzią na kryzys klimatyczny. Zapowiadano humanoidalne roboty, w tym jednego aż 18-metrowego, zdolnego do klękania. Pawilon Filipińczyków ma się zachowywać jak żywy organizm, a gospodarze

rządy, były motorem zmiany życia na lepsze, a przynajmniej sprawowały nad tym procesem względną kontrolę. Poza tym EXPO to projekt na czasy stabilności i pokoju. A dzisiejszy świat ani jednego, ani drugiego nie ma pod dostatkiem.

Pytanie, komu będzie służyć EXPO w Osace, jest jak zasadne. I nie chodzi tu o rytualne narzekanie na kosztowną imprezę na drugim końcu świata, która przez lewicę (a pewnie i przez prawicę, zwłaszcza skrajną) zostanie uznana za zabawkę zglobalizowanej elity. Sednem tego zagadnienia jest raczej pytanie o przyszłość globalizacji, współpracy międzynarodowej i systemu światowego, w którym państwa nie są do siebie wrogo nastawione.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że sam koncept EXPO nie pasuje już do rzeczywistości. Nie ma bowiem co się spodziewać, że pokazywane tam rozwiązania trwale zmienią życie współczesnych i przyszłych społeczeństw. Kontenerowiec na energię wiatrową to potrzebny wynalazek, ale od pokazania prototypu do wprowadzenia go do użytku na masową skalę, tak aby handel morski stał się mniej trujący dla środowiska, droga daleka.

Jednocześnie nikt nie odważy się polemizować ze stwierdzeniem, że najważniejszą technologią dzisiejszego świata i najbliższej przyszłości jest sztuczna inteligencja – z perspektywą dojścia do AGI, całościowej sztucznej inteligencji, mającej zdolność realizowania wszystkich ludzkich zadań kognitywnych lepiej, niż robimy to sami. Według badaczy i ekspertów technologicznych jej pojawienie się to kwestia kilku lat. Może dwóch, może pięciu, ale raczej nie więcej. Po upowszechnieniu się AGI świat – ten społeczny, zawodowy, gospodarczy – nie będzie już taki sam. W najlepszym scenariuszu zostaniemy uwolnieni od nudnych, powtarzalnych zadań, ale w najgorszym AGI po prostu nas zastąpi na rynku pracy. Setki milionów ludzi znajdą się na trwałe na bezrobociu, stracą siłę nabywczą, co może nawet doprowadzić do końca kapitalizmu jako doktryny ▶

Terenem wystawienniczym w Osace jest sztuczna „Wyspa Marzeń”, a swoimi osiągnięciami chce się pochwalić aż 158 krajów.

koła o średnicy 600 m. Brzmi imponująco i takie jest, co zresztą unieśmiertelniła komisja Rekordów Guinnessa, uznając projekt za największą tego typu instalację na świecie. Ciekawsze jest jednak to, że drewno, z którego została wykonana, pochodzi z Fukushima.

W 2011 r. doszło tam do największej katastrofy nuklearnej XXI w. – w wyniku trzęsienia ziemi na wyspie Honsiu uległa uszkodzeniu elektrownia jądrowa. Drewno zostało odzyskane, oczyszczone, zbądane pod względem szkodliwości i wpływu na zwiedzających oraz środowisko i przetransportowane do Osaki. Do tej opowieści trzeba dodać tradycyjną japońską technikę Edo Sashimono – sposób łączenia drewnianych elementów bez użycia gwoździ lub innego rodzaju spoiwa. Jak zauważa azjatycka odsłona portalu Tatler, ta technika używana była do tej pory tylko do budowania świątyń i miejsc kultu. Tym razem

mówili jeszcze o prototypie kontenerowca napędzanego energią wiatrową, który produkuje wodór. Brzmi fascynująco, ale nie można w kontekście EXPO nie zadać prozaicznego pytania: po co to wszystko?

EXPO ma bogatą tradycję bycia platformą dla innowacji, choć w minionych dziesięcioleciach znaczenie tego słowa było odmienne od dzisiejszego. Słusznie w dawnych czasach uznawano wystawę za pokaz ludzkiej ambicji i dowód na niemal nieograniczone zdolności człowieka. Dziedzictwem tych imprez jest przecież wieża Eiffla, pozostała po paryskiej odsłonie z 1889 r. Z bar dziej współczesnych edycji do historii przeszło EXPO w Szanghaju w 2010 r., które odwiedziło rekordowe 73 mln turystów.

Nie ma co udawać, że wystawy nie dały światu wiele – bo dały. Co raz bardziej jednak wydają się reliktem czasów minionych, w których to państwa, a więc sektor publiczny,

► ekonomicznej. Do tego dochodzi mnóstwo problemów związanych z bezpieczeństwem: tradycyjnym, ale też informacyjnym, a także prawami autorskimi, przyszością sztuki, centralizacją kapitału i kontrolą nad debatą publiczną w rękach już nawet nie pojedynczych firm, ale pojedynczych biznesmenów. Nic nie będzie miało większego niż AGI wpływu na to, jak będziemy na tej planecie żyć w najbliższych latach – z całym szacunkiem dla kontenerowca produkującego wodór.

Nawet gdyby w Osace pojawili się najwięksi gracze w tym sektorze, trudno się spodziewać, by pokazali swoje najnowsze zabawki. Niby dlaczego mieliby to robić? Jeszcze

trudno oprzeć się wrażeniu, że to nie sektor publiczny panuje nad prywatnym, tylko odwrotnie.

Rząd Stanów Zjednoczonych w ciągu kilku tygodni stał się technologiczną oligarchią kierowaną przez miliarderów, którzy na każdym kroku wchodzi w gigantyczny konflikt interesów i nic sobie z tego nie robią. Transnarodowi bogacze w stylu Elona Muska podważają zasadność takich koncepcji jak państwowość, praworządność, jurysdykcja czy granice państw narodowych. W dodatku, jak podkreśla Ezra Klein z „New York Timesa”, dzisiejsza gospodarka światowa to w coraz większym stopniu gospodarka zarządzania ludzką uwagą,

Transnarodowi bogacze w stylu Elona Muska podważają zasadność takich koncepcji jak państwowość, praworządność, jurysdykcja czy granice państw narodowych.

niedawno firmy technologiczne miały własne platformy prezentacyjne – wystarczy przypomnieć wprowadzony przez Steve’a Jobsa zwyczaj organizowania premier nowych gadżetów Apple’a na popularnych konferencjach produktowych. Teraz już nawet tego nie ma, spółki takie jak Anthropic czy OpenAI po prostu wypuszczają na rynek nowe modele generatywnej sztucznej inteligencji, które błyskawicznie zaczynają żyć własnym życiem w internecie. Czasami Sam Altman okrasza premierę jakimś wpisem w mediach społecznościowych. I tyle. A sukces i tak ma miejsce, nie potrzeba do tego drogiego i efektownego pawilonu stojącego przez pół roku na drugim końcu świata.

Co więcej, EXPO to impreza na wskroś „westfalska” – w takim znaczeniu, że podstawowymi jej podmiotami są państwa i ich stoiska. Zupełnie jak w XX-wiecznym porządku międzynarodowym, gdzie to rządy państw narodowych pozostawały rozgrywającymi światowej gry. I choć obecnie obserwujemy brutalne zawrócenie prądów zdecentralizowanej globalizacji, powrót do twardej siły, również militarnej,

a na tym polu państwa kontrolę oddały już całkowicie. Oczywiście mają jeszcze wpływ na życie obywateli, zwłaszcza na poziomie mniejszych wspólnot czy samorządu lokalnego, ale stwierdzenie, że to one napędzają zmianę i innowacje, brzmi jak nieśmieszny żart.

Globaliści w odwrocie

Wreszcie do tej analizy dopisać trzeba rozpad globalizacji, którą Donald Trump i jego poplecznicy dobiągają na naszych oczach. Epoka wolnego handlu, rosnących powiązań gospodarczych, wymiany kapitału i zasobów ludzkich bez większych barier dobiega końca, ale nowa, znacznie bardziej autokratyczna, niesie też zmianę normatywną. Na poziomie międzyludzkim opiera się ona na znacznie mniejszym zainteresowaniu światem i drugim człowiekiem.

Globaliści są w odwrocie, a to oni zawsze napędzali EXPO i podobne imprezy. W końcu jednym z podstawowych celów wystawy było stworzenie przestrzeni, w której narody mogły się uczyć od siebie nawzajem i wzajemnie inspirować. Bardziej niż

okazją do popisowywania się przed innymi, dawania upustu państwowemu ego, była dowodem na to, że skoro jedni mogą, to reszta świata też, wystarczy się przyłożyć i dowiedzieć, jak robią to inni.

Ten duch międzynarodowej współpracy, pokojowego współistnienia ustępuje dzisiaj miejsca wsobnym tendencjom politycznym, korupcji, agresji wobec tego, co nieznanne i obce. A jednocześnie żyjemy w świecie, w którym mnożą się zagrożenia egzystencjalne. Już pod koniec XX w. niemiecki socjolog Ulrich Beck pisał, że jesteśmy społeczeństwem zdominowanym przez zagrożenia: nuklearne, klimatyczne, związane ze sztuczną inteligencją. Zaradzić tym problemom nie może jeden rząd czy jedna firma, to wykracza poza kompetencje pojedynczych aktorów. Wymaga współpracy międzynarodowej, tego, co w dawnych czasach nazywano *global governance* – rządzeniem światowym. Czyli dokładnego przeciwnieństwa ideologii Elona Muska, J.D. Vance’a bądź innych liderów postliberalnej prawicy.

Każdy kryzys można jednak zamienić w szansę – i tak jest w przypadku EXPO w Osace. Świat cierpi na niedobór nowych formatów współpracy, bo stare się wyczerpały. Nie ma co się oszukiwać – powrotu do czasów szczytowej globalizacji już nie będzie, nawet po ewentualnej zmianie władzy w najważniejszych ośrodkach. Może czas pomyśleć o pawilonach firmowych zamiast narodowych? Albo tematycznych, pokazujących kooperację w zakresie walki z katastrofą klimatyczną, dezinformacją, patologiami w sieci? Może to moment, w którym warto otworzyć dyskusję o przyszłości demokracji, bo ta, którą mamy, reprezentatywna i deliberyatywna, oparta na wiecznej, choć potrzebnej dyskusji, stała się niewydajna? Jeśli nie teraz, to kiedy?

To są innowacje, których świat dzisiaj naprawdę potrzebuje. I na taką wystawę rzeczywiście warto by pojechać.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wujek Samo Cło i inne demony

Świat żyje stubiegunówką Pana Tupecika i dyktem amerykańskiej lumpenburżuazji, tymczasem ja mam ubaw, bo rudzik mi się zagnieżdżył w ogrodzie i obśpiewuje swoje terytorium. Zza żywopłotu słysząc odpowiedzi właścicieli innych oznaczonych rewirów. Rudziki to szczęście i ulga dla uszu, po tym jak spędziłem dwie wiosny z ziębami, miałem dość tego ptasiego Guantanamo, bo zięba jak zacięta płyta, tysiącokrotnie dziennie ta sama fraza, a rudzik jak rasowy jazzman, ma temat, ale nigdy go nie powtarza tak samo, nic, tylko słuchać i się zachwycać. Nie dziwi wcale, że największy ornitolog wśród kompozytorów, Olivier Messiaen, aż połowę ze swoich „Małych szkiców ptaków” na fortepian poświęcił właśnie rudzikowi. Natychmiast też musiałem przegonić z trawnika spasionego, czarnego kocura zwabionego tymi trellami – ptaszek zajęty zmaganiem wokalnymi mniej jest spostrzegawczy, kot miałby wyzerkę; pewnie i tak będzie ją miał, jeśli rudzik uwije gniazdko zbyt nisko.

Czemuż tylko ludzie są tacy durni i okrutni, że muszą zbrojnie ustanawiać swoje terytoria – nie mogliby wziąć przykładu z ptaków i toczyć wojen śpiewaczych? Chór wujów przeciw kontratenorom, kto wyciągnie wyżej, głośniej i finiezyjniej swój hymn; bombardowania oratoriami, miny chorałowe, artyleria pieśni, jakoś by się to dało przecież ogarnąć bez przelewania krwi. Po stoczonym bitwie mielibyśmy wspólne odśpiewanie finału Wagnerowskiego „Złota Renu”: nimfy optakiwałyby utratę złota i potępiały fałszywość bogów, podczas gdy wojownicy triumfalnie opiewaliby wkroczenie do Walhalli. Zamiast pośród ruchawek i rebelii żylibyśmy w nieustającym festiwalu pieśni i tańca.

Tymczasem trwa festyn niestabilności Wujka Samo Cło. On reprezentuje typ ludzi, którym uciekają pociągi, ale mój przyjaciel psychoterapeuta poradził, żeby raczej otaczać się w życiu tymi, którzy na pociąg nie zdążają. W sensie: są w stanie dostrzec, że to wina nie punktualnego pociągu, lecz niepunktualności podróźnego. Ludzie, którzy organicznie nie są zdolni przyznać się do błędu, marnują energię na racjonalizację swoich niepoczytalności. Nieszczęsny prezydent USA co drugi dzień ogłasza światu coś irracjonalnego, by nazajutrz z tego się wycofywać lub tłumaczyć. Im bardziej wojna celna wymyka mu się spod kontroli, tym bardziej przekonuje, że wszystko dzieje się dokładnie tak, jak to zaplanował.

Dopóki nie dobrałem sobie odpowiedniej chemii, sam byłem ofiarą przewlekłych wahań nastrojów, wiem zatem, jakie to męczące dla otoczenia – może w końcu ktoś ze świty Pana Tupecika wpadnie na to, by zacząć rozpuszczać mu w porannej kawie odpowiednie medykamenty. Wszak osób z postępującą demencją nie zostawia się samych w mieszkaniu z piecem gazowym, także dla dobra pozostałych mieszkańców. Na razie prezydent USA pogrywa sobie mytem i daniną, ale w końcu zauważy, że w jego owalnym pokoiku dziecięcym są ciekawsze zabawki, z walizką nuklearną na czele. Rozumiem, że ludzkość już się pogodziła ze zbiorowym samobójstwem, które popełnia, ignorując zmiany klimatyczne, ale nie wiedziałem, że chce swoją zagładę aż tak przyspieszyć. Jedynym ocaleniem dla świata jest rychły i nieunikniony impeachment, tym razem bez uniewinnienia.

Antysystemowy elektorat nie chce wodza, który przeprosza za swoje obsceniczne uwagi, lecz takiego, który nie musi się z nich tłumaczyć.

Wśród naszych kandydatów do prezydentury też nie brakuje niebezpiecznych bęcwałów, jeden lumpenburżuj nawet się był wysorował przed pomazańca kaczystów, dopóki go nie złapano za słowo „nieprzyjemność”, którym określił gwałt na kobiecie. Tyle że spadki sondażowe będą wynikały nie z faktu, że ośmielił się powiedzieć coś haniebnego, lecz z jego zakłopotania – antysystemowy elektorat nie chce wodza, który przeprosza za swoje obsceniczne uwagi, lecz takiego, który nie musi się z nich tłumaczyć. Jeśli obiecujesz wywrócić stół, musisz iść na całość, a nie uciekać przed dziennikarzami, którzy dopytują o dawną „piątkę Mentzena”. Na razie kandydat Konfederacji skupił się na jajeczniczy i łagodzeniu wizerunku, ale kiedy na finiszu podostrzy, dwójce faworytów mogą nie wystarczyć Końskie zaloty.

Cokolwiek się wydarzy, urząd prezydencki skończy sprawować po dekadzie człowiek bez właściwości i charakteru, bogobojny harcerzyk prezesa, uosobienie krindżu, Adrian zwany Długopisem – więc nawet jeśli jego miejsce zajmie kolejne monstrum polskiej prawicy, skończy się dziesięcioletnie zażenowanie dotychczasowym błaznem. Jest zatem z czego się radować. ■

Polskie kino traci charakter

Nie wiem, czym się różnią nasze filmy od większości zagranicznych tytułów



KRZYSZTOF VARGA
– pisarz, felietonista

Rozmawia Wojciech Tutaj

Często ogląda pan klasykę filmową?

– Bardzo chętnie wracam do klasyki, którą znajduję w mało znanym serwisie streamingowym FlixClassic. Kiedy jeszcze istniała moda na DVD, sprawiałem sobie czasem kolekcjonerskie wydania filmów. Dawało mi to rodzaj fetyszystycznej przyjemności. Zaciekawienie kinem wróciło do mnie naturalnie na początku pandemii, ponieważ zostałem uzamknięty we własnym domu. Pierwsze trzy miesiące lockdownu spędziłem w euforii, byłem zachwycony perspektywą domowego festiwalu. Co znamienne, wybierałem właśnie klasykę, myśląc, że skoro świat się kończy i wszyscy umrzemy, to odświeżę sobie kino nieme. Nie mówię

o komediach Bustera Keatona, raczej o ekspresjonizmie niemieckim. Sięgałem też po filmy noir, a z zupełnie innego porządku po arcydzieła Michelangela Antonioniego. Później okazało się, że będziemy żyć dalej i trzeba wrócić do współczesności.

Pana miłość do kina przypomina miłość do literatury?

– O ile czerpię perwersyjną przyjemność z oglądania złego kina, o tyle nigdy nie cieszyła mnie lektura tandetnych lub nieudolnie napisanych książek. Praca felietonisty wymusiła na mnie jednak szukanie i czytanie kuriozów. Byłem chyba jednym z nielicznych czytelników pojawiających się regularnie wywiadów rzek z egzorcystami czy książek Sławomira Mentzena. Poluję wręcz na takie skarby. Pojawiają się oczywiście wątpliwości, gdy siedzę w mieszkaniu i widzę rzędy książek, które

Krzysztof Varga – (ur. w 1968 r.) ukończył studia na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1991-2020 związany z „Gazetą Wyborczą” jako redaktor działu kultury, recenzent i felietonista w „Dużym Formacie”. Pod koniec 2020 r. został felietonistą „Newsweeka”. Trzykrotny finalista Literackiej Nagrody Nike. Za „45 pomysłów na powieść. Strony B singli 1992-1996” otrzymał Nagrodę Fundacji Kultury. Jego powieści i zbiory opowiadań tłumaczono na osiem języków. Niedawno nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się powieść „Śmiejący się pies”.

powinienem przeczytać, a nie mam czasu, bo muszę brnąć przez złe lektury. Mówiąc obrazowo, nie będę pisał felietonów o Tomaszu Mannie.

Literatura, kino i muzyka były dla mnie fundamentalnie ważne, choć o tej trzeciej nie pisuję, słucham jej raczej prywatnie. Książki i filmy komentuję z pełną bezczelnością, bo przecież nie jestem krytykiem literackim ani filmowym. Mam wykształcenie polonistyczne ze specjalnością nauczycielską. Zawsze pozwalałem sobie na pisanie o filmach z pozycji dyletanta i czuję się z tym dobrze.

Łapie się pan na porównywaniu filmów do książkowych oryginałów?

– Podam najświeższy przykład. Kiedy usłyszałem o serialu „Sto lat samotności”, byłem przerażony, że proza Gabriela Garcíi Márqueza zostanie ubrana w formę koszarnej telenoweli. Uważam jednak, że twórcy się obronili, bo zachowali nastrój, klimat i plastyczną wizję z kolumbijskiej powieści. Jeżeli mówimy o porównywaniu, to zwrócę uwagę na inny aspekt. Często wyłapuję w filmach cytaty albo nawiązania do innych tekstów kultury. Kilka lat temu pojawił się nowy teledysk Thoma Yorke’a z zespołu Radiohead, „Anima”. Moją pierwszą reakcją było skojarzenie z „Metropolis”. Wściekłem się, że pewnie nie wszyscy o tym wiedzą, choć dzieło Fritza Langa należy do żelaznej klasyki. Lubię tropić podobne nawiązania i hołdy we współczesnym kinie. Nie porównuję jednak ekranizacji do oryginałów, bo film i literatura są osobnymi dyscyplinami sportu. Obie dziedziny stanowią część sztuki, ale w lekkoatletyce bieg przez płotki i pchnięcie kulą też znacząco się różnią. Po prostu cieszę się, jeśli dana adaptacja okazuje się sukcesem.

Wskazałby pan reżysera, który znalazł klucz do adaptacji?

– Wojciech Jerzy Has jest dla mnie modelowym adaptatorem literatury. Jego „Lalka” nie cieszy się dużą sympatią w porównaniu z serialem Ryszarda Bera, ale lubię ją, bo lubię barokowy świat polskiego reżysera, z całym przesytem i operowości. Nie cenię zaś ostatnich dzieł mistrza, na czele z „Niezwyczajną podróżą Baltazara Kobera” – forma zdominowała tam wszystko. W złotym okresie, gdy Has kręcił „Sanatorium pod Klepsydrą” i „Rękopis znaleziony w Saragossie”, tworzył wzorcowe ekranizacje. Gdyby te filmy były

samoistnymi bytami, prawdopodobnie też bym się nimi zachwycił. Myślę, że 100-lecie urodzin Hasa, które teraz świętujemy, mogłoby być pretekstem do rozpropagowania jego filmów i przypomnienia ich młodszej widowni. Niedawno robiłem wywiad z Tomaszem Raczkim, bo zauważyłem, że w swoich mediach społecznościowych skomentował słaby stan polskiego kina. Powiedział znamienne rzecz, że nie dostrzega dziś wizjonerów na miarę Hasa.

Ciekawe, że wspomnieli pan akurat Hasa. Czasem mówi się, że on ekranizował nieadaptowalną literaturę.

– Musimy sobie najpierw odpowiedzieć na pytanie, czy istnieje coś takiego jak nieadaptowalna literatura. Często słyszę to hasło. Myślę, że nawet z „Ulissesa” można zrobić przyzwoity film. Większych problemów nastręczałby „Finneganów

wybaczę. Sprawdzę, co pokaże dalej. Nie jestem filmoznawcą, więc mogę sobie pozwolić na kibicowanie takiemu Robertowi Eggersowi. Wybieram swoich reżyserów, bo przez ich pryzmat najczęściej patrzę na kino. Latami szedłem za Xavierem Dolanem, chyba od premiery „Zabiłem moją matkę”. Nieważne, czy robił lepsze, czy słabsze filmy. Mam też antyidoli. Nigdy nie przepadałem za Larsem von Triererem, nadal uważam go za manipulatora i hochsztaplera, a oglądając jego filmy, czułem, że usiłuje mną sterować. Z drugiej strony byłem fanatykiem Wong Kar-waia i szczerze żałuję, że przestał kręcić. Z azjatyckiego kina nie lubiłem natomiast Kim Ki-duka, bo nie odnajduję się w dalekowschodniej filozofii. Byli też twórcy, którzy mocno odcisnęli się na jakimś etapie mojego życia. W czasie studiów widziałem „Wylizankę”,

Mój stosunek do kina jest częściowo kibicowski. Przypominam piłkarskiego fana, idę za danym reżyserem i jeśli on się potknie, to mu wybaczę.

tren”, choć wyobrażam sobie surrealistyczny, eksperymentalny obraz inspirowany dziełem Jamesa Joyce’a. Sporo zależy od finalnego efektu. „Miłość Swanna” wyszła słabo, co nie znaczy, że z Prousta nie da się ulepić dobrego kina. Wierzę, że każdy rodzaj literatury stanowi materiał na scenariusz, pozostaje tylko kwestia wierności przy adaptacji. Wajda nieustannie sięgał po jakąś prozę, z lepszym lub gorszym skutkiem. „Ziemie obiecane” chwalimy do dziś, lecz „Tatarak” według Iwaszkiewicza nie wyglądał już tak dobrze. Skoro „Rękopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego udało się zekranizować z sensem artystycznym, to znaczy, że warto próbować. Francis Ford Coppola i Martin Scorsese sfinansowali nawet rekonstrukcję filmu Hasa. Liczą się więc talent i determinacja twórców.

Podąża pan tropem konkretnych reżyserów?

– Mój stosunek do kina jest częściowo kibicowski. Przypominam piłkarskiego fana, idę za danym reżyserem i jeśli on się potknie, to mu

„Brzuch architekta” oraz „Kucharza, złodzieja, jego żonę i jej kochanka” Petera Greenawaya. Teatralność reżysera bardzo mi pasowała, ale od lat nie wracałem do tych tytułów.

Jest pan fanem „Szatańskiego tanga” Béli Tarra. Na hasło „siedmioipółgodzinny film węgierski” większość widzów zareaguje negatywnie. Co może dać doświadczenie takiego kina?

– Tyle samo czasu zajmie obejrzeć 10-odcinkowego serialu. „Szatańskie tango” jest kinem kontemplacyjnym, rodzajem transu. Jeżeli ktoś nie wejdzie w ten trans, nie obejrzy dzieła Tarra. To wydaje się oczywiste już po pierwszej scenie, w której oglądamy krowy idące przez błoto. Widz, który nie podda się rytmowi i nastrojowi obrazów, zapewne odbije się od węgierskiej opowieści. Sam fakt, że rozmawiamy o siedmioipółgodzinnym, czarno-białym filmie, nie powinien jednak nikogo zniechęcać, bo kategorie długości i koloru nie są aż tak ważne.

Krytycy często narzekają, że współczesne polskie kino jest gorsze niż ▶

► kino rumuńskie czy węgierskie. Zgodziłby się pan z taką tezą?

– Narzekanie zawsze było, jest i będzie. Nie wiem, czy ktoś analizował prasę z lat 60., ale może okazałoby się, że polska szkoła filmowa też spotykała się z krytyką. Dzisiaj kłopot tkwi w tym, że brakuje nam dzieł, które robiłyby różnicę, wyróżniałyby się oryginalnością, byłyby przejmujące mimo niedoskonałości. Cierpimy na niedobór prawdziwego kina autorskiego. Weźmy Wojtkę Smarzowskiego, którego jedni kochają, a drudzy nie wytrzymują na jego filmach. Reżyser ma jednak swój charakter pisma, który zanika w naszym kinie. Kiedy oglądam „Kuleja. Dwie strony medalu”, widzę przeciętny biopik podobny do tysiąca innych filmowych biografii. A stoi za nim Xawery Żuławski, autor „Wojny polsko-ruskiej” i „Mowy ptaków”, która stanowi ciekawą próbę rozliczenia z ojcem. Reżyser ze swoim pomysłem na kino musiał iść na jakieś ustępstwa przy „Kuleju”. Stworzył klasyczną, konserwatywną artystycznie opowieść, bez wyraźnego języka.

Robimy hagiografie o żołnierzach wykłetych czy bitwie pod Monte Cassino albo równie patetyczne kino rewizjonistyczne.

Znów powołam się na Raczkę, który twierdzi, że lata temu nazwiska Wajdy, Kieślowskiego, Kawalerowicza czy Zanussiego znaczyły tyle, co nazwiska Bergmana i Antonioniego. Kiedy Scorsese robił zestawienia arcydzieł polskiego kina, z jakiegoś powodu wskazywał tylko okres polskiej szkoły filmowej. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że ktoś przygotuje teraz podobną listę z perłami rumuńskiej kinematografii. Tymczasem polskie kino traci charakter, osobną dykcję, nieoczywistość. Nie wiem, czym się różnią nasze filmy od większości zagranicznych tytułów. Sięgając po obrazy Gábora Reisa, czuję, że on proponuje coś swojego, że opowiada o Węgrzech w kluczu osobistym. Problem z polskimi filmami może wynikać z powodów strukturalnych. **Sugeruje pan, że naszym kinem rządzi głównie brutalna logika rynku?**

– Prywatni producenci pewnie nie dadzą pieniędzy na ambitniejsze scenariusze. Z drugiej strony nie wiem, jakimi budżetami dysponuje Rumun Radu Jude, ale podejrzewam, że chodzi o przysłówiowe 10 lei. Czy polski reżyser musi więc się zgodzić na kompromisy, żeby utrzymać się w zawodzie? Może wystarczy, że zrobi tańszy projekt, choć wtedy jego film prawdopodobnie nie wejdzie na ekrany. Niedawno obejrzałem „Utratę równowagi” Korka Bojanowskiego, która powstała za niewielkie pieniądze, ale naprawdę mnie poruszyła. Parę lat temu wyświetlano też udane „Piosenki o miłości” z Tomaszem Włoskiem w roli głównej. Wyróżniłbym jeszcze „Imago” Olgi Chajdas, lecz wszystkie te tytuły po tygodniu znikają z kin. Nie wiem, czy brakuje im dobrej promocji, czy problem leży gdzieś indziej. Dlaczego Radu Jude grasuje po najważniejszych światowych festiwalach, a nasi twórcy nie? Odpowiedzią może być wyjątkowość rumuńskiego reżysera i jego filmów. Artykuły w stylu „polskie akcenty na festiwalu w Berlinie” ujawniają nasze

potworne kompleksy. Dziennikarze powinni raczej zapytać, czemu zawsze jest tam miejsce dla Judego, a nie dla polskich autorów.

Szukając rozwiązania problemu, zastanawiam się, czy dałoby się zacieśnić współpracę między filmowcami a pisarzami. Jak w czasach zespołów filmowych, które miały swoich kierowników literackich.

– Zespołami filmowymi kierowali znani reżyserzy, tacy jak Wajda czy Kawalerowicz. Wspierał ich kierownik literacki, np. Tadeusz Konwicki, który czytał scenariusze. Teksty tworzyli pisarze, m.in. Jerzy Andrzejewski. Dzisiaj na samej górze stoi producent i to jest kluczowa różnica. Nie ma już wspólnych rozmów szefa zespołu i kierownika literackiego, którzy wybierali, co chcą robić, co warto adaptować. Obecnie decyduje głos człowieka patrzącego na tabelkę w Excelu

i zastanawiającego się, czy dany projekt ma szansę powodzenia. Co znamienne, niewielu pisarzy zajmuje się teraz tworzeniem scenariuszy.

Z ekranizacjami polskiej prozy też różnie bywało. „Ciemno, prawie noc” Borysa Lankosza jest katastrofą, „Pokot” Agnieszki Holland na podstawie książki Olgi Tokarczuk również się nie udał. Nie wiem, czy w dzisiejszych realiach istnieje szansa, żeby pisarze regularnie pracowali nad scenariuszami. Zwłaszcza że to trochę inne zajęcie niż uprawianie literatury. Jakub Żulczyk jest wyjątkiem, ma wycucie i dobrze odnalazł się w świecie telewizji. Może jego styl pisania idealnie adaptuje się do serialowej formy?

Pisarze są zbyt niezależni, żeby podporządkować się producentom?

– Pisarz jest na tyle osobnym bytem, że trudno by mu było poddać się rygorowi produkcyjnemu. Nie wspominając o rozmowach z producentem, który ma niewielkie pojęcie o literaturze i chce dokonywać zmian. Potem przyszłyby kolejne osoby i nadpisywały jego scenariusz, tworząc jakiś palimpsest. Wtedy z formy wyjściowej, którą nadał pisarz – jeśli oczywiście dobrze opłacał scenariuszowy fach – wiele nie zostanie. I wcale nie wiadomo, czy pod wpływem korekt tekst stanie się lepszy. Pamiętajmy również, że w erze zespołów filmowych nie trzeba było się troszczyć o zysk. Pod tym kątem twórcy mieli większą wolność.

Dochodziło do niewyobrażalnych dziś sytuacji, że realizując „Faraona”, Kawalerowicz mógł przebrać dywizję Armii Radzieckiej za oddział egipskich wojowników. A Jerzy Hoffman zrobił z części bułgarskiego wojska tureckich janczarów na potrzeby „Pana Wołodyjowskiego”. Wówczas kino było z jednej strony artystyczne, a z drugiej narodowe. „Krzyżacy” Aleksandra Forda stali się sprawą polityczną, lecz według mnie bronią się w porównaniu z hollywoodzkimi widowiskami z przełomu lat 50. i 60. Ostatnio usiłowałem sobie odświeżyć „Upadek Cesarstwa Rzymskiego” i nie dotrwałem do końca.

Teraz walka o swoją wizję wymaga sporej determinacji.

– Jeśli ktoś chce robić kino autorskie, musi być niezłomny jak

Smarzowski lub Vega. Nie da się porównać tych twórców artystycznie, bo dzieli ich jakościowa przepaść na korzyść Smarzowskiego, ale obaj robią, co chcą. Smarzowski będzie chodził i kombinował, by zdobyć pieniądze poza państwowym systemem finansowania. Z kolei fenomen Vegi polegał na tym, że wstrzelił się w odpowiedni moment, odpowiedział na zapotrzebowanie społeczne. „Putin”

się tu czego wstydzić. Kino środka może wzbudzić takie reakcje, bo z jednej strony bywa świetnie zrealizowane, a z drugiej działa na prawdziwe emocje. Jeśli oczywiście nie jest tandetne, kiczowate i nie schlebia nam. Ale ma pan rację, że jesteśmy w pewnym sensie rozpięci między śmiertelną powagą a śmiertelną powagą. Robimy hagiografie o żołnierzach wyklętych czy bitwie pod Monte

ogłądamy sekwencję tłumienia powstania na Santo Domingo przez polskie oddziały. W oczach niektórych to było bluźnierstwo. Miałem nawet szalony pomysł, żeby ktoś ponownie zmontował i skrócić „Popioły”. Tak uczyniono z „Potopem”, tworząc wersję „Potop Redivivus”, która bije na głowę większość zachodnich produkcji historycznych.

Podsumowując...

– ...dziś w polskim kinie kręci się zbyt poważne, strachliwe artystycznie filmy. Działa tu karząca ręka rynku, lęk przed brakiem zysków i w efekcie zachowawcza postawa. Wiem, że żywot reżysera jest trudny, bo dużo zależy w nim od pieniędzy. Pieniądzy będzie coraz mniej, bo polskie kino coraz gorzej się ogląda. Są oczywiście środki z PISF, ale tam chyba znowu wjechało ręczne sterowanie. Trudno będzie znaleźć producentów i współczuję w tej sytuacji filmowcom. Z drugiej strony trzeba skończyć z narzekaniem na małą liczbę dni zdjęciowych, złą pogodę, brak lokacji itp. Jeśli wchodzisz na grunt sztuki, weź te problemy na klatę. Nie chcę wracać do Judego, spójrzmy więc, jakie filmy triumfowały niedawno na Oscarach. Z perspektywy Hollywood nagrodzono produkcje ze skromnymi budżetami.

Wojciech Tutaj

W polskim kinie kręci się zbyt poważne, strachliwe artystycznie filmy. Działa tu lęk przed brakiem zysków.

to straszny, bełkotliwy film, a „Nie-widzialna wojna” jest kuriozum, lecz kolejne części „Pitbulla” czy „Botoks” trafiały w pewien nastrój społeczny. Jego filmy mogą zyskać kiedyś status kultowych, jak twórczość Marka Piestraka.

Są więc dwie opcje: albo podajesz się dyktaturze rynku i kręcisz niejako na zlecenie, bo musisz przetrwać, albo robisz kino totalnie niezależne, za symboliczne pieniądze i ze świadomością, że nigdzie się nie przebije. Pokażesz je co najwyżej w małej sali w Iluzjonie i szybko zniknie z repertuaru. W streamingu też najpewniej przepadnie, bo oferta filmowa jest ogromna. To najczarniejszy scenariusz, każdy reżyser chce przecież dotrzeć do publiczności.

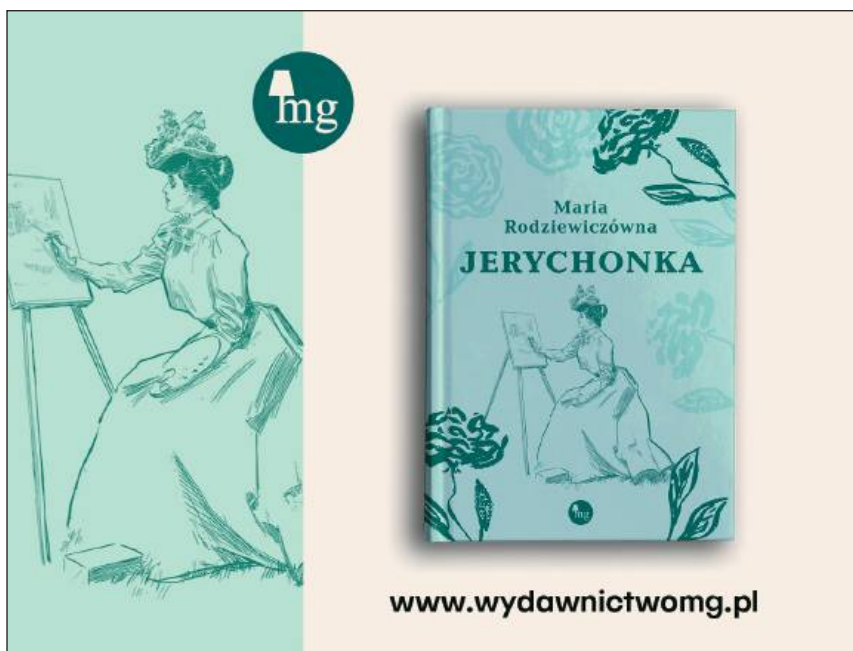
Może brakuje nam balansu, tak jak na scenie politycznej? Ciągłe wahamy się między skrajnościami – od patriotycznych laurek do brutalnych rewizji historii. Od „Czerwonych maków” do „Kosa”.

– Sugeruje pan, że brakuje nam porządnego kina mainstreamowego? W ostatecznym rozrachunku prawie wszystko sprowadza się do tego, czy powstają filmy, na które chcemy iść. W Iluzjonie odbywał się przegląd tytułów nominowanych do Orłów. Proszę sobie wyobrazić, że sala była zapełniona do ostatniego miejsca, choć część filmów pokazywano już w kinach albo można je znaleźć w streamingu. Ludzie potrzebowali uczestnictwa w festiwalu, wydaje mi się, że istotną rolę odgrywa też kwestia autentycznego przeżycia. Ktoś chce, żeby dany film go poruszył, i nie ma

Cassino albo równie patetyczne kino rewizjonistyczne. Kręcimy poważne kino rozrywkowe bądź poważne filmy niezależne. Balansujemy między skrajnościami, a najczęściej i tak oglądamy potwornie sztywne historie.

Nie zawsze tak było.

– Kiedy cofniemy się o kilka dekad, zobaczymy, że Andrzej Munk dokonywał rewizji polskiej historii z dużą bezczelnością. Choć krytykował głównie czasy sanacji, na co w PRL było pełne przyzwolenie. Zaskakujące, że ówczesne kino okazywało się bardziej swobodne i niezależne myślowo. Wspomnijmy „Popioły” Andrzeja Wajdy na podstawie Żeromskiego, w których



www.wydawnictwomg.pl



2025 – ROK OLGI BOZNAŃSKIEJ

Olga Boznańska nad dachami Paryża

Mimo zaszczytów gwiazda malarki najjaśniej błyszczała w jej własnych czterech kątach

Olga Boznańska,
1930 r.

Marta Motyl

Pokazanie w 1896 r. obrazów na Salon de la Société Nationale des Beaux-Arts na Polu Marsowym było dla sztuki Boznańskiej jak otwarcie drzwi do nowego kraju, do tego – jak podkreślała – bez protekcji. A kiedy drzwi do Francji się otworzyły, należało z tego skorzystać. Jednak papa Boznański kręcił nosem także na Paryż. Skarzył się młodszej córce na upór i niezdrowy tryb życia starszej („nie chce jeść, wygląda jak trup”), na wydawanie przez nią pieniędzy, jakby jutro nie było, a także wzywał Izabelę jako posiłki – żeby zamieszkała z siostrą i to wszystko ukróciła. Tyle że Izabeli ani się śniło przebywać pod jednym dachem z Olgą. (...) Swoją drogą, papie Boznańskiemu wspieranie obu córek przychodziło z coraz większym trudem, chociażby z racji starzenia się, chorób i coraz mniejszych zarobków. Do tego wynajmowana lokatorom kamienica przy Wolskiej 21 pochłaniała więcej pieniędzy, niż ich przysparzała. Lecz mimo narastających problemów ojciec pragnął, żeby Olga mogła malować, dopóki tylko zdrowie i wiek mu pozwolą.

Boznańska malowała zatem w Paryżu i malowała Paryż – nie

z perspektywy zabiej, jak Monachium, ale z perspektywy ptasiej. Portretowała Miasto Światel z bezpiecznego oddalenia i z bezpiecznego miejsca, czyli ze swojego gniazda w pracowni. Dzięki temu to ona dominowała nad Paryżem, a nie Paryż nad nią. „Takie obszerne place, tyle horyzontu, a wszystkie malownicze i wyglądające jak obraz wspaniały”, zachwycała się, uważając tamtejsze

rozbitki przed oczami. Kojarzą się z dokonaniem impresjonistów, którzy za jednego z bohaterów obrazów obrali współczesny sobie Paryż, mimo że Boznańska się od nich odżegnywała. Z kolei płaskość i widok z lotu ptaka odsyłają nas do sztuki japońskiej. Bowiem w Paryżu szał na japońszczyznę zdawał się nie mieć końca. A z których okien patrzyła na Paryż japonizująca Polka?

W 1898 r. wynajęła mieszkanie przy rue Campagne-Première 17 i pracownię przy rue de Vaugirard 114, a w 1907 r. przeniosiła się na

Boznańska do jednego portretu potrzebowała 40 (!) posiedzeń modela. Malowała powoli, a nawet bardzo powoli.

widoki za gotową kompozycję, tylko łapać za pędzel.

Niemniej maluje ją we własnym stylu, prowadząc ten pędzel z energią – a to zamazywanie, a to uderzanie o podłoże z szybkością właściwą pracy nad szkicem, co widać choćby na przykładzie „Placu de Thernes w Paryżu” (1903). W efekcie powstaje płaska kompozycja utrzymana w szarosrebrzystej zimnej kolorystyce, spod której przebija jednak ciepły odcień tektury, ożywiany a to plamą czerwieni, a to plamą zieleni. Boznańska nie (d)opowiada widoku od A do Z, zaledwie go sugeruje. Paryskie pejzaże aż migoczą, jakby zatrzymana w nich chwila nie przedstawiała

Boulevard Montparnasse 49, do pracowni połączonej z mieszkaniem, którą zajmowała do końca życia.

Na początku XX w. Montparnasse było paryskim przedmieściem zamieszkiwanym przez obcokrajowców, w tym przez Polaków. Miało charakter dzielnicy ni to półmiejskiej, ni to półwiejskiej – zresztą lubowało się w kontrastach. Z kościołami sąsiadowały tu przybytki rozkoszy i teatry rewii. W jednej z tutejszych tancbud, Grande Chaumiere, narodził się kankan. Nic dziwnego, że spacerując po Montparnassie, można było napotkać i rolnika, i fakira, i księdza, i tancerkę, i malarza. Barwności przydawało mu wiele prywatnych

szkół malarskich i jeszcze więcej pracowni. Różne kreatywne indywidualności bądź indywidua sprowadzały się tutaj od końca XIX w. Do montparnasskich lokatorów należeli: Arthur Rimbaud, Guillaume Apollinaire, Henri Rousseau, Pablo Picasso, Amedeo Modigliani, a z polskich artystów: Stanisław Wyspiański, Józef Mehoffer czy Tadeusz Makowski. Montparnasse upodobały sobie także polskie artystki, chociażby Anna Bilińska-Bohdanowiczowa, Mela Muter czy Tamara Łempicka. Według badań Ewy Bobrowskiej w latach 1890-1918 Paryż zaliczyło ponad 160 naszych malarek!

W międzywojniu Montparnasse awansował do stopnia jednej z najmodniejszych paryskich lokalizacji. Jednak Boznańska nie należała ani do bywalczyń artystycznych salonów (typu u Gertrude Stein), ani kawiarni. Obowiązki towarzyskie wypełniała razem z malarskimi, czyli przebywając dniami i nocami w swojej pracowni. Najbardziej lubiła światło popołudniowe, więc wtedy najchętniej malowała. Żeby to światło uregulować, ze spłowiałych i pożółkłych tkanin udrapowała przy oknach baldachim. Czasami dodatkowo rozstawiała wokół siebie parawan. Dzięki temu światło miała przyciemnione, a zarazem wolne od gęstych cieni. (...)

Każdy portret malarka zaczynała od oczu, a raczej „od tego w oczach, co stanowi ich wyraz”, jak podkreślała. Nie musiał to być wyraz teraźniejszy, mógł być późniejszy, przyszły albo ukryty, który nigdy się nie ukáže. Krótko mówiąc, musiała to być dusza. Chociaż łatwo nawiązywała z portretowanym bliski kontakt duchowy, Boznańska do jednego portretu potrzebowała 40 (!) posiedzeń modela. Malowała powoli, a nawet bardzo powoli, co z poczuciem humoru skomentowała Zofia Stryjeńska: „Model się zestarzał, wytęsił, ożenił, okocił, schudł, ona jeszcze odnajdywała nowe finezje kolorystyczne, musiał pozować, chciał, czy nie chciał, chyba że umarł”. Mało tego, bywało, że Boznańska malowała



„Kobieta z japońską parasolką”, 1892 r., olej na płótnie, Muzeum Narodowe we Wrocławiu.



„Portret dwóch młodych dam”, ok. 1904 r., olej na tekturze, Muzeum Narodowe w Krakowie.

tego samego modela i jeszcze jeden, i jeszcze raz, w przekonaniu, że za pierwszym razem nie uchwyciła jego charakteru. (...)

Wierna autentyzmowi artystka chętnie przytaczała anegdotę o ustach, które portretowana wykrzywiła w trakcie pozowania, żeby

wydawały się mniejsze. Portrecista skomentował wtedy, żeby dłużej się nie męczyła. Znaczy: dłużej mu nie pozowała. Ciekawe, czy Boznańska nie wyraziła – nomen omen – ustami tego malarza własnego poglądu, że niewiele kobiet potrafi docenić zaletę portretu, jaką jest prawda. Malarka, postawiwszy na naturalność wyglądu kobiecego (i męskiego) wyprzedziła zatem swoje (i nie tylko swoje) czasy.

Wychodziła z założenia, że „ładność” nie daje wiele więcej od złudzenia. Walczyła więc z ową „ładnością” do upadłego, aż niektórzy portretowani, i portretowane, czuli się przez nią karykaturowani. Nie bez przyczyny Marcin Samlicki, malarz, komentując „Portret kobiety w gro-nostajach” (obecnie znany wyłącznie z fotografii), twarz określił jako brzydką i nalaną, oczy wytłupiałe, ręce grube, a całość podsumował jako przedstawienie kuzynki Karła albo błazna Velázqueza. Boznańska wytłumaczyła mu, że ukazana kobieta, owszem, jest brzydka, ale według osobowości banalnych, niewyrafinowanych. Dlatego że to charakter równa się pięknu. (...)

Boznańska, tak dzieciom, jak dorosłym, zrywała maski, żeby oddawać na twarzach życie wewnętrzne w całej jego surowej prawdzie – bądź własne jego domniemanie. Wiesław Juszcak, historyk sztuki, uznał, że wyraz tych portretów jest skoncentrowany i spotęgowany przez emocje samej artystki.

Weźmy taki „Portret dwóch młodych dam” (inny tytuł: „Dwie siostry”, ok. 1904). Portretowane siedzą w ciasnym, a nawet w bardzo ciasnym objęciu; do tego dłoń przygarniająca ciało do ciała przypomina szpon. Wydaje się, że każda z nich jest skazana na towarzyszkę. Podobnie dzieje się na innych portretach podwójnych pędzla Boznańskiej. Twarze, fryzury i koafiury tych kobiet to zestaw smug. Cóż, oddawanie z pietetym każdego diamentu na kolii i kwiatu na kapeluszu nie było w stylu artystki, choćby należało do zabiegów lukratywnie wynagradzanych przez klientelę. Kolejne smugi farby tańczą wokół modelek, jednocząc się we wspólnym kręgu. Czyżby dodatkowo ▶

► miały uzmystawiać, że dwie damy / dwie siostry znajdują się w jednym wirze zdarzeń, jednym wirze losu... Niczym siostry Boznańskie? Jednak (para)siostrzana bliskość portretowanych nie wnosi nic pozytywnego. Przecież w przenikliwym spojrzeniu i zaciśniętych wargach damy w kapeluszu maluje się smutek wymieszany z groźbą. A druga dama wykrzywia usta ni to w uśmiechu, ni to w grymasie, jakby próbowała robić dobrą minę do złej gry.

Mimo że w obrazach Boznańskiej nie uświadczymy ani wyrazistego konturu, ani jaskrawego koloru – jak w malarstwie patrona ekspresjonistów Muncha – mamy w nich do czynienia ze swego rodzaju ekspresjonizmem. A dokładniej z ekspresyjnym portretem modernistycznym. Do takiej przegródki wkładane jest

w Boznańskiej oryginalną i godną docenienia malarzkę, która wypracowała własną koncepcję portretu-zwierzenia, a nawet portretu-spowiedzi, do tego postawiwszy na własny warsztat. Krytycy zauważali, że artystka potrafi wartość nieziemską i niematerialną, czyli stan duszy, przetworzyć na ziemską prawdę, czyli na materię farby. Farby, którą maluje mrużące się oczy, cień uśmiechu na ustach czy pomarszczoną skórę dłoni.

Wiedź o artystce niosła się coraz szerzej dzięki prasie i pocztom pantoflowej. Do jej pracowni ściągali i Francuzi, i Polacy, i Amerykanie (u Boznańskiej uczyło się nawet kilka amerykańskich malarzek). I arystokraci, i mieszczenie, i artyści. Nie licząc polskiej śmietanki artystycznej – a bywali u malarzki w różnych okresach: Artur Rubinstein, Władysław

sukces odniósł podwójny, o ile nie potrójny. Jeżeli chodzi o zagraniczne instytucje artystyczne, należała jeszcze chociażby do International Society of Sculptors, Painters and Gravers w Londynie.

Mimo tych zaszczytów gwiazda malarki najjaśniej błyszczała w jej własnych czterech kątach. W jej pracowni. Kiedy Boznańska pracowała przy sztalugach, wokół niej toczyły się rozmowy w kilku językach i na każdy temat. (...) Czasem wtrąciła zdanie lub kilka zdań; po pracowni niosła się wówczas niska i łagodna melodia jej głosu. Adam Gerzabek, malarz, wspomina, że kiedy powiedział Boznańskiej o podziwieniu dla jej zdolności do jednocześnie prowadzenia rozmowy, do tego w kilku językach, i malowania, westchnęła, że jest to wpisane w zawód portrecisty, niełatwy, i trzeba się tego nauczyć... (...)

Podczas gdy nasza malarka niemal nie wychylała nosa poza pracownię, powstałe tu obrazy jeździły po wystawach w całej Europie. Na trasie ich tournée znalazło się, oczywiście, Monachium (złoty medal dla artystki w 1905 r.), Londyn (złoty medal w 1900 r.), Wenecja, Wiedeń, Budapeszt, Berlin, Düsseldorf, Amsterdam, Antwerpia czy Barcelona. Z polskich miast zaliczyły Kraków, Warszawę, Poznań czy Lwów. Ponadto wybrały się w podróż do Nowego Świata.

Odkąd w 1905 r. zostały przyjęte na Wystawę Międzynarodową w Carnegie Institute w Pittsburghu (Malarstwo kobiety! Polki! Bez protekcji!), Boznańska została jej niemal stałą uczestniczką. W 1907 r. otrzymała w Pittsburghu srebrny medal, a w roku 1912 dumnie reprezentowała tam Francję, ramię w ramię z Claude'em Monetem i Auguste'em Renoirem. Tym samym Boznańska stała się artystką prawdziwie międzynarodową, ponieważ o wystawach w Pittsburghu mówiło się i pisało w całym cywilizowanym świecie.

Boznańska, tak dzieciom, jak dorosłym, zrywała maski, żeby oddawać na twarzach życie wewnętrzne w całej jego surowej prawdzie.

choćby malarstwo Konrada Krzyżanowskiego czy Wojciecha Weissa. Wiesław Juszcak włączył portrety Boznańskiej również do pojęcia intensywności, które zaczerpnął od Cezarego Jellenty, pisarza i krytyka literackiego i artystycznego. (...)

W takim stylu Boznańska tworzyła wizerunek za wizerunkiem, prowadząc swego rodzaju firmę portretową – i to przed Stanisławem Witkiewiczem (synem). Dzięki wypracowaniu estetyki niepowtarzalnej niczym charakter pisma, uznano, że wszystkie portrety, które wykonała, pochodzą z jednej rodziny. A w spojrzeniu członków tejże rodziny maluje się udręka. Ten „rodzinny” pesymizm przypisywano za granicą słowiastemu pochodzeniu artystki. Ale w beczce miodu znajdziemy także tyżek dziecięcy. Magazyn „Bulletin Polonais” (z 15 maja 1903) krytykował monotonię twarzy w malarstwie Boznańskiej, jako szarych i ziemistych nawet u najpowabniejszych piękności.

Jednak tego rodzaju opinie tońnięty w zalewie tych pozytywnych. Przede wszystkim dostrzegano

Ślewiński, Mela Muter, Bolesław Biegas, Zofia i Karol Stryjeńscy, Leopold Gottlieb, Wojciech Kossak, Ludwik Puget – pracownia gościła także paryską śmietankę artystyczną. Boznańską odwiedzali chociażby Émile Verhaeren i Rémy de Gourmont, poeci, Gabriela Reval, pisarka, wraz z malarzami i muzykami ze swojego kółka, czy Louis Vauxcelles, krytyk, który kubizm nazwał kubizmem.

Rzekoma mniszka rozsnuła po całym Paryżu taką sieć kontaktów, że dzisiaj trudno ją odtworzyć. Razem z malarką oczka pajęczyny rozciągali także wpływowi znajomi Olgi. Nic dziwnego, że na wernisaże Boznańskiej ściągali paryscy socjety. Artystka, poza pokazywaniem obrazów w paryskich galeriach, przez długi czas rokrocznie pokazywała je na Salon de la Société Nationale des Beaux Arts. Swoją drogą, jako jedyna kobieta w 1904 r. zasiadła szeregi członków Société Nationale des Beaux Arts. Cudzoziemka pochodząca z kraju, który nie widniał wtedy na mapach! Zatem



Fragmenty książki Marty Motyl *Boznańska. Nie tylko „Dziewczynka”*, Lira Warszawa 2025

KURTYNA W GÓRĘ

Nieudana lekcja

Stary nauczyciel (Adam Ferency) zaprasza do siebie czwórkę byłych uczniów, teraz 26-letnich. Artystka Maja (Maria Witkowska) mieszka w kosmopolitycznym Berlinie, pozostaje w stałym lesbijskim związku. W klasie była ignorowana, nawet wyśmiewana. Teraz wyróżnia się potrzebami nadopiekuńczymi. Sylwia (Natalia Stachyra) robi karierę jako menedżer (nie menedżerka, bo odżegnuje się od feminizmu), praca jest u niej na pierwszym miejscu, unika niepotrzebnych związków, choć w klasie stanowili parę z Kamilem (Paweł Gąsztold-Wierzbicki). Kamil jednak, wzorowany na Witkacowskich improduktach, rzucił ją i wybrał drągi, a po nieudanej próbie samobójczej odnalazł swoją ścieżkę w seminarium duchownym. Konrad (Jakub Pruski) z kolei pracuje na budowie i ma za złe państwu, że bardziej opiekuje się obcymi niż swoimi. Nosi w sobie wściekłość, łagodzoną ojcostwem – w nim się odnajduje.

Jak widać, na scenę zawitała reprezentacja rozmaitych postaw, wyborów i karier. Młodych bohaterów niby wszystko



Maria Gustowska,
„Ostatnia lekcja”,
reżyseria Grzegorz
Damiński, Teatr
Ateneum, premiera
5 kwietnia 2025



się rozczarowaniem. Najwyraźniej chciał nas artysta zadziwić, bo na ten spektakl widzowie wchodzili na salę od strony używanej od lat jako horyzont sceniczny, a dla odmiany wychodzili drugim wyjściem, którym zwykle się wchodzi (i wychodzi).

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Michał Bigoraj
Porozmawiajmy o muzyce
Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2025

Zbiór wywiadów z artystami jest ciekawy z powodu różnorodności. Na pytania Michała Bigoraja odpowiada ją muzycy bardzo znani, jak Krzysztof Cugowski czy Muniek Staszczuk, ale też inne osoby działające w branży lub na jej marginesach, jak Robert Górski czy Krzysztof Skiba. Mamy tu przegląd muzycznych stylów, od czystej klasyki (Cappella Gedanensis), poprzez gatunki przejściowe, do jazzu (Leszek Możdżer) i rocka, odzywają się autorzy tekstów piosenek (Marek Dutkiewicz), ale i muzykolodzy zajmujący się edukacją oraz muzykoterapią. Są kompozytorzy, dyrygenci, menedżerowie, a zamyka książkę dyrektor Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca. Dla chętnych zamieszczono kody QR, aby posłuchać i obejrzeć wywiady wideo.

Bronisław Tumilowicz

ZASŁUCHAJ SIĘ

Alex Donsky
Errata do świata
Soliton

Na debiutanckim krążku są satyryczne piosenki, nierzadko zapożyczone z klasyki, ale opracowane w stylu disco. Wykonawca nie jest jednak „zwykłym” kabareciarzem, raczej performerem, którego zaproszono m.in. na otwarcie Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Tutaj na melodię „Ten zegar stary” Moniuszki szydzi z napalonego sprejowca szpecącego mur starego zamczyska, a arię z opery „Carmen” naśmiewa się z przerosu ego lwicy salonowej. Jest także fragment z Mozarta, gdyby komuś zachciało się udawać arystokratę.

Bronisław Tumilowicz



W ODCINKACH



Rozdzielenie,

reż. Ben Stiller i in., prod. USA, Apple TV+

Serial – wymyślony przez Dana Ericksona – opowiada o tajemniczej firmie Lumon, zatrudniającej pracowników, którzy przechodzą proces tytułowego rozdzielenia. W efekcie ich wspomnienia związane z życiem prywatnym i zawodowym zostają oddzielone. Nagle z jednej osoby mamy dwie – ta nowa uaktywnia się tylko wtedy, gdy wchodzi do windy w nowym miejscu pracy. Mark (Adam Scott) przekonuje się jednak, że ta koncepcja brzmi dobrze wyłącznie na papierze. Okazuje się, że Lumon skrywa przerażające sekrety. W serialu minimalizm i realizacyjna prostota miesza się z troską o szczegóły. Produkcja łączy elementy psychologiczne z science fiction i być może nie będzie dla każdego. Tak czy owak, warto się zmierzyć z tym tytułem, bo to wciąż doświadczenie, nawet jeśli w drugim sezonie twórcy mają zadyszkę i na siłę przedłużają wątki.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz



TORPEDY I FINEZYJKI

O arcydzielnym rzucie wolnym

Wojciech Kuczek

Declan Rice za sprawą dwóch rzutów wolnych, perfekcyjnie wykonanych w odstępie kilkunastu minut, w ubiegły wtorek dołączył do galerii największych sław w historii piłki nożnej. To zdanie, choć apodyktyczne i naładowane faktami, jest zarazem nieznośnie jałowe, sprawozdawcze, niegodne opisywania tego, co wykonał pomocnik Arsenalu Londyn. W ćwierćfinale Ligi Mistrzów przeciw Realowi Madryt dwukrotnie nie dał szans na skuteczną interwencję broniącemu jak w transie Thibautowi Courtois, prawdopodobnie najlepszemu obecnie gólkiperowi na świecie.

Sztuka strzelania goli z bezpośrednich rzutów wolnych jest na wymiaru, algorytmy i statystyki podpowiadają trenerom, że prawdopodobieństwo zdobycia gola rośnie dzięki kombinacjom i rozegraniom,

przeto tylko największe boiskowe buhaje odganiają kolegów od piłki i wbrew zaleceniom coachów mierzą się z tym wyzwaniem. Trafienie z wolnego dowodzi technicznej doskonałości wykonawcy, zdarza się rzadko i budzi powszechny szacunek, ale trafić dwa razy z rzędu w meczu o najwyższą stawkę, w dodatku

Żeby Real padł na kolana, trzeba rzeczy wielkich, obezwładniających – i takie za sprawą angielskiego pomocnika się wydarzyły. Królewscy pod wrażeniem dubletu Rice'a pozwolili sobie jeszcze wpakować trzecią bramkę i w rewanżu będą potrzebowali obudzić moce nadprzyrodzone, aby dokonać remontady.

Declan Rice za sprawą dwóch perfekcyjnie wykonanych rzutów wolnych w ubiegły wtorek dołączył do największych sław w historii piłki nożnej.

czyściutko, bez rykoszetów, wyłącznie dzięki sile uderzenia i nadanej piłce rotacji, to wydarzenie bez precedensu w Champions League – tak się buduje własne pomniki. Niechybnie obok Thierry'ego Henry'ego, którego cieszynkę zastęgał w brzoje można obejrzeć przed stadionem Arsenalu, stanie kiedyś Declan Rice wymierzający sprawiedliwość prawą stopą.

Pierwszy wolny Rice'a był bezczelnie i zawadiacko zakreślony obok muru; taką trajektorię pamiętamy ze słynnego wolnego Roberta Carlosa z Pucharu Konfederacji w 1997 r., kiedy w meczu przeciw Francji wziął 15-metrowy rozbieg, puścił swoją torpedę z niemal 40 m zewniakiem, lewą nogą, „z fałszą”, piłka leciała z prędkością 136 km/godz. Fabien

Declan Rice (po lewej) zdobywa pierwszą bramkę dla swojej drużyny w trakcie ćwierćfinału Ligi Mistrzów rozgrywanego między Arsenalem a Realem 8 kwietnia 2025 r. na Emirates Stadium w Londynie.

Barthez zachował się wtedy, jakby piłkę zdmuchnął mu sprzed nosa wiatr! Rice'owi wystarczyło kilka kroków, by wkręcić piłkę dokładnie gdzie trzeba obok muru, który przecież nie mógł być lepiej ustawiony – żeby był wystarczająco szeroki, musiałaby w nim stanąć cała drużyna Realu, ale wtedy DC wymyśliłby pewnie coś takiego jak Juan Sebastián Verón, który do spółki z Javierem Zanettim kompletnie oszukał Anglików na mundialu w 1998 r. – zamiast strzelać, podałby obok muru do napastnika.

Kilka chwil później Rice zamknął usta wszystkim, którzy pierwszy strzał skomentowali instynktownie: „Ale mu weszło...”. Nic nie weszło, nie wchodzi samo, jak samo grzmi i samo się błyska, tu nie było najmniejszej roli przypadku – Rice wpakował piłkę w samo okienko, nadając jej podobną rotację, tyle że po przeciwnej stronie boiska zdjął pajęczynę z okna i dowiódł, że można sobie na treningach ułożyć stopę tak, że żaden mur nie pomoże. Teoretycznie najdoskonalszy wolny to taki, po którym bramkarz jest w stanie tylko odprowadzić piłkę wzrokiem, by potem wyjąć ją z siatki, ale paradoksalnie, kiedy tak się dzieje, mamy skłonność przypisywać mu winę – wszak nawet nie próbował bronić, być może się zagapił, może to raczej jego błąd niż zasługa strzelca. Lepiej więc, kiedy bramkarz robi wszystko, co może, aby dowieść, że nie mógł zrobić niczego. Tak jak Courtois – rzucił się w stronę piłki, wyciągnął ręce, ale wszystko na nic, piłka była za szybka, strzały zbyt celne – to były piękne parady bezsilności.

Od teraz wszyscy przeciwnicy Arsenalu będą wiedzieli, że sfaulować do 25. metra przed bramką to jak sfaulować w polu karnym – kiedy Rice ustawi piłkę przy stałym fragmencie, bramkarzy i obrońców zaleją fale gorąca i błąd strach na nich padnie.

Kiedy byłem małym chłopcem, wziął mnie ojciec (na mecz) i tak do mnie rzekł: „Pamiętaj, synek,

najlepiej na świecie rzuty wolne strzela taki Francuz o włoskim nazwisku. Jak Platini wykonuje wolne, to tak, jakby strzelał elwry” (tak na Śląsku z niemiecka nazywaliśmy jedenastkę). Oglądałem Euro 1984 i tak dalece dałem wiarę ojcu, że do dziś jestem przekonany o diabelskiej mocy podkręceń Platiniowego – wedle legendy, kiedy w finale z Hiszpanią uderzył z wolnego, Luis Arconada nie utrzymał piłki pod brzuchem, tak musiała być zakręcona (w rzeczywistości to tylko malownicze usprawiedliwienie koszmarnego błędu bramkarza). W kolejnej dekadzie mistrzem wolnych stał się Siniša Mihajlović –

Courtois rzucił się w stronę piłki, wyciągnął ręce, ale wszystko na nic, piłka była za szybka, strzały zbyt celne – to były piękne parady bezsilności.

niedawno zmarła legenda rzymskiego Lazio, który w 1998 r. w meczu przeciwko Sampdorii zapewnił sobie miejsce w annałach futbolu, zdobywając hat tricka z rzutów wolnych.

Największym w historii specjalistą od celnych torped zza muru okazał się jednak na początku nowego stulecia Brazylijczyk Juninho Pernambucano – zdobył 77 goli z wolnych w całej karierze, czym waleń przyczynił się do siedmiokrotnego zdobycia mistrzostwa Francji przez Olympique Lyon. Bramkarze ze strachu tracili połowę swojej wartości, kiedy podchodził do piłki. Majstrem w tym fachu był także inny brazylijski geniusz techniki boiskowej, Ronaldinho. Jedną z najśłynniejszych mundialowych bramek pozostanie jego zdumiewający centrostrzał z meczu z Anglią w 2002 r., gdy z ponad 30 m wrzucił piłkę za kołnierza Davidowi Seamanowi i zdjął pajęczynę z lewego okienka. Zapytany, czy tak mierzył, odpowiedział, że piłka mu zeszła, bo celował w prawe okno.

Ronaldinho przyczynił się też do wynalezienia tzw. krokodyłka, bo lubował się w oszukiwaniu obrońców rywala płaskim strzałem pod skaczącym murem. Pierwszym Europejczykiem, który zapobiegł takiej sztuczce, był Marcelo Brozović: jesienią 2018 r. w meczu Barcelony z Interem

Mediolan Luis Suárez strzelił z wolnego po ziemi, mur podskoczył, ale Brozović w porę położył się na murawie i zablokował uderzenie.

Dzisiaj widok obrońcy leżącego za nogami kolegów ustawionych w murze nikogo nie dziwi. Rzuty wolne bywają więc coraz częściej sztuką oszustwa – począwszy od tego najprostszego, gdy do piłki ustawia się dwóch zawodników, jeden ją przeskakuje, a drugi strzela. Niewielu bowiem pozostało strzelców wyborowych, którzy potrafią odpalić petardę lub podkręcić „finneyjkę” (tak techniczne uderzenia nazwa mój dziewięcioletni synek,

pewnie przyniósł to z orlików). W swoim bogatym repertuarze mieli to ostatnio właściwie tylko dwaj piłkarze kompletni, żywe legendy futbolu: Lionel Messi i Cristiano Ronaldo. Declan Rice właśnie poszerzył to grono. Jeśli futbol bywa poezją graną na nucie najwyższej, dwa wolne Rice'a należy traktować jak arcydzieła boiskowej liryki. ■



SEZON NA EVEREŚCIE



Często się mówi, że dwa tygodnie wspinaczki wciśnięte są w dwa miesiące pobytu

Will Cockrell

Granica między Nepalem a należącym do Chin Tybetańskim Regionem Autonomicznym przecina Mount Everest na pół. Zdecydowana większość himalaistów podchodzi na tę górę od strony Nepalu. Klienci firm przewodnickich (stanowiący większość dzisiejszych śmiałków) idą trasą prowadzącą przez Przełęcz Południową – tą samą, którą pokonali Edmund Hillary i Szerpa Tenzing Norgay w roku 1953. Zanim dotrą na szczyt sięgający 8849 m n.m.p. (autor podaje wysokość Everestu na podstawie pomiaru amerykańskiego z 1996 r.), przechodzą przez pięć dobrze zaopatrzonych obozów, począwszy od bazy głównej, leżącej na dość płaskim, spokojnym terenie na wysokości 5350 m, a skończywszy na smaganyim lodowatym wiatrem

obozie czwartym na zawrotnej wysokości 8000 m. Obóz czwarty znajduje się na Przełęczy Południowej, czyli na obniżeniu terenu między Everestem a Lhotse – czwartą najwyższą górą na świecie.

Żeby dotrzeć do bazy głównej, zarówno trekkerzy, jak i wspinacze najpierw wykupują jeden z kilkunastu codziennych lotów z Katmandu, stolicy Nepalu, na lotnisko Tenzing-Hillary w Lukli, znajdujące się na wysokości 2860 m. Następnie przez 10 dni wędrują w górę i w dół po krętych, wąskich drózkach i schodach zbudowanych ręcznie z bloków miejscowego granitu, korzystają z mostów linowych kołyszących się nad spienionymi rzekami zasilanymi wodą z lodowców, a wiosną, w szczycie sezonu wspinaczkowego, podziwiają różowe rododendrony w rozkwicie. Co wieczór docierają do kolejnych, coraz mniejszych wiosek, gdzie stoją

stare buddyjskie świątynie, i kładą się spać w przytulnych kamiennych schroniskach ogrzewanych piecykami, w których pali się tajnem jaków. Im bliżej bazy głównej, tym bardziej krajobraz w kolorach ziemi staje się monochromatyczny: czarne skały, biały śnieg, niebieskawy lód.

Lodowiec Khumbu, gdzie znajduje się baza, wygląda jak rozległy ogród skalny, ale jest to tylko powierzchnia stale przesuwającej się zamrożonej rzeki, która przedziera się przez otaczające ją skały metamorficzne i zostawia za sobą ich pokruszone odłamki. Gdy wędrowcy wchodzi na ostatnią morenę przed bazą, dostrzegają setki jaskrawych kopuł namiotów ciągnących się na długości około kilometra.

Ci, którzy w asyście przewodników podejmują próbę dotarcia na szczyt, zastają w bazie udogodnienia nietypowe dla miejsca tak

oddalonego od cywilizacji: dywany i puffy w kopułach wypoczynkowych, szybki internet, salony masażu, dobrze zaopatrzone bary, baristów, a nawet ekrany kinowe. Wszystkie te atrakcje mają wypełniać himalaistom i przewodnikom wolny czas, bo wyprawy potrafią się ciągnąć nawet przez osiem tygodni. Często się mówi, że to dwa tygodnie wspinaczki wciśnięte w dwa miesiące pobytu. Około tygodnia zajmuje podejście do obozów drugiego i trzeciego oraz na pobliskie wierzchołki, co jest potrzebne, żeby się zaaklimatyzować do nieludzkich warunków panujących na takiej wysokości. Później, gdy nadchodzi czas zdobywania szczytu – zwykle, jeśli wszystko idzie gładko, następuje to nie wcześniej niż 35. dnia ekspedycji – droga z bazy głównej na samą górę zajmuje niecały tydzień. Zejście natomiast trwa ledwie około trzech dni.

Żeby dotrzeć z bazy głównej do obozu pierwszego, trzeba pokonać najbardziej zdradliwą część lodowca, czyli tzw. lodospad Khumbu, który ciągnie się przez jakieś 2 km, przy różnicy wysokości ok. 600 m. To miejsce pełne śliskich tafli, ogromnych, chwiejnych seraków (czyli wielkich brył lodu i śniegu), a także bezdennych szczelin. Obóz pierwszy stanowi nie tyle miejsce noclegowe, ile raczej magazyn butli tlenowych i innego sprzętu, członkowie wypraw zwykle więc od razu idą dalej, do obozu drugiego. Leży on na wysokości 6400 m, w pozornie spokojnej dolinie zwanej Kotleem Zachodnim. Znajduje się tam zazwyczaj ok. 50 namiotów w miejscach osłoniętych przed wiatrem przez skalne i lodowe bloki. Wokół rozpościera się imponujący amfiteatr poszarpanych grzbietów i strzelistych wierzchołków: widać m.in. Everest, Lhotse i rzadziej odwiedzany, mniejszy – choć technicznie trudny – szczyt Nuptse. Na niestającym wietrze trzepoczą postrzępione, wypłowiałe buddyjskie flagi modlitewne, a himalaiści chronią się przed żywiołami i popijają imbirową herbatę z cytryną w ciasnych namiotach pełniących funkcję mesy i centrum dowodzenia – a w razie katastrofy również oddziałów ratunkowych.

Teren obozu drugiego należy traktować z najwyższym respektem. Standardowo smagają go wichury, a z lawin, nawet tych odległych, docierają tu tak silne podmuchy powietrza i apokaliptyczne chmury białego pyłu, że czasem aż rozrywają namioty lub zmiatają je z podłoża. Zdarza się, że jakiegoś niefrasobliwego nowicjusza spokojnie idącego po wodę na popołudniową herbatę nagle pochłania lodowa rozpadlina. Wypadkom śmiertelnym ulegają też ludzie doświadczeni. W 2001 r. uwielbiany i bardzo sprawny nepalski himalaista Babu Chiri Sherpa zginął w okolicy obozu, gdy chciał zrobić kilka zdjęć, lecz wpadł w przepastną szczelinę.

W takich warunkach, a przy tym w rozrzedzonym powietrzu, w okolicach obozu drugiego czasem trudno jest nawet odejść na kilka metrów od swojego namiotu za potrzebą, a co dopiero ratować się ucieczką w razie zagrożenia. Dlatego właśnie pewnego dnia pod koniec kwietnia 2013 r. zawodowi alpinści Ueli Steck i Simone Moro, jak również towarzyszący im filmowiec Jonathan Griffith,

gdzie zawodowi alpinści cieszą się statusem porównywalnym z pozycją zawodników NBA w Ameryce, uchodził za bohatera narodowego. 46-letni Simone Moro był natomiast Włochem, który po raz pierwszy podchodził na Everest jako 24-latek i zdążył już czterokrotnie zdobyć szczyt. Pracował też jako pilot helikoptera w górskim pogotowiu lotniczym w Himalajach. Pochodzący z Anglii 33-letni Jonathan Griffith był mniej doświadczony i miał przede wszystkim filmować pionierską wspinaczkę Stecka i Moro tak długo, jak zdoła za nimi podążać.

W roku 2013 na Evereście pozostało już niewiele tras, którymi wcześniej się nie wspinano albo które pokonywano niezmiennie rzadko. Steck i Moro postanowili podejść jedną z nich. Co więcej, nie tylko zamierzali zdobyć szczyt, przemierzając tę ekstremalnie niebezpieczną drogę, lecz także chcieli podążać dalej, w jednym 20-godzinny ciąg, żeby od razu zdobyć Lhotse, również idąc nową trasą. A wszystko to bez wspomagania dodatkowym tlenem.

Wiosną 2013 r. 900 osób zamierzało wspiąć się na szczyt. 684 z nich się powiodło, 8 osób zginęło – jak na sezon na Evereście to statystyka w normie.

z duszą na ramieniu uciekali z obozu drugiego na dół, ani przez chwilę nie zastanawiając się nad wyborem najbezpieczniejszej trasy. Nie mieli wyboru, bo ich ścigano.

Ueli Steck i Simone Moro reprezentowali coraz rzadszy w społeczności Everestu typ: wybitni himalaiści, którzy ani nie wynajmowali przewodników, ani sami nie świadczyli tego rodzaju usług. Opłacani sowicie przez sponsorów – gigantów outdoorowych takich jak The North Face czy Mountain Hardwear – mieli za zadanie swoimi śmiałymi pierwszymi podejściami i pionierskimi rekordami inspirować i zachwycać amatorów wspinaczki wysokogórskiej.

37-letni wówczas Ueli Steck należał do najsławniejszych wspinaczy na świecie – w rodzimej Szwajcarii,

Ci zawodowi alpinści działali jednak na skraju rozwijającego się na Evereście kolosalnego przedsięwzięcia, które śmiało można nazwać kompleksem biznesowym. Przez cały kwiecień i maj (czyli w szczycie sezonu wspinaczkowego) w bazie głównej przebywa zawsze ok. 1,5 tys. ludzi. Nieliczni spośród nich to niezależni himalaiści, jak Steck i Moro. Pozostali to albo klienci, albo pracownicy rozkwitającej branży przewodnickiej. Amatorzy wspinaczki, czasem nawet zupełnie początkujący, płacą niekiedy ponad 100 tys. dol., żeby z potężnym wspomaganiem spróbować zdobyć najwyższą górę świata. (...) Choć Steck i Moro chcieli koniec końców wypróbować nową trasę, to jednak w ramach przygotowań, by się zaaklimatyzować i przetransportować sprzęt, wspinali się ▶

► najpierw po głównym szlaku prowadzącym do obozu trzeciego.

Innymi słowy, ich zamiar można porównać do poszukiwań rzadkiego gatunku motyla na obszarze Amazonii, gdzie postępują masowy wyrąb i wypalanie całych hektarów lasu. Dla przybyłych z Zachodu przewodników i ich klientów 27 kwietnia 2013 r. był dniem odpoczynku. Jedni relaksowali się w bazie głównej, inni aklimatyzowali się w obozie drugim. Steck, Moro i Griffith uznali, że dzień, w którym na trasie nie tłoczą się mniej doświadczeni wspinacze, to doskonała okazja, żeby poruszać się po niej z większą swobodą. Tego ranka opuścili więc namioty w obozie drugim i ruszyli ku obozowi trzeciemu w ramach wypadu aklimatyzacyjnego.

Powyżej obozu drugiego kończy się świat poziomy, a zaczyna pionowy. Wspinacze są zmuszeni przez cały dzień walczyć z całych sił, żeby

Niewielka grupka Szerpów poręczowała zbocze ściany Lhotse, mocując na nim tysiąc metrów liny. Zarówno ten odcinek, jak i pozostałe części poręczowanej trasy, która w całości ma ok. 20 km, przygotowywane są na początku każdego sezonu jako pomoc dla mniej doświadczonych wspinaczy, którym w mozolnym podejściu na szczyt przydają się takie zabezpieczenia. (Później liny zostawia się na miejscu, aż przysypie je śnieg, w naturalny sposób się rozpadną lub odetnie je ktoś, komu będą przeszkadzały). W grupce poręczującej zbocze znajdowali się Mingma Tenzing Sherpa, bardzo lubiany i doświadczony *sirdar* (czyli kierownik grupy), pracujący dla amerykańskiej firmy International Mountain Guides (IMG), oraz Tashi Riten Sherpa, jej młodszy pracownik. Pozostali poręczownicy byli zatrudnieni w innych zachodnich firmach. Wykonywali bardzo wymagające zadanie, z użyciem wielu kilogramów lin i innego

ponad linami mocowanymi przez Szerpów, którzy stali w jednej długiej kolumnie i pracowali na różnych wysokościach. Dla Europejczyków było oczywiste, że w tej sytuacji trzeba przejść ostrożnie, ale szybko.

Dystans między ekipami pomału się zmniejszał, aż w końcu Steck, Moro i Griffith sunęli w bok, przechodząc ponad częścią poręczowników, lecz poniżej pozostałych. Gdy raki i czekani wspinacze z obu grup wbiły się w ścianę, żeby dać im oparcie, na ludzi pracujących niżej posypały się odłamki lodu i bryłki śniegu. Mingma Tenzing ruszył z wrzaskiem w dół, żeby rozprawić się z intruzami. Napięcie rosło, poleciały obelgi. Po chwili doszło do fizycznych przepychanek między mężczyznami uciepionymi oblodzonego zbocza. Wyglądało na to, że lada chwila ktoś spadnie – aż jedno słowo całkiem zmieniło bieg wydarzeń.

W powstałym zamieszaniu Moro nazwał jednego z Szerpów nepalskim słowem *machikne*, które w dosłownym tłumaczeniu oznacza „matkojebcę”, ale w Nepalu uchodzi za jeszcze gorszą obelgę. Moro jako pilot helikoptera od dawna pracował ramieniem w ramię z wieloma Nepalczykami w ratownictwie górskim, znał więc to słowo z nocnych sesji karcianych w ich towarzystwie. Wypowiedział je we wzburzeniu, przekonany, że lada chwila jego szwajcarski przyjaciel zostanie zrzucony ze ściany i zginie. Wobec wyzwiska rzuconego przez Moro wszystkich zamurowało. Okazało się, że nadajnik radiowy jednego z Szerpów był włączony, cała wymiana zdań została więc przekazana do wszystkich namiotów bazowych. Kierownicy ekspedycji w obozach na dole słuchali jej z zapartym tchem, nie mogli jednak nic zrobić, żeby zapobiec eskalacji.

Następnie poręczownicy z niebywałą spokojem zebrali swój sprzęt i zaczęli schodzić w stronę obozu drugiego. Była zaledwie pierwsza po południu, zostało im do zamocowania jeszcze sporo lin. Trzej Europejczycy postanowili zostać na górze i w ramach aktu dobrej woli pomóc nieco w dalszym poręczowaniu. Wiedzieli, że po powrocie do obozu czekają ich porachunki, ale sądzili, że

Poręczowanie zajmuje czasem kilka dni, a Szerpom mocującym liny nie wchodzi się w drogę, dopóki nie skończą.

wdrapać się na ogromne oblodzone zbocze nazywane ścianą Lhotse. Obóz trzeci jest w nią wtulony na wysokości ponad 7 tys. m, znajduje się na sztucznie stworzonych wąskich tarasach, ledwo mogących pomieścić kilka namiotów.

W południe Steck, Moro i Griffith byli już w połowie drogi do obozu trzeciego. Na tej samej ścianie pracowali też Szerpowie zatrudnieni w firmach przewodnickich. Członkowie tej rdzennej grupy etnicznej zamieszkującej nepalski dystrykt Solukhumbu, w którym znajduje się Mount Everest, od samego początku odgrywali znaczącą rolę w branży przewodnickiej, ale w roku 2013 mieli już silne poczucie, że to właściwie ich działka, i coraz mocniej zaczęli się z nią utożsamiać. Dawniej dośkwierało im ubóstwo, w tych okolicach jeszcze bardziej dotkliwe niż w innych częściach Nepalu. To się jednak zmieniło, gdy wprowadzanie ludzi na dach świata okazało się świetnym biznesem.

sprzętu wspinaczkowego, w tym ostrych jak brzytwa śrub lodowych i karabińczyków. Poręczowanie zajmuje czasem kilka dni, a w firmach przewodnickich uznaje się za oczywistość, że Szerpom mocującym liny nie wchodzi się w drogę, dopóki nie skończą. Na zwołanym wcześniej spotkaniu wszystkie ekipy korzystające z usług przewodników zgodziły się, że przez kilka dni będą unikać tej ściany. Steck, Moro i Griffith byli wówczas nieobecni. Jako mały, niekomercyjny zespół nie czuli się zobligowani do konsultowania tras z kierownikami pozostałych ekspedycji.

Niemniej jednak, zdając sobie sprawę z trudnej i niebezpiecznej pracy wykonywanej przez Szerpów, cała trójka celowo wytyczyła sobie trasę w odległości 50 m od nich. Mieli się zresztą wspinać bez asekuracji, w stylu alpejskim, dzięki czemu mogli minąć poręczowników z daleka i szybko wejść wyżej. (...) Aby jednak dotrzeć do obozu trzeciego, musieli na koniec przetraversować w poprzek ściany,

wszystko da się spokojnie wyjaśnić przy herbacie i załatwić uściskiem dłoni, zwłaszcza jeśli poinformują Sierpów, że im pomogli.

Późnym popołudniem większość Sierpów i zachodnich wspinaczy w obozie drugim gawędzi sobie zwykle przy herbacie – a czasem przy odrobinie czegoś mocniejszego – w jednym z ogrzewanych namiotów bazowych. Gdy około trzeciej Steck, Moro i Griffith wracali do obozu drugiego, chcieli od razu zająć się tym, co zaszło na ścianie Lhotse, i zażegnać konflikt. Zamierzali zostawić sprzęt w swoich namiotach, a potem ruszyć prosto do tych wspólnych, aby porozmawiać z Sierpami. Wiedzieli, że poręczownicy z pewnością już opowiedzieli o incydencie swoim szefom.

Zanim jednak alpiniści zdążyli dotrzeć do obozowiska operatorów ekspedycji komercyjnych, przechwycił ich Greg Vernovage, kierownik ekspedycji w firmie IMG, który słyszał przez radio, co działo się na górze. – Poprosiliśmy wszystkich, żeby zostali w swojej części obozu i poczekali, aż wszystko wyprostujemy – wspomina. – Prosimy wszystkich w obozie drugim, żeby tego dnia trzymali się z dala od ściany, gdy Sierpowie będą na niej pracować.

Choć zależało mu na załagodzeniu sporu i chciał pełnić funkcję mediatora, jednak nie ulegało wątpliwości, kto według niego doprowadził do konfliktu.

Vernovage ruszył wraz z trzema Europejczykami z powrotem do jednego z ich namiotów. Właśnie dyskutowali, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji, gdy nagle do środka wpadła w panice Melissa Arnot, 29-letnia amerykańska przewodniczka. „Musicie zwiewać – ostrzegła. – Idą po was”.

Arnot pospiesznie wyjaśniła, że w kierunku namiotu zmierza grupa kilkudziesięciu Sierpów z różnych firm, część ma twarze zasłonięte chustami, a niektórzy trzymają w rękach kamienie wielkości piłek do tenisa. Steck, Moro i Griffith zdali sobie sprawę, że nie ma szans na spokojne opanowanie sytuacji. Gniewne głosy zbliżały się zbyt szybko, żeby mogli zabrać rzeczy i uciec.

– Byliśmy w pułapce – wspomina Steck. – Niebezpieczne sytuacje to dla mnie nie pierwszyna. Ale ludzie to co innego niż góry.

Kuląc się w namiocie, nie mógł się pozbyć myśli o ironii losu, przez którą być może właśnie w takich okolicznościach przyjdzie mu się pożegnać z życiem.

– Tłukło mi się po głowie, że przecież wspinałem się na tyle potężnych gór, bez tlenu, bez asekuracji. To nie do wiary, że mam umrzeć w ten sposób. Byłem durniem, włączając na Everest.

W stronę namiotu Europejczyków poleciały kamienie. Jeden z nich trafił Stecka w głowę, po jego twarzy

Ci, którzy w asyście przewodników planują wejść na szczyt, zastają w bazie: dywany i puffy w kopułach wypoczynkowych, szybki internet, salony masażu i bary.

zaczęła spływać krew. Vernovage i Arnot próbowali zatrzymać wściekłą zgraję: stali przed namiotem, mocno splatając ramiona i nie dopuszczając do niego Sierpów. Vernovage patrzył na wielu własnych zaufanych pracowników.

– Straciłem nad nimi panowanie, nie potrafiłem ich uspokoić – opowiada w dokumencie o tym zdarzeniu. – Wielu było młodych, nawet nie wiedziałem, co w nich siedzi, dopóki tego nie zobaczyłem.

Do obrony dotoczył Marty Schmidt, też przewodnik, i wytrącił jednemu z Sierpów kamień z ręki. Pośród wynikłego chaosu Steck, Moro i Griffith zdołali się rozdzielić i ukryć w różnych namiotach. Steckowi wciąż leciała z głowy krew. Usłyszał, że w pobliżu ktoś mówi: „Wyciągnij go stamtąd. Najpierw zabijemy jego, a potem poszukamy tamtych dwóch”. Moro również słyszał okrzyki, że europejscy alpiniści zastrzelili na śmierć. (...)

Sporządzono swego rodzaju traktat pokojowy. Obie strony się na niego zgodziły i złożyły pod nim podpisy. W dokumencie zawarto jednak przede

wszystkim dwa zasadnicze punkty, które w istocie były powtórzeniem norm już obowiązujących: to do Sierpów należy poręczowanie stoków i nie można przeszkadzać im w pracy. Wydaje się, że ugoda nie tyle dotyczyła konkretnego zdarzenia między Europejczykami a Sierpami, ile raczej stanowiła wyraz dzielnego przez wielu miejscowych poczucia, że zasługują na więcej decyzyjności i szacunku. Oraz na to, by ich głos słyszano.

Po załagodzeniu sporu Europejczycy zrezygnowali ze zdobywania Everestu i opuścili lodowiec (choć przez resztę sezonu Moro pilotował helikoptery ratunkowe). Tashi Riten

stracił pracę w firmie IMG, ale znalazł zatrudnienie w agencji nepalskiej, dzięki czemu nie zmarnował reszty sezonu. Ubolewał, że powstały konflikt przeobraził się w atak fizyczny, lecz twierdził, że byli tacy, którzy mu dziękowali – jego zdaniem Sierpów zaczęto traktować mniej lekceważąco, odkąd stanęli w obronie swojej godności.

Tymczasem na Evereście wszystko wróciło na zwykłe tory. Wiosną 2013 r. 900 osób zamierzało wspiąć się na szczyt. 684 z nich się powiodło, osiem osób zginęło – jak na sezon na najwyższej górze świata to statystyka w normie. Przeciętnemu klientowi firm przewodnickich mogło się zdawać, że nic wielkiego się nie wydarzyło. W rzeczywistości jednak zmieniło się wszystko. Iskra, która przez całe dekady pomału pełzła po loncie – od czasu, gdy 27 lat wcześniej Teksańczyk Dick Bass bezwiednie stworzył branżę usług przewodnickich na Evereście – w końcu dotarła do beczki z prochem.

Fragmenty książki Willa Cockrella, *Korporacja Everest. O zapaleńcach, awanturkach i ich biznesie na dachu świata*, przeł. Agnieszka Wilga, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2024



SŁOWNICTWO jak odcisk palca

Czy analiza języka może pomóc złapać przestępcę?

Mateusz Adamczyk

Pewien serial Netfliksa przedstawia historię pościgu za jednym z najsłynniejszych przestępców z USA, który podkładał ładunki na uniwersytetach oraz lotniskach – stąd jego pseudonim: Unabomber (*university and airline bomber*). Śledztwo FBI długo nie dawało żadnych rezultatów i dopiero analiza lingwistyczna manifestu Teda Kaczynskiego (bo tak nazywa się terrorysta, który odsiadywał wyrok dożywocia) pozwoliła na opracowanie profilu przestępcy.

Profilowanie lingwistyczne pozwala na zdobycie informacji o poszukiwanej osobie na podstawie tego, co ta osoba napisała. Analizowane są przede wszystkim słownictwo, jakiego używa, formy gramatyczne, a także forma samego tekstu. Brzmi niewiarygodnie? To popatrz na to!

Z cech językowych zawartych w manifestie Unabombera oraz jego listach do prasy udało się wywnioskować, że sprawcą jest osoba co najmniej 50-letnia, z katolickiej rodziny, dorastała w Chicago, a następnie przez pewien czas mieszkała w Kalifornii, choć większość życia spędziła na północy USA. Zdobyła także wyższe wykształcenie w naukach ścisłych. Skąd to wszystko wiadomo?

O wieku terrorysty świadczyły m.in. teksty naukowe cytowane w manifestie, pochodzące z lat 70. XX w., co wskazywało na to, że poszukiwana osoba studiowała właśnie w tamtym czasie. Uwagę zwracało także sformułowanie „Holly Robots”, które używane było przez Robina z popularnego serialu dla młodzieży z lat 60., opartego na komiksie

o Batmanie. Kolejną poszlaką okazała się ortografia – wyrazy takie jak *willfully* czy *clue* zawsze występowały w analizowanych tekstach w uproszczonej postaci. Nie były to jednak zwyczajne błędy, ale konsekwencja lektury dziennika „Chicago Tribune”, który ukazywał się w latach 40. i 50. Właściciel gazety był zwolennikiem uproszczenia angielskiej pisowni i wymagał tego od swoich dziennikarzy. Wskazuje to także na miejsce, w którym dorastał Kaczynski.

W tekstach zwrócono uwagę na wyraz *sierra*, używany głównie na terenie Kalifornii. Brak innych słów specyficznych dla języka tego terenu

Jednym z najsłynniejszych „śledztw” językowych było to dotyczące włoskiej pisarki (albo pisarza), publikującej pod pseudonimem Elena Ferrante.

wskazywał, że poszukiwany przestępca nie pochodzi z tych rejonów, ale jedynie tam pomieszkiwał. Złaski, że używał wyrażenia *rearing children* (zamiast *raising children*) – charakterystycznego dla języka mieszkańców północnych terenów USA. O wykształceniu z kolei świadczyła forma manifestu, przypominająca rozprawę doktorską. Znajdowały się w nim słowa dowodzące erudycji autora. Styl pracy nie odpowiadał jednak tekstom z obszaru nauk humanistycznych i społecznych, co wskazywało na to, że osoba odpowiadająca profilowi jest ścisłowcem.

Wprawdzie powyższy profil nie pozwolił jeszcze na schwytanie Unabombera, ale wyraźnie zawęził

krąg podejrzanych. Po publikacji manifestu w prasie do FBI zgłosił się brat Kaczynskiego – David, który uważał, że tezy zawarte w wywodzie Unabombera odpowiadają tematowi, które Ted poruszał w listach do niego i jego żony. Korespondencja trafiła w ręce śledczych, którzy musieli udowodnić, że autorem zarówno manifestu, jak i listów jest ta sama osoba. I tutaj znów przydała się lingwistyka.

W ustalaniu autorstwa różnych tekstów wykorzystywany jest dorobek stylometrii, w której przyjmuje się, że istnieje coś takiego jak stylistyczny „odcisk palca”, czyli właściwe danej osobie cechy stylistyczne, które nie są przez nią kontrolowane. Należą do nich np. częstotliwość występowania pewnych słów, stosowane formy gramatyczne, używanie spójników czy sposób budowania zdań. Na ich podstawie można ustalić nie tylko autorstwo tekstu, lecz także miejsce i czas jego powstania.

Stylometrii nie wykorzystuje się jednak wyłącznie w kryminalistyce. Jednym z najsłynniejszych „śledztw” było to dotyczące włoskiej pisarki (albo pisarza), publikującej pod pseudonimem Elena Ferrante, którą (albo

którego) tygodnik „Time” umieścił w 2016 r. na liście 100 najbardziej wpływowych osób na świecie. Wraz ze wzrostem popularności książek Ferrante coraz więcej osób zachodziło w głowę, kto kryje się pod tym pseudonimem. Z pomocą przyszedł zespół badaczy, w skład którego wchodziły naukowcy z Polski, Szwajcarii, Ameryki i Włoch. Na podstawie analizy porównawczej tekstów udało się ustalić, że autorem książek podpisanych jako Elena Ferrante jest najprawdopodobniej Domenico Starnone, włoski pisarz, scenarzysta i dziennikarz.

Fragment książki Mateusza Adamczyka *Jak słowo daje. Współczesny poradnik językowy. Znak Jednym Słowem, Kraków 2025*



Dyplomacja po polsku

Media wyzłościwiają się z powodu opiewającego na sumę 1,2 tys. euro rachunku za wizytę Andrzeja Dudy w rzymskiej restauracji Vladimiro. Naigrawają się, gdyż sprawa przynosi kolejne odkrycia.

Najpierw śmieszkowano, że prezydent, który pod koniec marca złożył dwudniową wizytę we Włoszech, udał się do restauracji o takiej nazwie. Duda więc odpowiedział na platformie X: „Informuję wszystkich zainteresowanych, że w ogóle nie byliśmy w restauracji »Vladimiro« w Rzymie. Ten pan kłamie jak zwykle. Taka prawda”. „Ten pan” to piszący o wizycie dziennikarz „Gazety Wyborczej”.

Równocześnie portal wPolityce.pl oznajmił, że prezydent Andrzej Duda nie gościł we Vladimiro, z komentarzem: „Co wyjątkowo zastanawiające, kolację w tym miejscu proponował Ryszard Schnepf. Delegacja głowy państwa wybrała inny lokal”. Tytułem uzupełnienia: Schnepf to chargé d'affaires ambasady RP w Rzymie, a nie jest pełnym ambasadorem dlatego, że Duda odmówił podpisania mu nominacji.

Teraz akt drugi. Odgryzły się MSZ.

Rzecznik ministerstwa Paweł Wroński (były dziennikarz „GW”) przekazał, że „wbrew insynuacjom niektórych mediów chargé d'affaires w Rzymie, p. Ryszard Schnepf, nie miał wpływu na program wizyty oraz liczebność delegacji p. Prezydenta Andrzeja Dudy. Przedstawiciele ambasady nie brali udziału w żadnym spotkaniu na wyraźne życzenie Pana Prezydenta”.

Z kolei dziennikarz „GW” pokazał rachunek z restauracji – na 1,2 tys. euro. Od kogo go dostał? Chyba nie trzeba długo się zastanawiać. Najciekawsze jednak przed nami – otóż możemy na paragonie przeczytać, że jest to dopłata do rachunku uiszczanego wcześniej.

Wystawiona na ambasadę RP przy Watykanie, którą kieruje ambasador Adam Kwiatkowski, wcześniej szef gabinetu prezydenta Dudy. Właśnie jego Radosław Sikorski wymienił w grupie siedmiu prezydenckich ambasadorów, których pozostanie na stanowiskach negocjował z nim Duda.

Pomińmy sprawę rachunku i tego, w jaki sposób wypłynął – chwały to obecnemu MSZ nie przynosi. Pomińmy przepychanki, kto mówi prawdę, a kto nie. Najistotniejsza w tym wszystkim jest informacja, że polskie ambasady funkcjonują jak partyjne placówki. Że Duda pojechał do Włoch i bardzo pilnował, aby ludzie z „wrogiej” ambasady w ogóle z nim się nie zadawali, a cały plan wizyty złożył w ręce „swojej” ambasady. To patologia. Ale to też wyjaśnia, dlaczego Duda tak walczy o ambasadorów. Bo traktuje ich jak swoich partyjnych urzędników, a nie reprezentantów Rzeczypospolitej. Schnepfa zaś uważa za wroga, który tylko czyha na jego potknięcia. Ba – jak pokazuje wpis portalu wPolityce.pl – wręcz te potknięcia aranżuje. Takie są jego cele.

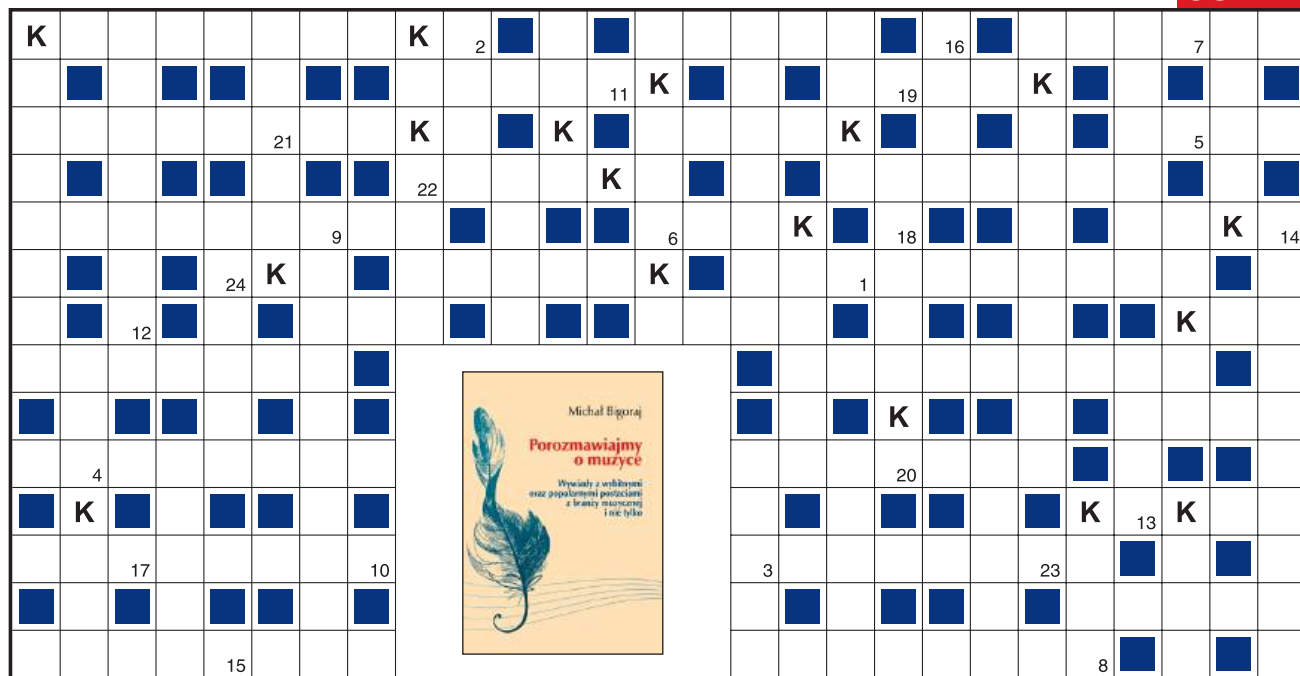
Ta patologia jest zresztą szersza. Dotyczy i innych placówek, na których są ludzie PO i ludzie PiS – mają oni swoje kanały kontaktów i swoje tzw. umocowania. Po co? Żeby służyć własnej partii (w razie potrzeby). Kwiatkowski służył w Rzymie, w Nowym Jorku służył Szczerski. Swego czasu w Strasburgu zastępczyni ambasadora załatwiła w Radzie Europy list w sprawie immunitetu Romanowskiego. I tak to się kręci.

Podobnie jest w innych resortach, podobnie w mediach... Smutne to bardzo. Ale tak wygląda Polska i mało co wskazuje, że kiedykolwiek to się zmieni.

Attaché

W konkursie na najładniejszy stół wielkanocny wzięło udział 30 kół gospodyń wiejskich z całego regionu. Białystok, 4 kwietnia 2025 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- fryzura z nastroszonych loczków
- po niej beta i gamma
- gniazdzą w wielkich koloniach na nadbrzeżnych skałach
- operowa pieśń solowa
- tupet, buta, bezczelność

- autor „Szelmostw Lisa Witalisa”
- seria, powiązane utwory
- części składowe
- urywek, kawałek
- ...piaskowy – nieowłosiony gryzoń z Afryki Wschodniej

- imię założyciela dynastii Wazów
- w żyłach greckich bogów zamiast krwi
- bożyszczce
- ipsylon
- dochodowość, opłacalność
- indyjskie jest piegowate
- większy od jaskółki
- Balaton lub Bodeńskie
- i pluwiak, i narzuta
- tam dziecko za karę stawiane
- oprzęd poczwarki
- miksowany napój
- na nich – uniżenie i pokornie
- żołnierz do specjalnych zadań bojowych
- do twarzy i w rurce

- a tam gdzie ono, „będzie stał mój bank”
- w buzi dziecka, w rękę policjanta
- mieszkalny, biurowy lub kawiarnia
- imię żony premiera Jerzego Buzka
- wykupiona z biletem kolejowym
- w gestii anestezjologa
- kłamstwo, fałsz
- nagrodzony za działalność naukową, literacką, pokojową
- oznaka, np. choroby
- dobiegający dźwięk czegoś
- plywają na rosale
- brawa
- obyście, ogląda towarzyska
- mgła, wyziew
- zabieg w sadzie
- ptak, roślina lub boisko
- tyżwy do szybkiej jazdy

- wypinana do orderów
- front, czoło
- można mieć też cioteczne, przyrodnie
- zawieszenie broni
- z Wodogrzmotami Mickiewicza
- operacyjna lub wykładowa
- lokomotywy, z wysiłku, ze złości
- rzeźbi w drewnie
- „...i panna”, powieść Weyssenhoffa i film
- ...ziemi – ludzie najwartościwsi
- wstrząs psychiczny
- kolumna balustrady
- z Polski przez Niemcy do Francji
- robocza kufajka
- tam Białe Dom
- dawniej wyżywienie, utrzymanie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

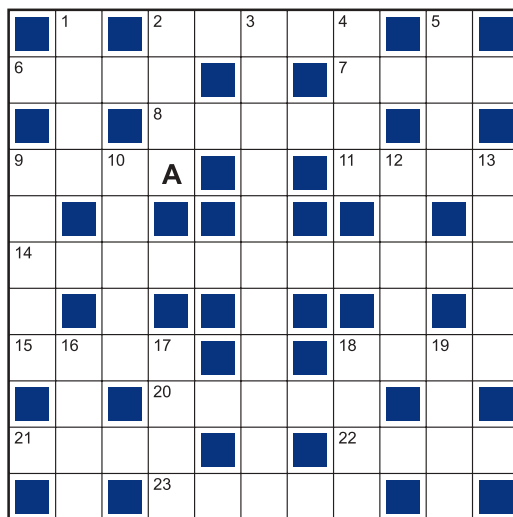
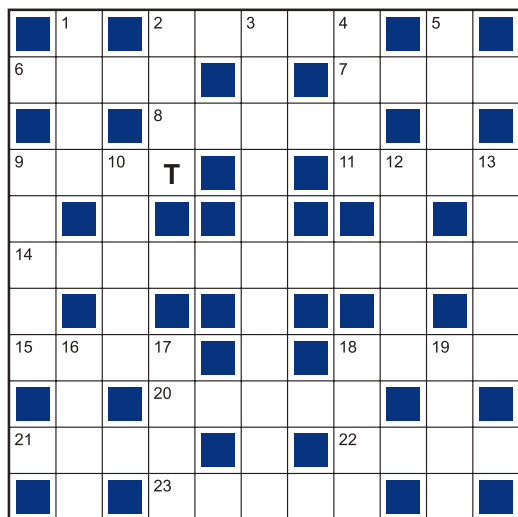
data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1217”. Do rozlosowania książki „Porozmawiamy o muzyce” ufundowane przez Oficynę Wydawniczą Rytm. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 kwietnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1214” z nr. 13: Kto ma przyjaciela, ma skarb. Nagrody otrzymują: Lidia Banaszkiewicz z Warszawy, Lucyna Lachendro z Kęt, Anna Wajs z Legionowa.

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.



Poziomo:

- 2) porcja trunku z sokiem ■ Puchatek lub Fatalista
- 6) natury, rodziny, Abrahama ■ śpiewa na wiele głosów
- 7) puste miejsce, przerwa, szpara ■ przełożony klasztoru
- 8) ...Hillary'ego lub San Andreas ■ krwawa bójka
- 9) skoro... – raniutko ■ dyplomatyczna lub odsetkowa
- 11) drogowy lub przestankowy ■ człowiek, kot albo delfin
- 14) wzbudzenie podziwu, szacunku ■ gratulowanie, składanie życzeń
- 15) inicjujące podanie piłki, lotki ■ na inteligencję
- 18) sieć na ryby denne ■ 14. Ułanów Jazłowieckich
- 20) zajada się bambusem ■ okrągłe skrzyżowanie
- 21) zielona... w ruchu miejskim ■ bolą piechura
- 22) kłatka filmu ■ łamie się ze wzruszenia
- 23) tkanina o karbowanej fakturze ■ mowa na ucho

Pionowo:

- 1) ...klatkowy kur ■ pomost wychodzący w morze
- 2) łóżko na statku ■ kolczasty lub telegraficzny
- 3) stropu lub sceny politycznej ■ pobieranie należności
- 4) produkt odgazowania węgla ■ malwa
- 5) teczek z dokumentami ■ zwierzę z Peru, Boliwii
- 9) odgłos lecącej strzały ■ skalny, śnieżny, inflacyjny
- 10) głos Piotra Beczwały ■ zastój w negocjacjach
- 12) wehikuł św. Mikołaja ■ niełot z pampy
- 13) papka dla chorego ■ biała do pisania na tablicy
- 16) homerycki lub rycerski ■ część trasy
- 17) maszyna w tartaku ■ na listę, do pamiętnika
- 18) ...Ribbentrop-Mołotow ■ do niej pies przywoływany
- 19) podejmuje go pies ■ miasto z „Ziemii obiecanej”

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

9					4			
2							3	9
		4	8		3	2	1	7
4	3			7	6	9		
8				5	7		3	
6							5	
	4	5	3	7		9		
7		8	1				4	
		6		2	8			5

ŚREDNIE

				9				1
	2			7	9			
			6	5	1		3	
5	1				2			
		4	5					9
			9		4	1	5	
	9	7		2		5		3
1			7				6	8
		6				2		7

TRUDNE

		6				8	7	
		1	8	2				3
2					5			
		5					6	
4		3					8	9
			9				3	7
			2					8
			3		4			
8	2		6	7			1	

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl, której autorem jest Monteskiusz.

NIEMIECZKA WOLNOŚĆ I KONSTYTUCJA, A DRY WIELKI KIE
 ZDARZENIA WIAŁY ZA GRÓDŁO WIELKIE PRZYCZYNNY
 ZDARZENIA WIAŁY ZA GRÓDŁO WIELKIE PRZYCZYNNY.

GDY ODWIEDZA CIĘ BARDZO DALEKI KREWNY



I NIEWIADOMO CO Z NIM ZROBIĆ



PO OGŁOSZENIU TARYF CELNYCH PRZEZ TRUMPA



Pytanie 37. Na co powinien zwrócić uwagę kierowca, kiedy znajdzie się w takiej sytuacji?



PENETRACJE

MONDE
diplomatie

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Parafrazując bon mot ze znakomitego serialu „Kariera Nikodema Dyzmy”, można powiedzieć, że do zadania Brzoska nadaje się znakomicie, bo już (nie)raz deregulował, tyle że na własną rękę. Robił to jako szef InPostu, spółki powstałej na ruinach całymi latami deregulowanej i prywatyzowanej przez kolejne rządy Poczty Polskiej. Po uzyskaniu państwowych zamówień na kontrakty państwowej Poczty Brzoska z powodzeniem deregulował stosunki pracy. Już dekadę temu głosił, że związki zawodowe to wyraz niedojrzałości pracowników do wolnego rynku, i robił sporo, aby ich z tej niedojrzałości wyzwolić. Przy okazji – jak w aferze związanej ze sprzedażą spółki Bezpieczny List – próbował wyzwać także z płac. Nie wszyscy poddali się tej emancypacji, skoro – mimo braku związków – w InPoście strajkowali przepracowani i marnie opłacani kurierzy. Jeszcze lepiej Brzoska radził sobie w deregulowaniu systemu podatkowego. Zrobił to, stosując optymalizację podatkową.

THE
STYL

ROBERT MAKŁOWICZ,
AUTOR PROGRAMÓW KULINARNYCH

Nie jestem politycznym fighterem, ale ludzie znają moje poglądy, wiedzą, co myślę o wielu sprawach. Kiedy zrobiliśmy program o Brukseli, uruchomili się antyunijni konfederaci, pisali różne brednie, ale ich zignorowałem. Najpiękniejsza rzecz zdarzyła się w Dalmacji. Siedzę w swojej ulubionej knajpce, podchodzi do mnie para, młody człowiek mówi: „Panie Robercie, dzięki panu przestałem być narodowcem”. O, miło mi słyszeć, a co to znaczy? „Nosilem mieczyk Chrobrego w klapie, byłem bardziej na prawo niż Dmowski, ale dzięki temu, co pan pokazuje w swoich programach, odkryłem świat poza nacją”. Piękne!

VIVA!

JAKUB JÓZEF ORLIŃSKI,
ŚWIATOWEJ SŁAWY KONTRATENOR

Nasze występy, nie tylko mój, ale wszystkich artystów, do samego końca były okryte tajemnicą. Nawet rodzice i chłopaki z ekipy nie wiedzieli, co ma się wydarzyć. Zadzwoń im tylko do nich i powiedz im, że mój utwór prawdopodobnie będzie zagrany na otwarciu i żeby koniecznie oglądali. Wszyscy byli w szoku. O występie na otwarciu igrzysk olimpijskich mój menedżer kilka miesięcy pisał do organizatorów, a gdy w końcu dostał odpowiedź, brzmiała ona: „Wspaniale! Myśleliśmy o zaproszeniu Jakuba Józefa Orlińskiego na to wydarzenie”. Byłem drugim Polakiem po Bernardzie Ładyszku, który miał tak niesamowitą możliwość. To były wielkie emocje. Zwłaszcza w tym momencie, kiedy o mały włos nie wylądowałem w Sekwanie, bo było tak ślisko. Czułem, że deszcz sprawił, że było i pięknie, i dramatycznie. Po prostu jak w operze.

Press

KRZYSZTOF BOCZEK,
DZIENNIKARZ

Według materiału „Republika propagandy” w cyklu „Czarno na białym” w TVN 24 tylko 13 spółek skarbu państwa w ciągu ostatnich sześciu lat przeznaczyło na reklamy w TV Republika i innych mediach Sakiewicza aż 110 mln zł. Z ministerstw, fundacji i innych instytucji podległych PiS media te dostały dodatkowe 40 mln zł. W sumie minimalnie 150 mln zł, z których sama TV Republika zgarnęła 35 mln zł. (...) W ciągu pięciu miesięcy (od 19 grudnia 2023 do 20 maja 2024 r.) nadawca uzyskał niemal 6,5 mln zł od 51 tys. donatorów.

ROZWIĄZANIA

█	C	█	D	R	I	N	K	█	L	█	█	M	█	K	U	B	U	S	█	A	█			
C	H	O	R	█	N	█	O	P	A	T	█	Ł	O	N	O	█	E	█	L	U	K	A		
█	Ś	W	I	T	█	A	█	S	S	A	K	█	L	█	J	A	T	K	A	█	T	█		
█	Š	W	I	T	█	A	█	S	S	A	K	█	N	O	T	A	█	O	█	Z	N	A	K	
W	█	M	█	█	S	█	█	A	█	R	█	A	█	E	█	O	█	N	█	█	A	█	L	
I	M	P	O	N	O	W	A	N	I	E	█	W	I	N	S	Z	O	W	A	N	I	E	█	
S	█	A	█	█	W	█	█	I	█	D	█	I	█	O	█	█	W	█	█	█	█	█	I	
T	E	S	T	█	A	█	N	E	T	A	█	S	E	R	W	█	A	█	P	U	Ł	K	█	
█	T	█	R	O	N	D	█	O	█	R	█	█	P	█	P	A	N	D	█	A	█	█	█	
F	A	L	A	█	I	█	G	Ł	O	S	█	█	N	O	G	I	█	I	█	K	A	█	D	R
█	P	█	K	R	E	P	A	█	P	█	█	█	S	█	S	█	S	Z	E	P	T	█	█	Ż

ŁATWE

9	3	7	5	1	2	4	6	8
2	8	1	7	6	4	5	3	9
5	6	4	8	9	3	2	1	7
4	5	3	2	8	7	6	9	1
8	1	9	6	4	5	7	2	3
6	7	2	9	3	1	8	5	4
1	4	5	3	7	6	9	8	2
7	2	8	1	5	9	3	4	6
3	9	6	4	2	8	1	7	5

ŚREDNIE

3	7	5	2	9	8	6	4	1
6	2	1	3	4	7	9	8	5
9	4	8	6	5	1	7	3	2
5	1	9	8	6	2	3	7	4
7	6	4	5	1	3	8	2	9
2	8	3	9	7	4	1	5	6
8	9	7	4	2	6	5	1	3
1	5	2	7	3	9	4	6	8
4	3	6	1	8	5	2	9	7

TRUDNE

5	9	6	4	1	3	8	7	2
7	4	1	8	2	6	9	5	3
2	3	8	7	9	5	6	4	1
9	8	5	1	3	7	2	6	4
4	7	3	5	6	2	1	8	9
6	1	2	9	4	8	5	3	7
3	6	7	2	5	1	4	9	8
1	5	9	3	8	4	7	2	6
8	2	4	6	7	9	3	1	5

NIE JEST WCAŁE KONIECZNE, ABY WIELKIE ZDARZENIA MIAŁY ZA ŹRÓDŁO WIELKIE PRZYCZYNNY.



Aby język giętki...

KS. ADAM BONIECKI O WIERZE POLAKÓW

Dzięki czytaniu, słuchaniu ludzi wiem, że wchodzi ona w bardzo ostry zakręt.

ANDRZEJ MLECZKO O DEMOKRACJI

Jej głównym minusem jest to, że głos jakiegos kretyna ma taką samą wartość jak głos wybitnego intelektualisty.

PROF. MAREK GÓRA O EMERYTURACH

Dużo dłuższa praca jest nieuchronna. 75 lat to dla dzisiejszych 30-, 40-latków realna perspektywa.

KRZYSZTOF VARGA O CZYTELNICTWIE

Za chwilę liczba piszących w Polsce przewyższy liczbę czytelników.

ANDA ROTTENBERG

O BYŁYCH PRZYJACIÓŁKACH

Jedna sama się na mnie obraziła. Ulżyło mi. Druga się na mnie wyżywała za swój brak sukcesów, więc po 50 latach dość jednostronna przyjaźń wyczerpała się.

DANUTA STENKA O AKTORSTWIE

Zawód piękny, niezwykle, ale i okrutny, nieprzewidywalny, pełen niesprawiedliwości.

ANETA KRĘGLICKA

O MEDYCYNIE ESTETYCZNEJ

Mam bardzo wyrazistą urodę i wiem, że jakakolwiek większa ingerencja w policzki czy usta zrobi ze mnie karykaturę.

NATALIA KUKULSKA O ZMIANACH

Nieważne, co się zmienia, ważne, co się nie zmienia.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogółkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



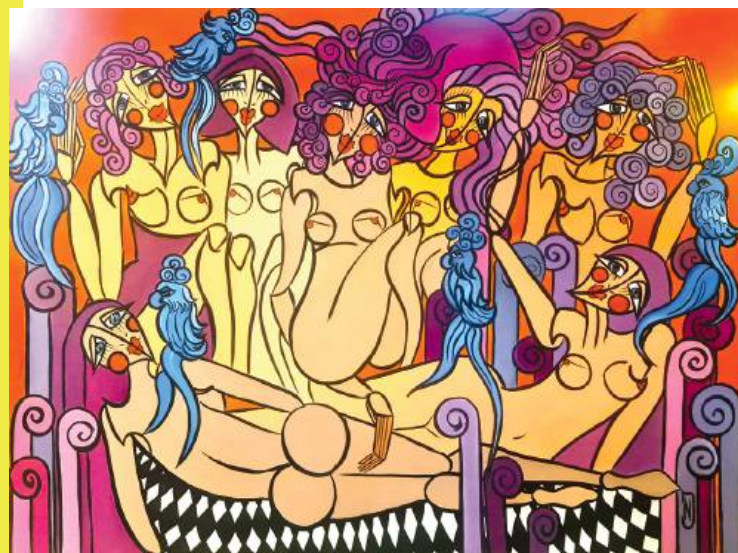
Natalia Józwiak Co czyni ją wyjątkową?



Na wystawie „Co czyni ją wyjątkową?” oglądać można wybrane obrazy z cyklu „De Mulieribus. Respect”, przedstawiającego wielowymiarowość kobiecej natury. Artystka buduje swój wizualny język śmiałą kolorystyką i ekspresyjną formą, czerpiąc z kubizujących deformacji. Nie idealizuje kobiecości – jej bohaterki są jednocześnie silne i pełne niepokoju, pewne siebie, lecz czasem jakby ukryte za maską. Inspirację Natalia Józwiak czerpie zarówno z osobistych doświadczeń, jak i z twórczości ikon sztuki XX w.: Fridy Kahlo oraz Tamary Łempickiej.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Goldenmark
Wrocław, ul. Legnicka 56
do 5 maja





EU/UK TOUR 2025



12/6
WARSZAWA
Stodoła

BILETY:
TICKETCLUB.PL

REPERTUAR TCN

SEZON 2024/2025

**TEATR
COLLEGIUM
NOBILIUM**

MIODOWA 22/24

KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. 15:00 – 19:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. 15:00 – 17:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA

MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ
TELEFONICZNIE: 662 155 960
MAILOWO: KASA@E-AT.EDU.PL
OD WT. DO PT. W GODZ. 11:00 – 19:00
W WEEKENDY W GODZ. 13:00 – 17:00
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM
NOBILIUM

TEATR

maj 2025

OJCIEC

REŻ. AGATA DUDA-GRACZ

06
WTOREK
18:30

07
ŚRODA
18:30

SALA
IM. J. KRECZMARA

ALICJI NIE BĘDZIE

REŻ. BARTOSZ PORCZYK | EWELINA ADAMSKA-PORCZYK

08
CZWARTEK
19:00

09
PIĄTEK
19:00

10
SOBOTA
19:00

SCENA
GŁÓWNA

MEWA

REŻ. KATARZYNA MINKOWSKA

21
ŚRODA
19:00

22
CZWARTEK
19:00

23
PIĄTEK
19:00

24
SOBOTA
19:00

SCENA
GŁÓWNA

ETERO2850

REŻ. EWA PIOTROWSKA

23*
PIĄTEK
19:30

24
SOBOTA
17:00 | 19:30

SALA
IM. J. KRECZMARA

***PREMIERA**

PRZEBŁYSKI

REŻ. AGATA DUDA-GRACZ

27
WTOREK
19:00

28
ŚRODA
19:00

SCENA
GŁÓWNA

Fot. Zuzanna Mazurek

AKADEMIA
TEATR
ALNA
MAGAZYN

Patroni medialni

chilli
zet

P
regia

Polonia nam! nasza misja.

Partnerzy Teatru

kicket